Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym LITERATURA.NET.PL kliknij na logo poniżej.

STEFAN GRABIŃSKI

NOWELE

Tower Press 2000

Z TOMU
DEMON RUCHU
[1919]

Głucha przestrzeń
(Ballada kolejowa)

Pomiędzy Orszawą a Byliczem zregulowano przestrzeń. Stało się to możliwym dzięki zasypaniu mokradeł nad Wierszą i przeprowadzeniu niwelacji pod tzw. „Upłazikiem". Wskutek tego linia uległa znacznemu skróceniu, gdyż pociąg zamiast omijać bagnisty teren w wielkim, silnie na północ wygiętym łuku szedł teraz po jego cięciwie, zmierzając do celu prosto jak strzała.
Skrót okazał się ze wszech miar pożądanym. Ruch kolejowy zyskał znacznie na tempie, a okolica, dotychczas malaryczna z powodu bagiennych wyziewów, wkrótce przybrała charakter suchej, zdrowe] równiny, która wnet pokryła się bujną zielonością.
Dawną przestrzeń, okrężną, zwaną teraz „głuchą", zamknięto i izolowano. Do rozebrania toru i usunięcia obiektów kolejowych zamierzała dyrekcja ruchu przystąpić dopiero po pewnym czasie. Nie było z czym się spieszyć; wiadoma rzecz: zburzyć łatwo, zbudować trudniej...
Tymczasem w rok po oficjalnym zamknięciu starej linii zaszedł fakt dziwny i niespodziewany. Pewnego dnia zgłosił się u dyrektora odnośnego departamentu w Orszawie niejaki Szymon Wawera, wysłużony inwalida kolejowy i emerytowany konduktor, z prośbą, by mu oddano pod opiekę wyłączoną z ruchu „głuchą przestrzeń". Gdy mu dyrektor przedstawił, że jest to zupełnie zbyteczne, bo pętlicę w najbliższych miesiącach rozbiorą, i ze funkcja „budnika" w tych warunkach byłaby co najmniej iluzoryczną, jeśli już nie wprost śmieszną, oświadczył Wawera, że będzie pilnował starego toru całkiem bezinteresownie.
- Bo proszę pana naczelnika - tłumaczył gorąco - w dzisiejszych ciężkich czasach to i na szyny ludzie się łakomią. A szkoda byłaby wielka dla kolei, panie naczelniku, wielka szkoda. Proszę samemu obliczyć: tyle dobrego kutego żelaza! Tor tam przeszło 12 km długi! Jest się czym obłowić. A ja dopilnuję wiernie jak pies, panie naczelniku. Nie dam uszczknąć ani jednego metra! Jakem stary konduktor Wawera! Centusia za to nie chcę, ani złamanego szeląga. Choćby mi pan dyrektor sam pchał do ręki, nie wezmę nic. Ja tak tylko z miłości wielkiej do zawodu i dla honoru chcę być budnikiem na „głuchej przestrzeni".
Dyrektor ustąpił.
- Ha, jeśli już tak koniecznie, i to bezinteresownie, pilnuj pan sobie tej linii do czasu. A zatem - dodał z uśmiechem lekkiej ironii, uderzając go po ramieniu - mianuję pana od dzisiaj dróżnikiem „głuchej przestrzeni".
Wawera ze łzami w oczach uścisnął dłoń zwierzchnika i wyszedł z biura szczęśliwy jak nigdy.
Nazajutrz objął „służbę". Zabrał ze sobą z Orszawy parę gratów - mebelków, pościel, trochę książek i naczyń kuchennych, i spakowawszy to chude gospodarstwo na ręczny wózek sprowadził się na nowe mieszkanie, którym miała odtąd być budka byłego dróżnika wyłączonej

z ruchu strefy. Był to budynek niewielki, nadniszczony już przez całoroczne zaniedbanie, lecz w dziwnie pięknym otoczeniu.
Wciśnięta we wnękę parowu, parę metrów nad poziomem toru, budka wyglądała z daleka pod swym daszkiem z czerwonego łupku jak zaczarowana chatka z bajki. Mały lasek jodłowy wyrosły półkolem na szczycie jaru ujmował ją w opiekuńcze ramiona i chronił od wichrów północy. W wybite okna zaglądały złote głowy słoneczników, przemycał się szerokolistny łopian - w rynnach powyginanych fantastycznie lęgły się pisklęta jaskółek. Przed domem w ogródku zarosłym zielskiem na głucho oddawała się wiatrom na wolę samotna topola...
Wawera u wstępu objął miłosnym spojrzeniem nową sadybę i żwawo zabrał się do porządkowania i naprawek.
A potrzebne już były bardzo, bo jego poprzednik opuścił posterunek jeszcze przed rokiem, po zamknięciu przestrzeni, i budka zdana na łaskę losu ucierpiała ogromnie od niepogody i ludzkiej chciwości. Lecz Wawera nie stracił ducha i piorunem rzucił się do roboty.
Powstawiał wybite lub pokradzione szyby, załatał dziurę w dachu, naprawił wywalone z zawiasów drzwi. Po tych najkonieczniejszych reparacjach przyszła kolej na dalsze: rekonstrukcję rozdrapanej prawie do cna podłogi i ustawienie brakujących przęseł w ogrodzeniu. Zabrało mu to parę dni czasu, bo musiał wszystko robić sam, ale humoru nie tracił, lecz owszem pogwizdywał wesoło przy pracy jak szczygieł. Gdzieś u schyłku tygodnia, gdy już robota była na ukończeniu, przyplątał się doń jakiś bezpański pies i zamieszkał pustą budę koło drewutni za domem. Wawera chętnie przygarnął go do siebie, uważając zjawienie się zwierzęcia za dobrą wróżbę na przyszłość.
Pierwszą niedzielę na nowej placówce spędził Wawera na modlitwie i rozmyślaniach. Wyciągnąwszy się po południu na zboczu wąwozu opodal domu na trawie, wlepił oczy w majowy błękit nieba i zapadł w długą zadumę, z której obudziły go dopiero głosy dzwonów wieczornych płynące z Orszawy...
Nazajutrz od rana rozpoczął właściwą służbę od przeglądu powierzonej sobie przestrzeni.
Pętlica była dość długa, bo przeszło 12 km, i niemal od początku do końca szła głębokim, wąskim parowem, którego ściany tworzyły rozstęp szerokości podwójnej wstęgi torów. Budka dróżnika wznosiła się mniej więcej w połowie „głuchej przestrzeni", w miejscu gdzie łuk jej krzywizny wyginał się najsilniej ku północy.
Rewia zajęła Wawerze przeszło pięć godzin, bo prawa noga będąca kikutem poniżej kolana przeszkadzała mu znacznie w chodzeniu. W końcu jednak zbadał dokładnie linię w jedną i drugą stronę i zadowolony z rezultatu wrócił do budki na posiłek.
Ostatecznie przestrzeń nie przedstawiała się najgorzej.
W jednym tylko miejscu brakowało kilku metrów szyny, lecz to można było jakoś nadsztukować.
Nie święci garnki lepią - pomyślał, krająć chleb i zapijając go jakąś imitacją barszczu. - Ludzie wstawiają sobie zęby, czemuż bym ja nie potrafił wstawić kilkumetrowego kawałka szyny?
I wstawił. Gdzieś pod nasypem kolejowym, pod jakimś kamiennym mostkiem wyszperał parę zardzewiałych już żelaznych sztab, oczyścił, przekuł w ogniu przy nitach, przystosował do reszty i załatał szczerbę w torze do niepoznaki. Równie gładko poszło z naprawą starej zwrotnicy i z wybitym okiem dwu latarń „stacyjnych" opodal budki. Wkrótce stawidło funkcjonowało jak za dawnych dobrych czasów, a w nocy, począwszy od godziny siódmej, rozbłyskiwały latarnie miłym, acz nikłym trochę światłem.

Wawera dumny był ze swego dzieła i rozmiłowanymi oczyma wodził po swojej „strażnicy”, po torze czyściutko utrzymanym i po lśniących relsach. Nie miał nic do zarzucenia swojej przestrzeni. Wszystko tu było jak i gdzie indziej, na czynnych liniach. Był bo i tor podwójny, i krótki tunel powyżej budki, a nawet blok, prawdziwy, w całym tego słowa znaczeniu blok z dźwigniami do przerzutów. Istnienie tego budyneczku o parę metrów od sadyby dróżnika pasowało właściwie placówkę na „przystanek”. Jakoż była tu rzeczywiście przed laty mała stacyjka, przy której budnik spełniał równocześnie funkcje naczelnika. Podobno nawet jeszcze na rok przed wyłączeniem pętlicy zatrzymywały się tu czasem pociągi towarowe na małą chwilę.

Wiadomość ta podniosła ogromnie w oczach Wawery znaczenie jego posterunku i doniosłość związanych z nim zadań. Odtąd zaczął traktować swą budkę jako przystanek i postanowił uczynić wszystko, ażeby utrzymać go na wysokości przeznaczenia. Toteż otoczył jak najtroskliwszą opieką blok i zawarte w nim obiekty, których strzegł jak oka w głowie. Chcąc niejako umotywować wobec siebie i drugich istnienie tego budynku i przywrócić mu dawną rację bytu, powielił tor przed blokiem o jedno odgałęzienie szyn, które niewątpliwie niegdyś musiało tu istnieć, lecz później jako zbędne zostało usunięte.

Ponieważ to ostatnie zadanie przechodziło już jego siły i zdolności techniczne, uciekł się do pomocy jednego z kolejowych kowali z ogrzewalni stacyjnej w Byliczu, niejakiego Luśni, i pozyskawszy go paczką przedniego tytoniu, namówił do przywrócenia jego „stacji” jej dawnego wyglądu. Kowal przeprowadził restytucję odgałęzienia wedle wskazówek dróżnika i odtąd został jego najserdeczniejszym przyjacielem.

W godzinach wieczornych, wolnych od pracy, przychodził Luśnia w odwiedziny do budnika i usiadłszy razem na belce pod blokiem lub na progu stacji, gawędzili pod nieszpór, ćmiąc fajki.

Wtedy to wśród przyjacielskiej rozmowy, przy wtórze zasypiających koników polnych, rechocie bagiennych żab, przyszło do wzajemnych zwierzeń.

Powoli wyszło na jaw, że Szymon Wawera nie zawsze był w życiu „sam jako ten palec”, że miał niegdyś młodą i piękną żonę i parę dziatek o główkach jasnych jak len, jedwabistych. Hej, minęło szczęście, minęło niewrotne! Żonę uwiódł spanoszony bogacz, dzieci śmierć zabrała. Odtąd nikt go nie oczekiwał w pustym, zimnym domu, gdy powracał z tury... Potem przyszedł karambol pod Wolą. Stracił wtedy nogę i służbę; musiał pójść na pensję. A miał jeszcze ochotę do pracy, o, i jaką ochotę!... Lecz trudno - nie można było inaczej. To przeklęte kalectwo!

A zawsze go coś ciągnęło do kolei. Nie mógł się z nią rozstać w żaden sposób. Przez parę lat po spensjonowaniu pracował jako posługacz przy magazynach na dworcu towarowym, staczając beczki i bale po pomostach, potem, gdy noga zaczęła odmawiać posłuszeństwa, zarabiał z dnia na dzień w ogrzewalni przy dworcu w Zbąszynie jako pomocnik ślusarski. A zawsze przy kolei, zawsze w pobliżu ukochanych wagonów, maszyn i przestrzeni. Dalekie to jeszcze od konduktorstwa, dalekie jak niebo od ziemi, ale przecież - przynajmniej się człowiek ocierał o kolej.

O, bo nie masz to jak konduktorska dola! Jedzie sobie człowiek tak w przestrzeń, jedzie hen, daleko przed siebie, milami jedzie, stajami... Świat mu się kręci, w dal ścieli, migają miasta w przelocie, mijają pola, gościńce... Konduktor tak jedzie, panowie, konduktor - człek-tułacz wieczysty!...

Tak mijały lata, płynął czas niepowrotną falą... Aż pół roku temu zasłyszawszy przypadkiem w rozmowie coś o „głuchej przestrzeni” między Orszawą a Byliczem porzucił ogrzewalnię i przeniósł się w te strony, by czuwać nad opuszczoną linią.
I oto teraz został budnikiem, co więcej, kierownikiem przystanku. Ludzie się podobno śmieją z niego, że to „głuchej” pilnuje przestrzeni i „przed wiatrem broni”. Niech się tam śmieją zdrowi. On swoje wie także. A rozdrapywać więcej toru nie pozwoli i porządek utrzyma. I oto znów służy kolei, i wrócił do niej jak syn marnotrawny w dom rodzica po latach. Dach nad głową ma, stację i przestrzeń ma, dobra kolejowego dogląda - czegóż mu więcej potrzeba?...
Słuchał Luśnia tych zwierzeń z uśmiechem na ustach, od czasu do czasu przytakując głową. A gdy przyjaciel na chwilę zamilkł i wpatrzył się zamyślony gdzieś w perspektywę toru, wyciągnął lulkę z zębów i zapytał:
- To ty, Wawera, przystałeś tu na budnika tak niby tego, jak by to powiedzieć, niby z takiej tęskności wielkiej do kolei, hę?
Wawera oderwał oczy od szyn:
- A niby tak, kochany kowalu, a niby tak.
- Ale bo widzisz, Szymek, właściwie tak Bogiem a prawdą - ty siebie samego tumanisz. Tyś tu właściwie niepotrzebny. Przecie to głucha przestrzeń i pociągi tędy od roku nie chodzą. Nie ma czego pilnować. Tego tam trochę żelaziwa w szynach? A co tam komu po tym? A zresztą choćby i ukradli? Nie taka znów wielka szkoda dla kolei. To tylko zabawka i tyle.
Wawerze jakby kto nóż utopił w serce. Spochmurniał, zaciął wargi i poderwał się z miejsca:
- Kiedy tak, to idźże sobie precz stąd, do licha! No, słyszałeś?! Won stąd, mówię, pókim dobry! Kiedyś taki mądry jak inni, to idź sobie pomiędzy nich i śmiej się ze mnie wraz z nimi. Ale dobrze mi tak, staremu durniowi! Po co było otwierać serce pierwszemu z brzegu? Oto masz i nagrodę. Napluło ci bydlę w twarz i splugawiło ci duszę. Won stąd, powiadam, bo mnie popamiętasz!
Luśnia zmieszał się, poczerwieniał, stropił się ogromnie. Głosem urywanym, pełnym skruchy i żalu zaczął się usprawiedliwiać i przepraszać.
- No, no, stary, nie gniewaj się, nie sierdź tak okrutnie. Ja, widzisz, chciałem co innego powiedzieć. Tylko nie wiedziałem jak. Zwyczajnie człek prosty jestem, kowal. Ty - co innego: konduktor; wieleś świata zwiedził, książki czytasz. Tylko, widzisz, nie mogłem sobie jakoś tego wykalkulować, po co ty właściwie zaszyłeś się tutaj na stare lata. Ale teraz to widzę, niby tak w sercu czuję, dlaczego. Tyś inny człowiek jak inni.
Wawera spojrzał nań z ukosa, trochę z niedowierzaniem, lecz znać już przejednany:
- No tak, to co innego. Jeśli sam przyznajesz, żeś głupi i nie rozumiesz, to ci ten raz jeszcze mogę wybaczyć. Bo, posłuchaj, Luśnia - dodał, zniżając tajemniczo głos - jest ci tu i inna przyczyna, co mnie tu więzi i trzyma. A że jest - ja to czuję najlepiej tu, głęboko w piersi - tylko jej nazwać jeszcze nie umiem po imieniu, tylko uchwycić jej jeszcze nie potrafię w cęgi słów. Ale ona jest, owa dziwna przyczyna - jest, jest na pewno.
Luśnia patrzył na przyjaciela rozszerzonymi od ciekawości oczyma:
- Masz teraz na myśli nie jeno ową tęskność do kolei?
- Nie, nie. To jest coś innego. Coś, co u mnie z ową tęsknotą się łączy, ale też istnieje i beze mnie, samo dla siebie.
- Co to takiego, Wawera?

- Sza! To tajemnica! Tajemnica „głuchej przestrzeni”. Zamilkli obaj zdjęci nagle nieokreślonym lękiem, zatapiając spojrzenia w mroczniejącą już szyję parowu. Wśród bezdennej ciszy sierpniowego wieczora nadpłynęły nagle od toru ciche, choć wyraźne szmery i szelesty. Jakieś seplenienia stłumione, jakieś poszepty lękliwe, poszczęki...
- Słyszysz, Luśnia? - przerwał milczenie budnik. - Szyny gwarzą...
- Zwyczajnie latem pod wieczór kurczą się od chłodu i przeto szczękają.
- Szyny gwarzą - powtórzył Wawera, puszczając mimo uszu objaśnienie kowala. - Gawędzą sobie wieczorem po znojach dnia.
- Szyny gadają - powtórzył jak echo Luśnia.
- Tak, tak - mówił dróżnik dziwnie rozmarzony. Czy myślisz, że one nie żyją jak my, ludzie, zwierzęta lub drzewa?
Kowal spojrzał zaskoczony pytaniem.
- Żyją, Luśnia, żyją, jeno swoim własnym, odmiennym od innych stworzeń życiem.
To stanowczo już przekraczało zakres pojęć kowala. Popatrzył poczciwiec na towarzysza jak na wariata, pokręcił głową i splunąwszy od niechcenia w bok, odsunął się trochę na prawo.
- A tor, myślisz, nie żyje, co? - następował nań rozgrzany biernym oporem Wawera. - A ten parów, ta stacja z blokiem, a ta cała przestrzeń, hę?
- Głucha przestrzeń - wtrącił półgłosem Luśnia.
- Głucha, powiadasz? Głucha i ciągle głucha! To wy jesteście głusi, wy, głupi, tępi ludzie, którzy słyszeć nie chcecie głosu Boga!
Kowal struchlał:
- Nic już nie wiem - bełkotał patrząc półprzytomny na towarzysza. - Nic nie rozumiem. Ale w Boga - to wierzę.
Dróżnik ze wzrokiem natchnionym, uśmiechnięty, promienny wskazał ręką przestrzeń nurzającą się już w mrokach wieczornych:
- Wszystko to żyje i wspomina.
Wspomina? - zagadnął żywo Luśnia. - A co wspomina?
- To, co minęło. To, co tu było przed laty. Tak jak my, ludzie, wspominamy przeszłość - dodał po chwili z głębokim smutkiem w głosie.
- To niby ta twoja przestrzeń wspomina swoją dawność?
- Tak, Luśnia, tak - nareszcie mnie zrozumiałeś.
Wspomina swoją dawność.
- Niby owe stare, dobre czasy...
- Tak, tak - gdy tu jeszcze panował ruch, gdy pociągi przelatywały jak błyskawice, dudniły głucho koła wozów, przepruwały przestrzeń gwizdy lokomotyw.
- To wspomina twoja przestrzeń.
- O tym śni ta moja przestrzeń, śni bez przerwy za dnia w słońcu i w długie, czarne, ślepe noce...
- A ty, Wawera, a ty?
- A ja wraz z nią niby ta bratnia dusza.
- Śnicie oboje, wspominacie?
- Śnimy w utęsknieniu wielkim i czekamy.
- Na co? Czego tu wyglądacie?
- Spełnienia tego, o czym śnimy.

- Daremne czekanie: dawność nie wraca.
- Kto ta wie, druhu stary, kto ta wie? Po to ja tu jestem, by ją wskrzesić.
Powstał z belki i podając kowalowi rękę na pożegnanie, dodał po chwili milczenia:
- Czy myślisz, że wspominanie - to nic, to tylko takie sobie puste słowo?
Zapuścił bystre spojrzenie w dół, na dno parowu, musnął nim nasyp, tory i zatrzymał się na zboczach wąwozu:
- Tu wszędzie żyją te wspominki; wałęsają się dla oka ludzkiego niewidoczne pomiędzy ścianami tego jaru, tłuką po tych szynach, włóczą hen, po całej przestrzeni. Tylko trzeba umieć patrzeć i słuchać.
- Wspominki dawnych lat?
- Wspominki - ślady niezatarte. Bo pomyśl, Luśnia, pomyśl tylko, czy to możliwe, by po tym wszystkim nie zostało nic!
- Niby po czym?
- Pomyśl tylko! Tyle lat, tyle dziesiątków lat przejeżdżały tą gardzielą pociągi, napełniając ją łoskotem kół, grzechotaniem relsów, tyle lat zbocza tego parowu podawały sobie na przemian niby piłki rozbudzone echa. Dzień w dzień, noc w noc rodziły się i marły w tej wąskiej, ciasnej szyi wiry powietrza, wieszały się po szkarpach łachmany dymów, tuliły mgliste ich smoczki do nasypu, kryły pod sklepem tunelu...
- Co chciałeś rzec, Wawera?
- Chciałem rzec jeno, że wspomnienia nie giną. Dobranoc ci, Luśnia, dobranoc!
I tak się w ten wieczór rozstali...
Tymczasem minęło lato, zaczęła się jesień. Dróżnik wciąż wiernie stróżował na swojej przestrzeni. Czujny jak żuraw nie przeoczył najmniejszej usterki na linii. Jeśli gdzieś przypadkiem obsunęła się nawierzchnia, zaraz podsypywał świeżego szutru i zrównywał z poziomem. Gdy w którąś noc październikową szalona ulewa podmuliła tor, wyżerając w nasypie znaczną wyrwę, nazajutrz budnik pracował przez cały dzień bez wytchnienia, póki szkody nie usunął. Umocnił w kilku punktach pętlicy wychwierutane podkłady, gdzie indziej zastąpił stare już, stoczone przez czerwy progi nowymi. Zielska i trawy na torze nie znosił: gdziekolwiek się rzuciło pomiędzy szyny, plewił niemiłosiernie.
Toteż po upływie siedmiu miesięcy jego „urzędowania” wyglądały przestrzeń i przystanek wzorowo. W dal mknęły wstęgi relsów po nawierzchni posypanej żwirem czyściutkim i miałkim jak piasek, z lekkim chrzęstem przerzucały się naoliwione starannie dźwignie blokowe, wykonywało stawidło swe zwroty gładko i sprawnie jak rumak w tresurze maneżu. Dwa razy na dzień i raz w ciągu nocy odbywał Wawera tzw. „ćwiczenia” i „manewry”, które polegały na szeregu czynności i ruchów wykonywanych zwykle przez dróżników w chwili przejazdu pociągów przez ich placówki. Krokiem sprężystym, krokiem starego weterana wychodził budnik przed stację, brał do ręki sygnał, szeroką, czerwoną lub zieloną tarczę na białym polu, i stawał wyprostowany jak struna między zwrotnicą a budką. Kiedy indziej puszczał w ruch kolbę stawidła lub żelazne dźwignie na bloku i przerzucał szyny na torze. Wieczorami zapalał zielony sygnał za szybką zwrotnicy i drugi, podobny lub biały, na semaforze daleko przed przystankiem, opodal tunelu. Czasami na „nocny alarm” zmieniał światła sygnałów, które wtedy z daleka już ostrzegały barwą rubinu...
A jednak mimo wszystko smutno było na przystanku. Mimo pozorów ruchu i sprawności budnika wiało od przestrzeni pustką jakąś i martwotą. Bezwiednie musiał to odczuwać i Wa-

wera, bo gdy na chwilę oderwał się od pracy i wzrokiem błądził po szynach, z oczu wyglądała mu tęsknota i jakaś głęboka zaduma. Dlatego też po krótkim spoczynku tym żarliwiej brał się do pracy.
Powoli, z biegiem miesięcy, wytworzył się między nim a przestrzenią nieuchwytny, choć nader zażyły związek. Wawera stał się z czasem jakby ucieleśnioną w kształcie człowieczym jej świadomością. Obcując ze swą strefą niemal bez przerwy wchłonął wszystkie drzemiące tu tajemnie ślady przeszłości, a wessawszy w siebie, oddawał z powrotem wzmocnione tęsknotą, pulsujące żywą, gorącą krwią kochającego serca.
- Poczekaj, siostrzyczko - szeptał nieraz, topiąc pijane zadumą oczy w siną dal przestrzeni - poczekaj jeszcze trochę, gołąbko! Doczekamy się w końcu, doczekamy.
I przypadał do toru, przykładał ucho do ziemi i słuchał, słuchał z zapartym tchem. Po chwili na twarzy jego żółtej, pomarszczonej rozlewał się przykry wyraz rozczarowania, a z ust zwiędłych, zwiotczałych wypływało słowo zniechęcenia :
- Jeszcze nie... Jeszcze za wcześnie...
Nieraz wieczorami pod zorzę zachodu wlepiał godzina | mi całymi utęsknione oczy w czerniejącą z dala czeluść tunelu i czekał na coś, czekał bez końca...
A tymczasem przyszły złe wieści z miasta. Pewnego dnia przyniósł Luśnia fatalną wiadomość, że dyrekcja ruchu w Orszawie zamierza najpóźniej z wiosną przystąpić do rozebrania przestrzeni. Wawera zgryzł się tym okrutnie i przechorował się ciężko. Po upływie tygodnia dźwignął się wreszcie z łóżka, lecz okropnie zmieniony. Małomówny z natury, teraz zamknął się w sobie zupełnie i absolutnie z nikim nie chciał rozmawiać. Nawet Luśni zabronił wstępu do siebie i z daleka zoczywszy nadchodzącego, zawracał go z drogi gestem ręki. Sposępniał, sponurzał i w oczach miał jakieś dzikie, niedobre światła...
Aż dnia jednego, pod zmierzch, w burzliwy, listopadowy odwieczerz, podczas „manewrów" ze zwrotnicą nagle drgnął.
- Przysłyszało mi się czy co? - mruknął wypuszczając z rąk kolbę przyrządu.
Naraz pojaśniało mu w oczach. Strumień nadludzkiej radości przepłynął serce i wstrząsnął nim całym do posad. Wśród wycia jesiennego wichru, wśród świstu zawieruchy po raz pierwszy usłyszą ł...
To już nie było złudzenie, o nie! Stamtąd nadpłynęło, stamtąd, od tunelu, najwyraźniej w świecie! To było t o, tym razem niewątpliwie t o!... O! Znowu! Trochę bliżej... Słodkie, kochane dudnienie! Drogi, nieoceniony łoskot, cudny, rytmiczny łoskot!...
- Ta, ta, ta!... Ta, ta, ta!... To on! To on! Nie ulegało już wątpliwości! I wybiegł na spotkanie. Wiatr zerwał mu czapkę, zdarł płaszcz z ramion, targnął nim z pasją, nielitościwie... Nie zważał. Z rozwianym włosem, śnieżnobiałym włosem, z wyciągniętymi przed się entuzjastycznie rękoma słuchał dziwnego odgłosu jak najcudniejszej muzyki...
- Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... Lecz po chwili umilkło; i znów gwizdał tylko wiatr w wściekłych przegonach, kwiliły wrony pod ołowianym niebem...
Ze zwieszoną głową powrócił dróżnik do swej budki...
Lecz odtąd, od pamiętnego wieczora, nadzieja jasna rozkwitła mu w duszy i dościgała w spełnienie. Bo oto z dniem każdym słyszał coraz wyraźniej, coraz bliżej, coraz dobitniej. Po chwili milkło wprawdzie, głuchło gdzieś, rozwiewało się, lecz nazajutrz, o zmroku, w tę dziwną godzinę przesilu dnia z nocą znów powracało mocniej już, głośniej, prawie namacalnie...
Aż przyszła godzina ziszczenia.

W jakąś noc grudniową, noc śniegiem zawianą, gdy znużony czuwaniem schylił siwą głowę głęboko ku piersi, zabrzmiał sygnał...
Wawera zadrżał i obudził się:
- Co to?!
- Bimbam... - zabrzmiało powtórnie. - Bimbam... Sygnalizator grał. Po raz pierwszy od czasu objęcia służby usłyszał budnik kucie młotków...
Pokraśniał cały, trzęsącymi się rękoma włożył czapkę, zarzucił szynel na ramiona i porwawszy latarkę, wybiegł przed budkę.
- Bimbam... - grało na słupie.
- Idę już, idę - szepnął, słaniając się na nogach ze wzruszenia.
Całą siłą woli opanował się, sprężył w służbowej postawie i podniósłszy wysoko sygnał świetlny do góry, czekał.
- Ta, ta, ta... Ta, ta, ta... - dudniało na przestrzeni.
- Trach, trach, trach... Trach, trach, trach... - gruchotały szyny.
Dróżnik zatopił głodne spojrzenie w gardziel tunelu...
- Ta, ta, ta!... Ta, ta, ta!...
Nareszcie zobaczył. W wylocie czeluści zaświeciła para oczu, para olbrzymich, złotożółtych ślepiów i rosła, rosła, zbliżała się...
Budnikowi lotem błyskawicy przeszła myśl przez głowę:
- Przejedzie czy stanie?

W tej chwili rozległ się zgrzyt gwałtownie zahamowanych kół i pociąg zatrzymał się przed przystankiem. Wawera nie drgnął, nie ruszył się z miejsca. Patrzył...
Z wozu służbowego wysiadł kierownik ruchu i zmierzał w stronę dróżnika. Ze stopni wagonów zeskoczyło kilku konduktorów, jakiś kontroler w służbie i podeszli ku niemu.
- Dobry wieczór, Wawera! - pozdrowił wyciągając przyjaźnie rękę kierownik. - Czekałeś długo na nas, mój stary, co? No i nareszcie doczekałeś się.
Wawera ściskał podaną dłoń! Łzy słodkie, łzy szczęścia dławiły słowa:
- Wedle rozkazu, panie kierowniku, na posterunku.
- Dobry wieczór, kolego! - witali go konduktorzy. - Witaj nam, stary druhu!
I otoczyli go kołem. Ktoś zabrał mu sygnał i przypiął latarkę do piersi, ktoś inny wcisnął „klucz” konduktorski do ręki.
- No, panowie - zabrzmiał donośny głos kierownika. - Komu w drogę, temu czas! Wawera, jedziesz naturalnie z nami?
- Po ciebieśmy tu przyjechali - zagrzmiał zgodny chór kolegów. - Dość ci już chyba drożnikowania?
W piersi Wawery łkało coś ze szczęścia bez miary. Spojrzał raz jeszcze przez mgłę łez na przystanek, na domek swój śniegiem zasuty, na topolę samotną w ogródku i ruszył ku wozom:
- Ja z wami, koledzy - ja z wami na śmierć i na życie!
I wszedłszy na stopień wagonu jak przed laty, podniósł latarkę w stronę maszyny i krzyknął gromkim głosem:
- Jazda!
Pociąg ruszył z przeciągłym gwizdem i potoczył się w przestrzeń...

Nazajutrz, w mroźny, grudniowy poranek, zastał Luśnia dróżnika przed budką w postaci służbowej z wyciągniętą w górę ręką i z zagasłą latarką w skostniałych palcach.
- Wawera, co tobie? - zagadnął, wpatrując się bystro w twarz przyjaciela z zastygłym na ustach uśmiechem. I dotknął jego ramienia. Wtedy budnik sztywny jak kłoda zwalił mu się pod nogi.
- Zamarzł! - szepnął kowal biorąc zwłoki w ramiona - zamarzł na śmierć na placówce.
I złożył go ostrożnie w budce na tapczanie...
Wieści o zamierzonym rozbiorze przestrzeni okazały się przedwczesne; przetrwała jeszcze jedną wiosnę i lato. Lecz mówiono w okolicy, że od śmierci Wawery pętlica jakby ożyła. Zwłaszcza pod wieczór wąwóz rozbrzmiewał echem dziwnych odgłosów. Dudniły jakieś pociągi, szczękały rozpętane koła, oddychała ciężko uznojona maszyna. Skądś z przestrzeni nadpływały na skrzydłach wiatru jakieś sygnały, rozlegały się przeciągłą skargą gwizdy świstawek, grały pobudkę odjazdu niewidzialne trąbki...
Ludzie omijali chętnie tę stronę, z lękiem obchodząc ją kołem. Nawet ptactwo spłoszone niezwykłym łoskotem porzuciło dziwny parów i przeniosło się w inne, gościnniejsze strony.
Dopiero gdy pod jesień następnego roku usunięto szyny i rozebrano budkę dróżnika, wszystko ucichło i „głucha przestrzeń" zamilkła na zawsze,

Smoluch

Starszy konduktor, Błażek Boroń, obszedłszy powierzone swej opiece wagony, wrócił do zakątka oddanego jego wyłącznej dyspozycji, tzw. „miejsca przeznaczonego dla konduktora”.
Znużony całodzienną włóczęgą po wozach, zachrypły od wywoływania stacji w jesienną, mgłą napęczniałą porę, zamierzał odpocząć trochę na wąskim, ceratą obitym krzesełku; uśmiechała mu się godnie zasłużona sjesta. Dzisiejsza tura właściwie skończyła się; pociąg przebył już strefę gęsto w bliskich odstępach rozmieszczonych przystanków i wyciągniętym kłusem zmierzał do stacji kresowej. Aż do końca jazdy nie będzie już Boroń zrywał się z ławeczki i zbiegał po stopniach na parę minut, by zdartym głosem oznajmiać światu, że jest stacja taka a taka, że pociąg zatrzymał się na minut pięć, dziesięć lub cały długi kwadrans, lub że czas już przesiadać.
Zgasił latarkę przypiętą do piersi i postawił ją wysoko nad głową na półce, zdjął szynel i zawiesił na kołku.
24 godzin służby bez przerwy wypełniły mu tak szczelnie czas, że niemal nic nie jadł. Organizm domagał się swych praw. Boroń wydobył z torby wiktuały i zaczął się posilać. Siwe wypłowiałe oczy konduktora utknęły nieruchomo w szybie wagonu i patrzyły w świat poza oknami. Szyba trzęsła się w podrzutach wozu, wciąż jednakowo gładka i czarna - nie widział przez nią nic.
Oderwał oczy od monotonii ramy i skierował w głąb korytarza. Spojrzenie prześliznęło się po pierzei drzwi, wiodących do przedziałów, przerzuciło na ścianę okien naprzeciw i zgasło na nudnym szlaku chodnika podłogi.
Skończył „kolację” i zapalił fajeczkę. Był wprawdzie w służbie, lecz na tej przestrzeni, zwłaszcza tuż przed metą, nie obawiał się kontrolera.
Tytoń dobry, przemycony nad granicą, ćmił się w kolistych, wonnych skrętach. Z ust konduktora wysnuwały się giętkie taśmy i zwinąwszy się w kłębki, toczyły jak kule bilardowe wzdłuż wagonowego pasażu - to znów wypadały gęste, zwarte cewki, przeciągały leniwo błękitne trzony i pękały u stropu petardą dymu. Boroń był mistrzem w paleniu fajki...
Z wnętrza przedziałów przypłynęła fala śmiechu: goście byli w dobrych humorach.
Konduktor zacisnął zęby ze złością; z ust padły słowa pogardy:
- Komiwojażerowie! Handlarska branża! Boroń zasadniczo nie cierpiał pasażerów; irytowała go ich „praktyczność”. Dla niego istniała kolej dla kolei, nie* dla podróżnych. Zadaniem kolei było nie przewożenie ludzi z miejsca na miejsce w celach komunikacyjnych, lecz ruch jako taki i pokonywanie przestrzeni. Co ją mogły obchodzić marne interesy ziemskich pigmejów, zabiegi przemysłowe oszustów, plugawe przetargi handlarzy? Stacje były nie na to, żeby na nich wysiadać, lecz by mierzyły przebytą drogę; przystanie kolejowe były probierzem jazdy, ich kolejna zmiana, jak w kalejdoskopie, dowodem postępów ruchu.

Toteż z pogardą spoglądał zawsze konduktor na tłumy, cisnące się przez drzwi wagonów na peron i na odwrót, z grymasem ironii obserwował zadyszane jejmoście i rozgorączkowanych pośpiechem jegomościów, pędzących na łeb, na szyję wśród krzyków, przekleństw, czasem szturchańców do przedziałów, by „zająć miejsce” i ubiec towarzyszy z owczego stada.
- Trzoda! - spluwał przez zęby. - Jak gdyby Bóg wie co na tym świat u zależało, by jakiś tam pan B. lub jakaś tam pani W. przybyli „w porę” z F. do Z.
Tymczasem rzeczywistość stanowiła rażący kontrast z poglądami Boronia. Ludzie wciąż wsiadali i wysiadali na stacjach, wciąż cisnęli się z taką samą zapalczywością, zawsze w tych samych praktycznych zamiarach. Ale też konduktor mścił się za to przy każdej sposobności. W jego „rejonie”, obejmującym trzy do czterech wozów, nie było nigdy przepełnienia, tej ohydnej duśby motłochu, która kolegom odbierała nieraz ochotę do życia i była ciemną plamą na horyzoncie szarej, konduktorskiej doli.
Jakich używał środków, jakimi szedł drogami, by osiągnąć ten ideał, nieziszczalny dla innych towarzyszy zawodu, o tym nikt nie wiedział. Faktem było, że nawet w czasie największej frekwencji w porze świątecznej wnętrza wagonów Boronia zdradzały normalny wygląd; przejścia były wolne, w kuluarach oddychało się powietrzem znośnym. Siedzeń nadliczbowych i miejsc stojących konduktor nie uznawał. Surowy dla siebie i wymagający w służbie, umiał też być nieubłaganym dla podróżnych. Przepisów przestrzegał dosłownie, z drakońskim nieraz okrucieństwem. Nie pomagały wybiegi, podstępne szacherki, zręczne wślizgiwanie w rękę „łapówek” - Boronia nie można było przekupić. Parę osób nawet zaskarżył z tego powodu, jednego osobnika wypoliczkował za obrazę i przed władzami wyszedł obronną ręką. Nieraz też zdarzało się, że w środku jazdy, gdzieś na jakimś nędznym przystanku, na jakiejś lichej stacyjce, w czystym polu, wypraszał grzecznie, lecz stanowczo z wagonu oszukującego „gościa”.
Dwa razy tylko w ciągu swej długoletniej kariery natknął się na „godnych” pasażerów, którzy odpowiadali poniekąd jego ideałowi podróżnych.
Jednym z tych rzadkich okazów był jakiś bezimienny włóczęga, który bez centa przy duszy wsiadł do przedziału pierwszej klasy. Gdy Boroń zażądał karty jazdy, obdartus wytłumaczył mu, że biletu nie potrzebuje, bo jedzie bez określonego celu, tak sobie, w przestrzeń, dla przyjemności, z wrodzonej potrzeby ruchu. Konduktor nie tylko uznał rację, lecz przez cały przeciąg jazdy czuwał troskliwie nad wygodą gościa i nie wpuszczał nikogo do jego przedziału. Poczęstował go nawet połową swych prowiantów i zapalił z nim fajeczkę wśród przyjacielskiej pogawędki na temat: podróż na chybił trafił.
Drugi podobny pasażer zdarzył mu się parę lat temu na przestrzeni między Wiedniem a Triestem. Był nim niejaki Szygoń, podobno właściciel ziemski z Królestwa Polskiego. Sympatyczny ten człowiek, zresztą na pewno zamożny, również wsiadł bez biletu do pierwszej klasy. Zapytany, dokąd jedzie, odpowiedział, że właściwie sam nie wie, gdzie wsiadł, dokąd zdąża i po co.
- W takim razie - zauważył Boroń - może by najlepiej było wysiąść na najbliższej stacji.
- Ej nie - odparł niezrównany pasażer - nie mogę, dalibóg nie mogę. Muszę jechać naprzód; coś mnie pędzi. Wystaw pan bilet, dokądkolwiek mu się podoba.
Odpowiedź oczarowała go do tego stopnia, że pozwolił mu jechać aż do końcowej stacji za darmie i nie naprzykrzał się już ani razu. Ów Szygoń podobno uchodził za wariata, lecz zdaniem Boronia, jeśli w ogóle był bzikiem, to bzikiem we wielkim stylu.

Tak, tak - istnieli jeszcze na szerokim świecie doskonali podróżni, lecz czymże były nieliczne perły w morzu hołoty? Konduktor nieraz wracał z utęsknieniem ku tym dwom świetnym zdarzeniom swego życia, pieszcząc duszę wspomnieniami chwil wyjątkowych...
Przeważył głowę wstecz i śledził ruchy błękitnoszarych smug, porozwieszanych warstwami w korytarzu. Ponad miarowy stuk szyn wydostał się powoli szypot gorącej pary, pędzonej w rury. Usłyszał bulgotanie wody w zbiornikach, czuł ciepły jej napór o brzegi naczyń: ogrzewano przedziały, bo wieczór był chłodny.
Momentalnie lampy u szczytu zmrużyły świetlne rzęsy i gasły. Lecz nie na długo, bo już w następnej chwili gorliwy regulator wstrzyknął automatycznie świeżą dozę gazu, który podsycił słabnące palniki. Konduktor uczuł jego specyficzną, ciężką woń, przypominającą trochę koper włoski.
Zapach był mocniejszy od dymu fajeczki, wnętliwszy i mącił zmysły...
Nagle Boroniowi zdało się, że słyszy stąpanie bosych nóg po podłodze korytarza.
- Duh, duh, duh - dudniły gole stopy - duh, duh, duh...
Konduktor wiedział już, co to znaczy; nie po raz pierwszy słyszał te kroki w pociągu. Wychylił głowę i spojrzał w mroczną perspektywę wozu. Tam u końca, gdzie ściana załamuje się i cofa ku przedziałowi pierwszej klasy, ujrzał na sekundę jego jak zwykle nagie plecy - na sekundę tylko mignął jego wyprężony w kabłąk, zlany rzęsnym potem grzbiet.
Boroń zadrżał: Smoluch znów pojawił się w pociągu. Po raz pierwszy zauważył go lat temu 20. Było to na godzinę przed straszną katastrofą między Zniczem a Księżymi Gajami, w której zginęło przeszło 40 osób nie licząc wielkiej liczby rannych. Konduktor miał wtedy lat 30 i jeszcze silne nerwy. Pamięta dokładnie szczegóły, nawet numer nieszczęśliwego pociągu. Prowadził wtedy wagony końcowe i może dlatego ocalał. Dumny ze świeżo zdobytego awansu, odwoził do domu w jednym z przedziałów narzeczoną, swoją biedną Kasieńkę, jedną z ofiar nieszczęścia. Pamięta, jak wśród rozmowy z nią nagle uczuł dziwny niepokój:
coś go ciągnęło gwałtem na korytarz. Nie mogąc oprzeć się, wyszedł. Wtedy zobaczył u wylotu wagonowego przedsionka znikającą postać nagiego olbrzyma; ciało jego, zasmolone sadzą, zlane brudnym od węgla potem, wydzielało duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi.
Boroń rzucił się za nim i chciał przychwycić, lecz zjawisko rozpłynęło się w oczach. Słyszał tylko czas jakiś tupot bosych nóg na podłodze - duh, duh, duh - duh, duh, duh...
W jaką godzinę potem pociąg zderzył się z pospiesznym dążącym z Księżych Gajów...
Od tego czasu zjawił mu się Smoluch jeszcze dwukrotnie, każdym razem jako zapowiedź nieszczęścia. Po raz drugi ujrzał go na parę minut przed wykolejeniem pod Rawą. Smoluch biegł wtedy po desce na dachach wagonów i dawał mu znaki czapką palacza, którą zerwał z uznojonej głowy. Wyglądał mniej groźnie niż za pierwszym razem. Toteż obeszło się jakoś bez większych ofiar; wyjąwszy paru lekko rannych, nie zginął nikt.
Pięć lat temu, jadąc osobowym do Baska, zoczył go Boroń między dwoma wozami przejeżdżającej mimo towarówki, która zdążała ze strony przeciwnej do Wierszyńca. Smoluch siedział w kuczki na zderzakach i bawił się łańcuchami. Koledzy, którym zwrócił na to uwagę, wyśmiali go, nazywając bzikiem. Lecz najbliższa przyszłość przyznała mu rację; towarowy, przejeżdżając przez podmulony most, runął w przepaść tej samej nocy.
Przepowiednie Smolucha były nieomylne; gdziekolwiek zjawił się, groziła niechybna katastrofa. Trzykrotne doświadczenie umocniło Boronia w tym przekonaniu, ukształtowało głę-

boką wiarę kolejarza związaną ze złowieszczym pojawem. Konduktor żywił ku niemu cześć bałwochwalczą zawodowca i lęk jak przed bóstwem złym i niebezpiecznym. Otoczył swoje zjawisko specjalnym kultem, urobił sobie oryginalny pogląd na jego istotę.
Smoluch tkwił w organizmie pociągu, przepajał sobą jego wieloczłonowy kościec, tłukł się niewidzialny w tłokach, pocił w kotle lokomotywy, włóczył po wagonach. Boroń wyczuwał jego bliskość wkoło siebie, obecność stałą, ciągłą, lubo nie naoczną. Smoluch drzemał w duszy pociągu, był jego tajemnym potencjałem, który w chwilach groźnych, w momencie złych przeczuć wydzielał się, zgęszczał i przybierał ciało.
Sprzeciwiać mu się uważał konduktor za rzecz zbyteczną, nawet śmieszną; wszelkie ewentualne wysiłki, zmierzające ku temu, by zapobiec nieszczęściu, które zapowiadał, byłyby daremne, oczywiście bezskuteczne. Smoluch był jak przeznaczenie...
Ponowne ukazanie się dziwadła w pociągu, i to na krótko przed metą, wprawiło Boronia w stan silnego podniecenia. Lada chwila można się było spodziewać jakiejś katastrofy.
Powstał i zaczął przechadzać się nerwowo po korytarzu. Z wnętrza jednego z przedziałów doszedł go gwar głosów, śmiech kobiet. Zbliżył się i przez parę sekund patrzał w głąb. Zgasił wesołość.
Ktoś odsunął drzwi od sąsiedniego coupé i wychylił głowę:
- Panie konduktorze, daleko do stacji? ł
- Za pół godziny jesteśmy u celu. Docieramy do końca. Było coś w intonacji odpowiedzi, co uderzyło pytającego. Oczy jego zatrzymały się przez dłuższą chwilę na konduktorze. Boroń uśmiechnął się zagadkowo i przeszedł. Głowa znikła z powrotem we wnętrzu.
Jakiś mężczyzna wyszedł z przedziału klasy drugiej i otworzywszy okno na korytarzu, wyglądał w przestrzeń. Ruchy jego gwałtowne zdradzały jakby niepokój. Podniósł okno i oddalił się w stronę przeciwną, na koniec kuluaru. Tu zaciągnął się parę razy papierosem i rzuciwszy pożuty naustnik niedogarka, wyszedł na platformę wozu. Boroń widział przez szybę jego sylwetkę, przechylającą się ponad sztabę ochronną, w kierunku jazdy.
- Bada przestrzeń - mruknął uśmiechnięty złośliwie. - Nic nie pomoże. Licho nie śpi.
Tymczasem nerwowy pasażer wrócił do wagonu.
- Czy pociąg nasz skrzyżował się już z pospiesznym z Gronia? - zapytał z wysilonym spokojem, spostrzegłszy konduktora.
- Dotąd nie. Spodziewamy go się lada chwila. Zresztą być może, wyminiemy go na stacji kresowej; nie jest wykluczone spóźnienie. Pospieszny, który ma pan na myśli, nadjeżdża z bocznej linii.
W tej chwili odezwał się z prawej strony gwałtowny łoskot. Za szybą przemknął olbrzymi kontur zionący mietlicą iskier, a za nim lotem myśli prześmignął łańcuch czarnych pudeł, oświeconych wykrojami czworokątów. Boroń wyciągnął rękę w kierunku znikającego już pociągu :
- Otóż i on.
Niespokojny pan z westchnieniem ulgi wyciągnął papierośnicę i podał ją konduktorowi:
- Zapalmy sobie, panie konduktorze. Moerisy oryginalne.
Boroń przyłożył rękę do daszka czapki:
- Dziękuję pięknie. Ćmię tylko fajkę.
- Szkoda, bo dobre.
Podróżny zapalił sam papierosa i wrócił do coupe.

Konduktor uśmiechnął się szydersko za odchodzącym.
- Hę, hę, hę! Coś przeczuł! Tylko za prędko się uspokoił. Nie gadaj, brachu, hop, boś jeszcze nie przeskoczył.
Lecz szczęśliwe skrzyżowanie trochę go zaniepokoiło. Szansę wypadku zmniejszyły się o jedną.
A już były trzy kwadranse na dziesiątą - za 15 minut mieli stanąć w Groniu, u kresu jazdy. Po drodze nie było już żadnego mostu, który by mógł się zawalić; jedyny pociąg z przeciwnej strony, z którym by ewentualnie mogło zajść zderzenie, szczęśliwie wyminięto. Należało chyba spodziewać się wykolejenia lub też jakiejś katastrofy na samej stacji.
W każdym razie prognoza Smolucha musiała się sprawdzić - on za to ręczył, on, starszy konduktor Boroń.
Tu chodziło nie o ludzi, nie o pociąg ani o całość jego własnej małej osoby, lecz o nieomylność bosego widziadła. Boroniowi zależało niezmiernie na utrzymaniu powagi Smolucha wobec sceptycznych konduktorów, na zachowaniu jego prestiżu w oczach niedowiarków. Koledzy, którym parę razy opowiadał o tajemniczych jego odwiedzinach, brali sprawę z humorystycznego punktu widzenia, tłumacząc całą historię przywidzeniem lub co gorsza, zalaniem pały. Zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie bolało bardzo, ile że nigdy nie pijał. Kilku uważało Boronia za przesądnego bzika i pomyleńca. Toteż w grę wchodził poniekąd jego honor i zdrowy ludzki rozum. Wolał sam kark skręcić, niż przeżyć fiasko Smolucha...
Brakowało dziesięć minut do dziesiątej. Dopalił fajki i po schodach wszedł na szczyt wozu do oszklonej zewsząd budki. Stąd, z wysokości „bocianiego gniazda", leżała za dnia przestrzeń jak na dłoni. Teraz świat nurzał się w grubych ciemnościach. Od okien wozów odpadały plamy świateł, przeglądając zbocza nasypu żółtymi oczyma. Przed nim, w odległości pięciu wagonów, rozsiewała maszyna krwawe kaskady iskier, oddychał komin białoróżowym dymem. Czarny, dwudziestoprzegubowy wąż połyskiwał łuskami boków, zionął ogniem paszczy, oświetlał drogę otoczami ślepiów. W oddali majaczyła już zorza dworca.
Jakby czując bliskość upragnionej przystani, dobywał pociąg wszystkich sił i podwajał chyżość. Już mignął jak majak sygnał szyby dystansowej, nastawiony na wolny przejazd, już witały przyjaźnie podane ramiona semaforów. Szyny zaczęły się powielać, krzyżując w posetne linie, kąty, żelazne przeploty. Na prawo i lewo wypadały z mroków nocy niby na spotkanie latarki zwrotnic, wyciągały szyje stacyjne żurawie, studnie, ciężarowe dźwignie.
Wtem na parę kroków przed rozhukaną w pędzie lokomotywą zagrał czerwony sygnał. Maszyna wyrzuciła ze spiżowej gardzieli urwany gwizd, zazgrzytały hamulce i pociąg, powstrzymany szalonym wysiłkiem kontrapary, zatrzymał się tuż przed drugą zwrotnicą.
Boroń zbiegł na dół i przyłączył się do gromadki kolejarzy, którzy też powysiadali, by zbadać powód przerwy w ruchu. Blokowy, który dał znak ostrzegawczy, wyjaśnił sytuację. Oto tor pierwszy, na który miano zajechać, był chwilowo zajęty przez towarowy. Trzeba było więc przerzucić zwrotnicę i puścić pociąg na tor drugi. Zwyczajnie przeprowadza się ten manewr w bloku, za pomocą jednej z dźwigni. Tymczasem podziemne połączenie między nim a torami uległo jakiemuś uszkodzeniu, tak że blokmistrz musiał dokonać przesunięcia na przestrzeni. Spuścił więc tylko łącznik łańcuchowy w blokhauzie i przy pomocy klucza otworzył stawidło. Teraz miał dostęp bezpośredni do zwrotnicy i mógł już skierować szyny na tor właściwy.
Uspokojeni funkcjonariusze powrócili do wagonów, by czekać na hasło wolnego przejazdu. Boronia coś przykuło do miejsca. Wzrokiem błędnym patrzył na krwawy sygnał, jak odurzo-

ny słuchał chrzęstu przestawianych szyn.
- W ostatniej chwili zorientowali się! W ostatnim niemal momencie, na jakich 500 metrów przed stacją! Więc Smoluch kłamał?
Nagle zrozumiał swoją rolę. Szybko zbliżył się ku blokowemu, który założywszy kolbę, przerzucał stawidło i zmieniał barwę sygnału na zieloną.
Za wszelką cenę należało odciągnąć tego człowieka od zwrotnicy i zmusić do opuszczenia stanowiska.
Tymczasem koledzy już dawali znaki do wymarszu. Od końca pociągu szło już podawane z ust do ust hasło - „Jazda"!
- Zaraz! Czekać tam! - krzyknął Boroń.
- Panie zwrotniczy! - zwrócił się półgłosem do wyprężonego w postawie służbowej funkcjonariusza. - Tam na pańskim bloku widać jakiegoś włóczęgę!
Blokowy zaniepokoił się. Wytężył wzrok w kiemnku ceglanego domku.
- Prędzej! - podszczuwał Boroń. - Ruszaj pan z miejsca! Gotów poprzerzucać dźwignie, popsuć przyrządy!
- Jazda! Jazda! - brzmiały zniecierpliwione głosy konduktorów.
- Czekać, do stu piorunów! - zaoponował Boroń.
Zwrotniczy, zniewolony siłą głosu, szczególną mocą nakazu rzucił się biegiem ku blokowi.
Wtedy Boroń korzystając z chwili chwycił za kolbę stawidła i na powrót połączył szyny z torem pierwszym.
Manewr wykonany był zręcznie, szybko i cicho. Nikt nie zauważył.
- Jazda! - krzyknął, usuwając się w cień.
Pociąg ruszył, nadrabiając spóźnienie. Za chwilę zasuwał się w mroki przestrzeni już ostatni wagon, wlokąc za sobą długi, czerwony szlak latarni...
Po chwili nadbiegł od bloku zbity z tropu zwrotniczy i oglądnął starannie pozycję stawidła. Coś mu się nie podobało. Podniósł do ust gwizdawkę i dał trzykrotny, rozpaczliwy sygnał.
Za późno!
Bo oto od strony stacji wstrząsnął powietrzem okropny łoskot, głuchy, dudniący huk detonacji, a potem piekielna wrzawa, zgiełk i jęki - lament, płacz i wycie splecione w jeden dziki chaos ze szczękiem łańcuchów, trzaskiem druzgotanych kół, łomotem miażdżonych bezlitośnie wagonów.
- Karambol! - szeptały zbielałe wargi. - Karambol!...

Sygnały

Na dworcu towarowym, w starym, dawno z obiegu wyszłym wagonie pocztowym zgromadziło się jak zwykle na pogawędkę kilku wolnych od służby kolejarzy. Było trzech kierowników pociągu, starszy kontroler Trzpień i zastępca naczelnika stacji Haszczyc.

Ponieważ październikowa noc była dość chłodna, więc zapalili ogień w żelaznym piecyku, którego rurę wpuszczono w otwór dachu. Szczęśliwy ten pomysł zawdzięczało grono inwencji kierownika Świty, który osobiście sprowadził rdzą już przeżarty ogrzewacz, wyrzucony z jakiejś poczekalni, i przystosował go wybornie do zmienionych warunków. Cztery drewniane, podartą ceratą obciągnięte ławki i stół ogrodowy o trzech nogach i szerokiej jak tarcza płycie uzupełniały urządzenie wnętrza. Nad głowami siedzących zawieszona na haku latarnia rozsiewała po twarzach przymglone światło półmroku.

Tak wyglądało „kasyno kolejowe" funkcjonariuszy stacji Przełęcz, przygodny przytułek dla bezdomnych kawalerów, cicha, ustronna przystań dla luzujących się w służbie konduktorów. Tutaj w chwilach wolnych schodzili się strawieni jazdą bywalcy, stare, osiwiałe „wilki kolejowe", by wytchnąć po odbytej turze i pogwarzyć z kolegami zawodu. Tutaj w dymie konduktorskich fajek, w czadzie tytoniu, prymki, papierosów, tułały się echa opowieści, tysięcznych przygód i anegdot, snuło przędziwo kolejarskiej doli.

I dziś posiedzenie gwarne było i ożywione, zespół wyjątkowo dobrany, sama stacyjna „śmietanka". Właśnie przed chwilą opowiedział Trzpień ciekawy epizod z własnego życia i zdołał tak przykuć uwagę słuchaczy, że zapomnieli podsycić dogorywające fajeczki i teraz trzymali je w zębach zimne już i wygasłe jak wystygłe kratery wulkanu.

W wagonie zaległa cisza. Przez zwilżone kroplami dżdżu okno widać było mokre dachy wozów lśniące pod światło reflektorów jak stalowe pancerze. Od czasu do czasu przemknęła latarka budnika, mignął niebieski sygnał maszyny przetokowej; od czasu do czasu rozrywał ciemności zielony refleks zwrotnicy, zagrał czerwony krzyk drezyny. Z dala spoza czarnego szańca drzemiących wozów dochodził stłumiony gwar dworca głównego.

Przez rozstęp między wagonami przeglądała część toru: parę równoległych pasów szyn. Na jeden z nich zajeżdżał powoli wypróżniony już pociąg, znużone całodzienną gonitwą tłoki pracowały leniwo, ospale przerabiając ruch swój na obroty kół.

W pewnej chwili parowóz stanął. Spod piersi maszyny wytoczyły się kłęby oparów i otuliły pękaty kadłub. Światła latarń na czole olbrzyma zaczęły uginać się w tęczowe glorie, złociste obręcze i przepajać sobą chmurę pary. W jakimś momencie wynikła optyczna złuda: lokomotywa, a wraz z nią wagony uniosły się ponad zwały par i tak trwały przez pewien czas zawieszone w powietrzu. Po paru sekundach pociąg wrócił do poziomu szyn, wydzielając z organizmu ostatni wysiąk, by odtąd pogrążyć się w zadumę nocnego spoczynku.

- Piękne złudzenie - zauważył Świta, który od dłuższego już czasu wyglądał przez szybę. - Widzieliście panowie ten pozorny wzwód maszyny?
- Rzeczywiście - potwierdziło parę głosów.
- Przypomniało mi to legendę kolejarską słyszaną przed laty.
- Opowiadajcie ją, Świta, prosimy - zachęcił Haszczyc.
- Prosimy, prosimy!
- Owszem - historia niedługa; można ją streścić w paru słowach. Krąży pomiędzy kolejarzami jako opowieść o pociągu, który zniknął.
- Jak to zniknął? Ulotnił się czy jak?
- No nie. Zniknął - nie znaczy jeszcze: przestał istnieć! Zniknął - to znaczy: nie ma go pozornie dla oka ludzkiego - w rzeczywistości zaś gdzieś jest, gdzieś przebywa, chociaż nie wiadomo gdzie. Fenomen ten miał wywołać pewien naczelnik stacji, jakiś dziwak ogromny, a może czarownik. Sztuki dokonał przez szereg w specjalnym porządku po sobie następujących sygnałów. Zjawisko zaskoczyło go znienacka, jak sam potem utrzymywał. Oto bawił się sygnałami, które kombinował w najrozmaitszy sposób, zmieniając ich następstwo i jakość. Aż raz, po wypuszczeniu siedmiu takich znaków, pociąg zajeżdżający na jego stację nagle w pełnym biegu uniósł się w górę równolegle do toru, zawahał parę razy w powietrzu, po czym przechyliwszy się pod kątem, zniknął i rozwiał się w przestrzeni. Odtąd nikt więcej nie widział ani pociągu, ani ludzi, którzy nim jechali. Mówią, że pojawi się z powrotem, gdy ktoś wyda te same sygnały, lecz w porządku odwrotnym. Naczelnik, niestety, wkrótce potem zwariował i wszelkie próby wydobycia zeń prawdy spełzły na niczym; obłąkaniec zabrał ze sobą klucz do tajemnicy. Chyba przypadek zdarzy, że ktoś trafi na właściwe znaki i wywabi pociąg z czwartego wymiaru na ziemię.
- Awantura jakich mało - zauważył kierownik Zdański. - A kiedy zaszło to cudowne zdarzenie? Czy legenda nie określa go czasowo?
- Jakich sto lat temu.
- Pi, pi! Ładny szmat czasu! W takim razie pasażerowie z wnętrza pociągu byliby w chwili obecnej o cały wiek starsi. Proszę wyobrazić sobie, co by to był za spektakl, gdyby tak dziś, jutro udało się jakiemuś szczęśliwcowi odnaleźć apokaliptyczne sygnały i zdjąć siedm pieczęci czaru. Ni stąd, ni zowąd zaginiony pociąg nagle spada z nieba na ziemię, wypoczęty należycie po stuletniej nirwanie, i wysypuje t wagonów tłum uginających się pod ciężarem wieku staruszków.
- Zapomniałeś o tym, że w czwartym wymiarze prawdopodobnie nie potrzebują ludzie ani jedzenia, ani napoju i nie starzeją się.
- Racja - zawyrokował Haszczyc - święta racja. Piękna legenda, kolego, bardzo piękna.
Umilkł, coś sobie przypominając. Po chwili, nawiązując do słów Świty, rzekł w zamyśleniu:
- Sygnały, sygnały... I ja coś o nich potrafię opowiedzieć - tylko nie legendę, lecz historię prawdziwą.
- Słuchamy! Prosimy! - odezwał się chór kolejarzy. Haszczyc oparł łokieć o blat stołu, nałożył fajeczkę i wyrzuciwszy pod strop wozu parę mlecznych kręgów, zaczął swoją opowieść.
Pewnego wieczora, koło godziny siódmej, zaalarmowano stację Dąbrowa sygnałem: „wozy odbiegły"; młotek dzwonka oddał cztery po cztery uderzenia w odstępach trzech sekund. Zanim naczelnik Pomian zdołał zorientować się, skąd nadszedł sygnał, nadpłynął z przestrzeni znak nowy; odezwały się po trzy uderzenia na przemian z dwoma dane czterokrotnie. Urzęd-

nik zrozumiał; znaczy to: „wszystkie pociągi zatrzymać”. Niebezpieczeństwo wzmogło się widocznie.
Wnosząc z pochyłości toru i kierunku silnego wiatru, wiejącego z zachodu, oderwane wozy biegły naprzeciw pociągu osobowego, który właśnie odchodził ze stacji.
Należało koniecznie pociąg wstrzymać i cofnąć parę kilometrów w stronę przeciwną, jako też kryć podejrzaną partię przestrzeni.
Ekspedient, młody, energiczny urzędnik, wydał stosowne zarządzenia. Osobowy szczęśliwie zawrócono z drogi, a równocześnie wysłano ze stacji maszynę z ludźmi, których zadaniem było wstrzymać biegnące samopas wagony. Lokomotywa ostrożnie posuwała się w niebezpiecznym kierunku, rozświetlając sobie drogę trzema potężnymi reflektorami; przed nią w odległości 700 m szło dwóch dróżników z zapalonymi pochodniami i tropiło uważnie linię.
Lecz ku zdumieniu całego personalu wozów odbiegłych nigdzie po drodze nie spotkano i po dwugodzinnej, oględnej do ostatecznych granic jeździe maszyna zawinęła do najbliższej stacji Głaszów. Naczelnik przyjął ekspedycję z ogromnym zdziwieniem. Nikt o sygnałach nic nie wiedział, przestrzeń absolutnie była pewną i żadne niebezpieczeństwo z tej strony nie zagrażało. Zbici z tropu funkcjonariusze wsiedli na maszynę i około jedenastej w nocy powrócili do Dąbrowy.
Tutaj tymczasem zaniepokojenie wzrosło. 10 minut przed powrotem parowozu dzwonki znowu odezwały się, tym razem domagając się przysłania lokomotywy ratunkowej z robotnikami. Urzędnik ruchu był w rozpaczy; zdenerwowany sygnałami płynącymi wciąż od strony Głaszowa, przemierzał niespokojnymi krokami peron, wychodził na linię, to znów wracał do biura stacyjnego, bezradny, przerażony, wylękły.
Istotnie sytuacja była przykra. Alarmowany co kilkanaście minut kolega z Głaszowa odpowiadał zrazu z flegmą, że wszystko w porządku; potem zniecierpliwiony zaczął łajać od półgłówków i wariatów. A tu tymczasem szły sygnały za sygnałami, coraz natarczywiej dopraszające się wysyłki wagonów robotniczych.
Czepiając się, jak tonący ostatniej deski ratunku, zatelegrafował Pomian w stronę przeciwną, do Zbąszyna, przypuszczając nie wiadomo dlaczego, że stamtąd idzie alarm. Oczywiście odpowiedziano przecząco; i tam wszystko szło wzorowym porządkiem.
- Czy ja zwariowałem, czy tamci nie przy zmysłach? - zapytał w końcu przechodzącego blokmistrza. - Panie Sroka, czy słyszał pan te przeklęte dzwonki?
- Słyszałem panie naczelniku, słyszałem. O znowu! Ki kaduk?
Rzeczywiście, nieubłagane młotki tłukły ponownie o żelazne kresy; wołały o pomoc robotników i lekarzy.
Na zegarze mijała wtedy już pierwsza. Pomian wpadł we wściekłość.
- A co mnie to wszystko wreszcie, do stu piorunów, obchodzi? Stąd: wszystko w porządku, stamtąd: wszystko na miejscu - więc czego chcesz, do diabła ciężkiego? To jakiś błazen głaszowski figle z nami stroi, wywracając do góry nogami całą stację! Zrobię doniesienie i kwita!
- Nie przypuszczam, panie naczelniku - wtrącił spokojnie asystent - sprawa za poważna, by ją ujmować z tego punktu widzenia. Raczej przyjąć trzeba jakąś omyłkę.
- Ładna omyłka! Czyż nie słyszałeś kolega, co odpowiedzieli mi z obu stacji najbliższych? Chyba niepodobna przypuścić jakichś przypadkowo zabłąkanych sygnałów z dalszych przystanków, o których by tamci nie wiedzieli. Jeśli dotarty do nas, musiały wpierw przejść przez ich rejon. Więc?

- Więc prosty wniosek, że pochodzą od jakiegoś dróżnika na przestrzeni między Dąbrową a Głaszowem. Pomian spojrzał na podwładnego z uwagą.
- Od któregoś z budników, powiada pan? Hm... muzę. Ale po co? Dlaczego? Nasi ludzie zbadali przecież całą linię krok za krokiem i nie znaleźli nic podejrzanego.
Urzędnik rozkrzyżował ramiona.
- Tego to już nie wiem. Rzecz można zbadać później w porozumieniu z Głaszowem. W każdym razie sądzę, że możemy spać spokojnie i nie zważać na dzwonki. Wszystko, co należało do nas, zrobiliśmy - przestrzeń przeszukana dokładnie, na linii nie ma ani śladu niebezpieczeństwa, którym nam grożą. Uważam te znaki po prostu za tzw. „fałszywy alarm".
Spokój asystenta podziałał kojąco na naczelnika. Pożegnał kolegę i zamknął się na resztę nocy w biurze.
Lecz służba niełatwo przeszła nad tym do porządku. Ludzie skupili się na bloku koło zwrotniczego i coś szeptali między sobą tajemniczo; od czasu do czasu, gdy ciszę nocy przerwał nowy podrzut dzwonka, pochylone ku sobie głowy kolejarzy zwracały się w stronę słupa sygnałowego i kilka par oczu rozszerzonych zabobonną trwogą śledziło ruchy kujących młotków.
- Zły znak - mruczał strażnik Grzela - zły znak!
I tak grały sygnały aż do pierwszego brzasku. Lecz im bliżej było rana, tym dźwięki stawały się słabsze, niklejsze, w tym dłuższych odstępach czasu po sobie, aż zgłuchły bez echa przed świtem. Ludzie odetchnęli, jakby zmora nocna usunęła się z piersi.
Nazajutrz Pomian zwrócił się do władz w Ostoi, zdając dokładny raport z zajść ubiegłej nocy. Nadeszła telegraficznie odpowiedź kazała mu czekać na przybycie specjalnej komisji, która miała sprawę gruntownie zbadać.
W ciągu dnia ruch odbywał się regularnie i wszystko miało przebieg normalny. Lecz z uderzeniem godziny siódmej wieczór odezwały się znowu alarmujące sygnały w tym samym, co wczoraj, porządku; więc najpierw sygnał: „wozy odbiegły", potem rozkaz: „wszystkie wozy zatrzymać", wreszcie hasło: „przysłać lokomotywę z robotnikami", i rozpaczliwy krzyk o pomoc: „przysłać maszynę z robotnikami i lekarzem". Charakterystycznym było stopniowanie w doborze znaków, z których każdy następny zdradzał wzmożenie się urojonego niebezpieczeństwa. Sygnały uzupełniały się oczywiście, tworząc rozerwany przestankami łańcuch, snujący jakąś złowieszczą opowieść o domniemanym nieszczęściu.
A jednak rzecz wyglądała na drwiny lub głupi figiel.
Naczelnik wściekał się, służba zachowywała różnie; jedni brali historię z humorystycznego punktu widzenia i śmiali się z zapamiętałych dzwonków, inni żegnali przesądnie. Blokowy Zdun utrzymywał półgłosem, że diabeł siedzi w słupie sygnałowym i kłapie dzwonkiem na przekorę.
W każdym razie nikt znaków nie tłumaczył na serio i na stacji nie poczyniono odpowiednich zarządzeń. Alarm trwał z przerwami aż do rana i dopiero gdy na wschodzie przetarła się bladożółta linia, dzwonki uspokoiły się.
Nareszcie po bezsennie spędzonej nocy doczekał się naczelnik przybycia komisji koło dziesiątej nad ranem. Przyjechał z Ostoi nadinspektor Turner, wysoki, szczupły, ze zmrużonymi złośliwie oczkami pan, z całym sztabem urzędników. Zaczęło się śledztwo.
Panowie „z góry" mieli już ustalony pogląd na sprawę. Sygnały, zdaniem pana nadinspektora, pochodziły z budki któregoś z dróżników na linii Dąbrowa-Głaszów. Chodziło tylko o to,

z czyjej. Według etatu było na tej przestrzeni budników dziesięciu; z tej liczby należało wydzielić ośmiu, którzy nie posiadali aparatu do dawania sygnałów tego typu. Podejrzenie padło zatem na pozostałych dwóch. Inspektor postanowił wybadać obu na miejscu ich przeznaczenia.

Po sutym obiedzie u pana naczelnika wyruszył z Dąbrowy po dwunastej w południe specjalny pociąg z komisją śledczą. Po półgodzinnej jeździe panowie wysiedli przed budką dróżnika Dziwoty, jednego z podejrzanych.

Biedna człeczyna, przerażony najściem nieoczekiwanych gości, zapomniał języka w gębie i na pytania odpowiadał jakby zbudzony z głębokiego uśpienia. Po przeszło godzinnym badaniu doszła komisja do przekonania, że Dziwota Bogu ducha winien i o niczym nie ma pojęcia.

Więc by nie tracić czasu, pan nadinspektor zostawił go w spokoju, zalecając swoim ludziom dalszą jazdę do drugiego strażnika, na którym teraz skupiła się jego śledcza uwaga.

W 40 minut potem stanęli na miejscu. Na spotkanie nie wybiegł nikt. To zastanowiło. Posterunek wyglądał jakby wymarły; żadnej poszlaki życia w obejściu, żadnego śladu żyjącej istoty wokoło. Nie odzywały się patriarchalne głosy gospodarstwa domowego, nie zapiał kogut, nie zrzędziła kura.

Po stromych, w parę poręczy ujętych schodkach weszli na wzgórze, na którym wznosił się domek budnika Jaźwy. U wejścia powitały gości niezliczone roje much złych, zjadliwych, brzęczących; owady, jakby wściekłe na intruzów, rzuciły się do rąk, do oczu, do twarzy.

Zapukano do drzwi. Z wnętrza nikt nie odpowiedział Jeden z kolejarzy nacisnął klamkę - drzwi były zamknięte.

- Panie Tuziak - skinął Pomian na ślusarza stacyjnego - wytrychem go!

- Duchem, panie naczelniku.

Zazgrzytało żelazo, zachrzęścił zamek i ustąpił. • Inspektor wyważył nogą drzwi i wszedł do środka. Lecz w tejże chwili cofnął się z powrotem na podwórze, przytykając chusteczkę do nosa. Z wnętrza uderzył okropny zaduch. Jeden z urzędników odważył się przekroczyć próg i zajrzał w głąb.

Przy stole pod oknem siedział budnik z głową spuszczoną na piersi, z ręką prawą opartą palcami na guziku aparatu sygnałowego.

Urzędnik zbliżył się do stołu i zbladłszy, zawrócił ku wyjściu. Krótkie spojrzenie rzucone na rękę dróżnika przekonało, że nie palce ujmowały taster, lecz trzy nagie, ogołocone z mięsa piszczele.

W tej chwili siedzący przy stole zachwiał się i zwalił się jak kłoda na ziemię. Poznano trupa Jaźwy w stanie zupełnego rozkładu. Obecny lekarz stwierdził śmierć zaszłą przynajmniej dziesięć dni temu.

Spisano protokół i pochowano na miejscu zwłoki, rezygnując z obdukcji z powodu silnie posuniętego zepsucia.

Przyczyny śmierci nie wykryto. Wypytywani o to chłopi z sąsiedniej wsi nie umieli dać żadnych wyjaśnień prócz tego, że już od dłuższego czasu Jaźwy nie widywano. W dwie godziny później wróciła komisja do Ostoi.

Naczelnik Dąbrowy miał tej nocy i następnych sen spokojny i nie zmącony sygnałami. Lecz w tydzień potem zaszła na linii Dąbrowa-Głaszów straszliwa katastrofa. Oderwane nieszczęśliwym trafem wagony wpadły na pociąg pospieszny, dążący z przeciwnej strony, i zdruzgotały go doszczętnie. Zginął cały personel służbowy i osiemdziesięciu kilku podróżnych.

Błędny pociąg
(Legenda kolejowa)

Na dworcu w Horsku panował gorączkowy ruch. Czas był przedświąteczny, w perspektywie parę dni wolnych od pracy, pora wymarzona. Peron mrowił się od przyjezdnych i wyjeżdżających. Migały podniecone twarzyczki kobiet, wiły się barwne wstążki kapeluszy, pstrzyły szale podróżne; tu przeciskał się wśród tłumu smukły cylinder wytwornego pana, tam zaczerniał sutanną duchowny; ówdzie pod arkadami siniały poprzez ciżbę kolety wojskowych, obok szarzały robotnicze bluzy.

Wrzało bujne życie i Ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczanej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmalałą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...

Służba pracowała intensywnie. Co chwila wynurzały się wśród zgiełku to tu, to tam czerwone kepi urzędników ruchu wydających rozkazy, usuwających z toru roztargnionych, przeprowadzających bystrym i czujnym okiem pociągi w chwili odjazdu. Konduktorzy uwijali się bez przerwy, przebiegając nerwowym krokiem długie pierzeje wagonów; blokmistrze - piloci stacji - spełniali instrukcje krótkie a sprawne jak trąbki - hasła odlotu. Wszystko szło w tempie raźnym, odmierzonym na minuty, sekundy - wszystkich oczy odruchowo kontrolowały czas na podwójnej białej tarczy zegara tam w górze.

Mimo to spokojny widz, stanąwszy na uboczu, doznałby PO krótkiej obserwacji sprzecznego z pozornym porządkiem rzeczy wrażenia.

Coś jakby wkradło się w unormowany przepisami i tradycją bieg czynności; jakaś nieokreślona, choć ważka zawada stanęła w poprzek regularności uświęconej ruchu.

Znać to było w nerwowych nadzwyczaj gestach ludzi, j niespokojnych rzutach oczu, wyczekującym czegoś wyrazie twarzy. Coś się popsuło we wzorowym dotąd organizmie. Jakiś niezdrowy, niesamowity prąd krążył po jego rozgałęzionych stokrotnie arteriach i przesiąkał na powierzchnię w półświadomych wybłyskach.

Gorliwość kolejarzy cechowała widoczna chęć przezwyciężenia tajemnej rozterki, która wnęciła się ukradkiem W wyborny mechanizm. Każdy dwoił się i troił, by gwałtem przydusić denerwującą zmorę, utrzymać wymarzoną do automatyzmu sforność pracy, żmudną, lecz bezpieczną równowagę funkcji.

Była to przecież ich dziedzina, ich „rejon” uprawiany od wielu lat pilnej praktyki, teren, który, zdawało się, znali par excellence na wylot. Byli przecież przedstawicielami tej kategorii pracy, tego zakresu czynności życiowych, gdzie dla nich, wtajemniczonych, nic nie winno było « pozostać niejasnym, gdzie ich, reprezentantów, jedynych wykładników całej skomplikowanej sieci zajęć, nie mogła, j nie powinna była zaskoczyć jakakolwiek zagadka. Wszakże

wszystko od lat obliczone, zważone, odmierzone - wszakże wszystko, choć złożone, nie przekraczało ludzkich pojęć - wszakże wszędzie dokładność umiaru bez niespodzianek, regularność powtarzających się zajść, obliczonych i z góry!
Poczuwali się tedy niejako do solidarnej odpowiedzialności wobec zwartej masy podróżnych, którym należało zapewnić spokój i bezpieczeństwo zupełne.
Tymczasem wewnętrzna ich rozterka udzielała się publiczności i płynąc od nich falą zdenerwowania, rozwodziła się w nieokreślone prądy nurtujące pasażerów.
Gdyby przynajmniej chodziło o tzw. „przypadek", którego wprawdzie nie można przewidzieć, lecz który daje się potem, po momencie spełnienia wydedukować z tego, co poprzedzało - zapewne wobec przypadku, i oni, zawodowcy, stawali bezradni, choć nie zrozpaczeni. Lecz tutaj chodziło o coś zupełnie innego.
Zaszło coś nieobliczalnego jak chimera, kapryśnego jak szaleństwo, i przekreśliło za jednym zamachem prastary układ zdarzeń.
Więc wstyd im było przed sobą i przed innymi poza obrębem zawodu.
W obecnej chwili szło tedy przede wszystkim o to, by się „sprawa" nie rozeszła, by się „szeroka publiczność" nie dowiedziała; należało dołożyć wszelkich możliwych starań, by „dziwaczna historia" nie nabrała rozgłosu w dziennikach, by uniknąć za wszelką cenę „skandalu".
Dotąd jakoś rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy, zatrzymana cudem w wyłącznym obrębie dotyczącego środowiska. Przedziwna iście solidarność połączyła tych ludzi w wyjątkowym wypadku: milczeli. Tylko wymowne spojrzenia oczu, specjalne gesty i gra słów dobranych ułatwiały porozumienie. Dotąd „publiczność" nie wiedziała o niczym. Lecz już niepokój służby, nerwica funkcjonariuszy przenosiła się z wolna i na nią, przygotowując glebę podatną pod zasiew „zmory".
A „sprawa" była istotnie dziwaczną i zagadkową. Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei państwowych jakiś pociąg nie objęty powszechnie znanym rejestrem, nie wciągnięty w poczet kursujących parowozów, słowem, intruz bez patentu i aprobaty. Nie zdołano nawet określić, do jakiej należał kategorii i z jakiej wyszedł fabryki, gdyż momentalnie krótki przeciąg czasu, przez jaki dawał się za każdym pojawieniem obserwować, uniemożliwiał jakąkolwiek w tym względzie orientację. W każdym razie, wnosząc z nieprawdopodobnej wprost chyżości, z jaką przesuwał się przed oczyma zdumionych widzów, musiał zajmować bardzo wysoki stopień w skali pojazdów: był to pociąg co najmniej błyskawiczny.
Lecz rzeczą najbardziej niepokojącą była jego nieobliczalność. Intruz pojawiał się to tu, to tam, nadchodził nagle ni stąd, ni zowąd, skądś z odległej przestrzeni linii kolejowej, przelatywał z szatańskim szumem po torach i znikał w dali; dziś widziano go koło stacji M., nazajutrz wyłonił się gdzieś w czystym polu poza miastem W., w parę dni później przeszybował z oślepiającym tupetem koło budki dróżnika w okolicy przystanku G.
Zrazu myślano, że szalony pociąg należy do istniejącego etatu i tylko opieszałość lub pomyłka urzędników ruchu nie zdołała dotąd stwierdzić jego tożsamości. Zaczęły się więc dochodzenia, sygnalizacje bez końca, wzajemne porozumiewania się stacji - wszystko bez skutku: intruz po prostu drwił sobie z wysiłków funkcjonariuszy, wynurzając się zwykle tam, gdzie go się najmniej spodziewano.
Szczególnie przygnębiająco działała okoliczność, że nigdzie go nie można było przyłapać, nigdzie dopaść ni zatrzymać. Urządzony kilkakrotnie w tym celu pościg na jednej z najwyborniejszych maszyn, uznanej w całym tego słowa znaczeniu za ostatni wyraz współczesnej techniki, zrobił ohydne fiasko; niesamowity pociąg wziął rekord bez zająknienia.

Wtedy zaczęła ludzi ogarniać przesądna obawa i głucha, tłumiona strachem wściekłość. Rzecz bowiem istotnie niesłychana! Od lat szeregu kursowały wozy według wytkniętego z góry planu, który układano w dyrekcjach, zatwierdzano w ministeriach, realizowano w ruchu - od lat wszystko można było obliczyć, mniej więcej przewidzieć, a gdy zaszła jakaś „pomyłka" lub „przeoczenie", te naprawić, logicznie wytłumaczyć - aż tu nagle nieproszony gość wślizguje się na tory, psuje porządek, wywraca na nice regulamin, wnosi w zgrany organizm zaczyn nieładu i rozstroju! Całe szczęście, że dotąd natręt nie spowodował żadnej katastrofy. Był to w ogóle szczegół, który zastanawiał od samego początku. Zawsze jakoś przestrzeń, na której się wynurzał, była w danej chwili wolną; szaleniec dotąd nie wywołał zderzenia. Lecz mogło to nastąpić lada dzień, tym bardziej że z wolna zaczai zdradzać w tym kierunku pewną inklinację. Po jakimś czasie skonstatowano z przerażeniem w jego ruchach pewną dążność do wejścia w bliższy kontakt z regularnie kursującymi towarzyszami. O ile zrazu zdawał się unikać bliskiego ich sąsiedztwa, pojawiając się zawsze w znacznej odległości za lub przed, obecnie wyrastał na szynach po upływie coraz to krótszych odstępów czasu za plecyma poprzedników. Raz już przemknął obok ekspresu w drodze do O., tydzień temu ledwo wyminął osobowy na przestrzeni między S. a F., onegdaj cudem tylko skrzyżował się szczęśliwie z pospiesznym z W. Drżeli naczelnicy stacji na wiadomość o tych wyjątkowych wyminięciach, które należało zawdzięczać li tylko podwójnej wstędze torów i przytomności maszynistów. Podobnie „cudowne ocalenia" zaczęły w ostatnich czasach zdarzać się coraz częściej, przy czym szansę szczęśliwego wyjścia ze spotkania widocznie malały z dniem każdym.
Intruz z roli ściganego przeszedł w czynną, pchany jakby magnetycznym popędem do tego, co regularne i w normę ujęte, zaczął grozić bezpośrednią destrukcją starego spraw porządku. Historia mogła lada dzień skończyć się tragicznie.
Toteż i kierownik ruchu w Horsku od miesiąca wiódł życie nad wyraz przykre. W ciągłej obawie przed niepożądaną wizytą czuwał prawie bez przerwy, nie opuszczając dniem i nocą posterunku, który mu powierzono niespełna od roku w dowód uznania „jego energii i niezwykłej sprężystości". A placówka była ważna, bo na stacji w Horsku przecinało się parę zasadniczych linii kolejowych i ogniskował ruch całej połaci kraju.
Dzisiaj zwłaszcza, wobec niebywałego napływu gości, praca w podobnie naprężonej sytuacji była nader uciążliwa.
Zapadał powoli wieczór. Rozbłysły światła lamp elektrycznych, rzuciły potężne swe projekcje reflektory. W zielonych ogniach zwrotnic szyny lśnić poczęły ponurometalicznym połyskiem, giąć się zimnymi wstęgami żelaznych węży. Gdzieniegdzie w pomroce zapełgotał nikły kaganek konduktora, błysnął sygnał dróżnika. W dali, hen, hen za dworcem, tam gdzie już gasną szmaragdowe oczy latarń kreślił nocne swe znaki stacyjny semafor.
Oto właśnie wychodząc z poziomu zatoczył kąt 45° i ustawił się w linii ukośnej: szedł pociąg osobowy z Brzeska.
Już słychać zdyszany oddech lokomotywy, miarowy gruchot kół, już widać jasnożółte okulary na przedzie.
Wtoczył się na stację... :
Z otwartych okien wychylają się złote loki dzieci, ciekawe twarze kobiet, powiewają przywitalne chusty...
Ława czekających na peronie posuwa się gwałtownie kit wagonom, wyciągnięte ramiona dążą obustronnie ku spotkaniu...

Co to za hałas tam z prawej?! Przeraźliwe gwizdy świstawek rozdzierają powietrze. Naczelnik krzyczy coś ochrypłym, dzikim głosem.
- Precz! Cofnąć się, uciekajcie! Puść kontrparę! Wstecz! Wstecz!... Nieszczęście!!
Tłum rzuca się zwartym naporem ku balaskom i łamie je... Obłąkane oczy instynktownie patrzą w prawo, gdzie służba wyległa, i widzą spazmatyczne, bezcelowo wściekłe wibracje latarek usiłujących zawrócić pociąg jakiś, który; całym rozmachem najeżdża z przeciwnej strony torem zajętym przez osobowy z Brzeska. Wichurę gwizdów przerzynają rozpaczliwe odezwy trąbek i piekielna wrzawa ludzi. Nadaremnie. Nieoczekiwany parowóz zbliża się z zawrotną chyżością; olbrzymie, zielone ślepia maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opętaną sprawnością...
Z tysiąca piersi wyrywa się okropną trwogą, bezdenną paniką nabrzmiały okrzyk:
- To on! Obłąkany pociąg! Szaleniec! Na ziemię! Ratunku! Na ziemię! Giniemy! Ratunku! Giniemy!
Jakaś gigantyczna, szara masa przelatuje nad pokotem ciał, popielata, mglista masa z wykrojami okien na przestrzał - czuć wicher szatańskiego przeciągu, wiejący z tych otwartych nor, słychać łopot rozwianych szaleńczo żaluzji, znać widmowe twarze pasażerów...
Wtem dzieje się coś dziwnego. Obłąkany pociąg zamiast zdruzgotać dosięgniętego już drapieżnie towarzysza, przechodzi przezeń jak mgła; przez chwilę widać, jak przesuwają się przez siebie dwie pierzeje wozów, ocierają bezgłośnie ściany wagonów, przenikają w paradoksalnej osmozie tryby i osie kół - jeszcze sekunda i intruz, przesiąkłszy z błyskawiczną furią przez stały organizm pociągu, sczeza i rozwiewa się po drugiej stronie gdzieś w polu. Ucichło...
Na torze przed stacją stoi spokojnie nienaruszony osobowy z Brzeska. Wkoło cisza bez kresu, bez dna. Tylko od łąk, tam w dali, idzie ściszony poświerk koników, tylko po drutach, tam w górze, płynie mrukliwa gawęda telegrafu...
Ludzie z peronu, służba, urzędnicy przecierają ze snu oczy i spoglądają po sobie zdumieni: Prawda li to czy zły majak?
Powoli wszystkich spojrzenia, wiedzione wspólnym impulsem, skupiają się na pociągu z Brzeska. - Stoi wciąż głuchy i milczący. Tylko wewnątrz zapalone lampy płoną równym, spokojnym światłem, tylko w otwartych oknach igra lekko wietrzyk firankami...
We wozach grobowa cisza; nikt nie wysiada, nikt nie wychyla się z wnętrza. Przez oświetlone czworokąty okien widać pasażerów: mężczyzn, kobiety i dzieci; wszyscy cali, nie uszkodzeni - nikt nie doznał najlżejszej kontuzji. Lecz stan ich dziwnie zagadkowy...
Wszyscy w postawie stojącej, twarzami w kierunku, gdzie zniknął upiorny parowóz; jakaś siła okropna zaklęła tych ludzi w jedną stronę i trzyma w niemym osłupieniu; jakiś prąd silny przeorał zbiorowisko dusz i spolaryzował na jedną modłę; wyciągnięte naprzód ręce wskazują cel jakiś nieznany, cel pewnie daleki - podane przed się ciała, pochylone torsy w dal dążą zawrotną, w odległą gdzieś, mglistą krainę - a oczy... zeszklone opętańczą trwogą i... **zachwytem** oczy toną w przestrzeni bez krańców...
Tak stoją i milczą; muskuł nie zadrgnie, nie spadnie powieka. Tak stoją i milczą...
Bo przeszedł przez nich powiew przedziwny, bo tknęło | ich wielkie ocknienie, bo byli to już ludzie... **obłąkani**...
Wtem zabrzmiały dźwięki mocne i znane, w codzienność bezpieczną spowite - udary jędrne jak serce, gdy o pierś zdrową łomoce - miarowe dźwięki nawyku, od lat to samo głoszące...
- Bimbam... i przerwa - bimbam... bimbam...
Sygnały szły...

Ślepy tor

W pociągu osobowym zmierzającym późną jesienną porą do Gronia ścisk był ogromny; przedziały pozapełniane po brzegi, atmosfera parna, gorąca. Z braku miejsca zatarły się różnice klas, siedziano i stano, gdzie się udało, prawem prastarego kaduka. Nad chaosem głów paliły się lampy mdłym, przyćmionym światłem, które spływało z pułapów wagonowych na twarze znużone, profile wymięte. Dym tytoniu unosił się kwaśnym wyziewem, wyciągał pod długi, siwawy sznur w korytarzach, kłębił tumanami w czeluściach okien. Jednostajny łomot kół nastrajał nasennie, przytwierdzał monotonnym stukaniem drzemocie, która rozpanoszyła się po wozach. Tak-tak-tak... Tak-tak-tak...

Tylko jeden z przedziałów klasy III, w piątym wozie od końca, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi; zespół gwarny tu był, rześki, ożywiony. Uwagę podróżnych opanował wyłącznie mały, garbaty człowieczek w mundurze kolejarza niższego typu, który opowiadał coś z przejęciem, podkreślając słowa gestykulacją barwną i plastyczną. Skupieni wkoło słuchacze nie spuszczali zeń oczu; niektórzy powstali z miejsc dalszych i zbliżyli się do ławki środkowej, by lepiej słyszeć; paru ciekawych wychyliło głowy przez drzwi od sąsiedniego przedziału.

Kolejarz mówił. W wypłowiałym świetle lampy, drgającej w podrzutach wozu, poruszała się głowa jego duża, niekształtna, w wichurze siwych włosów, taktem dziwacznym. Szeroka twarz załamana nieregularnie na linii nosa to bladła, to nabiegała purpurą w rytm krwi burzliwy: wyłączna, jedyna, zacięta twarz fanatyka. Oczy ślizgające się w roztargnieniu po obecnych gorzały żarem myśli upartej, od lat syconej. A jednak człowiek ten miewał momenty piękne. Chwilami, zdawało się, znikał garb i szpetota rysów, a oczy nabierały szafirowego blasku, pijane natchnieniem, i postać karła tchnęła szlachetnym, porywającym za sobą zapałem. Za chwilę przeobrażenie gasło, rozwadniało się i w gronie słuchaczy siedział tylko zajmujący, lecz potwornie brzydki narrator w kolejowej bluzie.

Profesor Ryszpans, chudy, wysoki pan w jasnopopielatym kostiumie, z monoklem w oku, przechodząc dyskretnie przez zasłuchany przedział, nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na mówiącego. Coś go zastanowiło; jakiś zwrot wyrzucony z ust garbusa przykuł go na miejscu. Oparł się łokciem o żelazną sztabę przegródki, zacisnął monokl i słuchał.

- Tak, moi państwo - mówił kolejarz - w ostatnich czasach istotnie zagęszczają się zagadkowe zdarzenia w życiu kolejowym. Wszystko to zdaje się mieć swój cel, zmierza ku czemuś, oczywiście, z nieubłaganą konsekwencją.

Zamilkł na chwilę, zdmuchnął popiół z fajeczki i zagadnął:

- A o „wagonie śmiechu" nie słyszał nikt z szanownych gości?

- Istotnie - wmieszał się profesor - czytałem przed rokiem coś o tym w gazetach, lecz pobieżnie i nie przypisując rzeczy żadnej uwagi; historia zakrawała na dziennikarską plotkę.

- Gdzie tam, łaskawy panie! - zaprzeczył namiętnie kolejarz, zwracając się w stronę nowego słuchacza. - Ładna mi plotka! Prawda oczywista, fakt stwierdzony zeznaniami naocznych świadków. Rozmawiałem z ludźmi, którzy sami tym wagonem jechali. Odchorowali jazdę po tygodniu każdy.
- Proszę opowiedzieć nam dokładniej - odezwało się parę głosów - ciekawa historia!
- Nie tyle ciekawa, ile wesoła - poprawił karzeł, potrząsając lwią swą czupryną. - Oto krótko i węzłowato wnęcił się rok temu pomiędzy solidnych i poważnych towarzyszy jakiś krotochwilny wagon i grasował przez dwa tygodnie z górą po liniach kolejowych ku uciesze i utrapieniu ludzi. Krotochwilność bowiem była podejrzanej natury i czasami wyglądała na złośliwość. Ktokolwiek wsiadł do wozu, wpadał od razu w nader pogodny nastrój, który niebawem przechodził w wybujałą wesołość. Jakby po zażyciu gazu rozweselającego ludzie wybuchali śmiechem bez żadnego powodu, trzymali się za brzuchy, gięli do ziemi w potokach łez; w końcu śmiech przybierał groźny charakter paroksyzmu: pasażerowie ze łzami demonicznej radości wili się w konwulsjach bez wyjścia, jak opętani rzucali się po ścianach i rechocząc jak stado bydląt, toczyli z ust pianę. Co parę stacji trzeba było wynosić z wozu po kilku tych nieszczęśliwych szczęśliwców, gdyż zachodziła obawa, że w przeciwnym razie po prostu pękną od śmiechu.
- Jakże reagowały na to organa kolejowe? - zapytał, korzystając z przerwy, krępy, o energicznym profilu inżynier Zniesławski.
- Zrazu sądzili ci panowie, że wchodzi w grę jakaś zaraza psychiczna, która z jednego gościa przenosiła się na innych. Lecz gdy podobne wypadki zaczęły się powtarzać Codziennie i zawsze w tym samym wozie, wpadł jeden Z lekarzy kolejowych na genialny koncept. Przypuszczając, że w wagonie tkwi gdzieś lasecznik śmiechu, który ochrzcił naprędce imieniem bacillus ridiculentus lub też bacillus gelasticus primitivus, poddał zapowietrzony wóz bezzwłocznej dezynfekcji.
- Cha, cha, cha! - huknął nad uchem niezrównanego causeura zawodowo interesowany sąsiad, jakiś lekarz z W. - Ciekaw jestem, jakiego też użył środka odkażającego: lizolu czy karbolu?
- Pomylił się szanowny pan; żadnego z wymienionych.

Oblano nieszczęsny wagon od dachu po szyny specjalnym przetworem wynalezionym ad hoc przez wspomnianego doktora; była to tak nazwana przez wynalazcę: lacrima tristis, czyli „łza smutnego".
- Chi, chi, chi! - krztusiła się w kącie jakaś dama. - Co za złoty z pana człowiek! Chi, chi, chi! Łezka smutnego!
- Tak, łaskawa pani - ciągnął niewzruszony garbus - bo wkrótce po puszczeniu w ponowny obieg uzdrowieńca kilku podróżnych odebrało sobie w nim życie wystrzałem z rewolweru. Takie eksperymenta mszczą się, łaskawa pani - dokończył kiwając smutno głową. - Radykalizm w takich razach niezdrowy.
Na chwilę zapadło milczenie.
- W parę miesięcy potem - podjął gawędę funkcjonariusz - rozeszły się po kraju alarmujące pogłoski o pojawieniu się tzw. „wozu transformacyjnego" - carrus transformans, jak go przezwał jakiś filolog, podobno jedna z ofiar nowej plagi. Pewnego dnia zauważono dziwne zmiany w powierzchowności kilkunastu pasażerów, którzy odbywali podróż w tym samym fatal-

nym wozie. Oto rodzina i znajomi, oczekujący na dworcu, nie mogli w żaden sposób przyznać się do witających ich serdecznie osobników, którzy wysiedli z pociągu. Pani sędzina K., młoda i powabna brunetka, ze zgrozą odepchnęła od siebie opasłego jegomościa z potężną łysiną, który utrzymywał uparcie, że jest jej mężem. - Panna W., śliczna 18letnia blondynka, dostała spazmów w objęciach siwiutkiego jak gołąb i podagrycznego staruszka, który zgłosił się do niej z bukietem azalii jako „narzeczony". Natomiast podeszła już w leciech pani radczyni Z. z miłym zdumieniem znalazła się u boku eleganckiego młodzieńca, odświeżonego cudownie o lat z górą 40, radcy apelacyjnego i małżonka.
W mieście na wiadomość o tym zrobił się kolosalny huczek; o niczym innym nie mówiono, jak tylko o zagadkowych metamorfozach. Po miesiącu nowa sensacja: zaczarowani panowie i panie powoli odzyskali pierwotny swój wygląd, wracając do uświęconej losem powierzchowności.
- Czy i tym razem odkażano wagon? - zapytała z zadęciem jakaś dama.
- Nie, łaskawa pani - zaniechano tych środków ostrożności. Owszem, dyrekcja otoczyła wóz szczególną pieczołowitością, gdyż okazało się, że kolej będzie mogła ciągnąć zeń kolosalne zyski. Zaczęto bić nawet specjalne bilety wstępu do cudownego wozu, tzw. bilety transformacyjne. Popyt naturalnie był ogromny. W pierwszej linii zgłaszać się zaczęły całe kolumny staruszek, brzydkich wdów i starych panien, domagając się natarczywie karty jazdy. Kandydatki dobrowolnie podbijały cenę, płaciły w trój i czwórnasób, przekupywały urzędników, konduktorów, nawet tragarzy. We wozie, przed wozem i pod wozem rozgrywały się dramatyczne sceny, przechodzące niekiedy w krwawe bitki. Kilka sędziwych niewiast w jednej z utarczek wyzionęło ducha. Straszny przykład nie ostudził jednak żądzy odmłodzenia; masakra trwała w dalszym ciągu. W końcu całej tej awanturze położył kres sam cudowny wóz; oto po dwutygodniowej transformacyjnej działalności nagle utracił dziwną swą moc. Stacje przybrały wygląd normalny; kadry roznamiętnionych staruszek i starców odpłynęły z powrotem w zacisza domowych ognisk i zapiecków.
Zamilkł i wśród gwaru rozbudzonych głosów, śmiechów i dowcipów na temat poddany przez opowieść wymknął się chyłkiem z coupé.
Ryszpans szedł w ślad za nim jak cień. Zajął go ten kolejarz w pocerowanej na łokciach bluzie, wyrażający się poprawniej niż niejeden przeciętny inteligent; coś go ciągnęło ku niemu, jakiś tajemniczy prąd sympatii pchał w stronę oryginalnego kaleki.
Na korytarzu klasy I położył mu lekko rękę na ramieniu:
- Przepraszam pana. Czy mogę prosić o słów parę rozmowy?
Garbaty uśmiechnął się zadowolony.
- Owszem. Nawet wskażę panu miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie pogadać. Wóz ten znam na wylot.

I pociągnąwszy profesora za sobą, skręcił w lewo, tam gdzie pierzeja przedziałów załamując się przechodziła w kurytarzyk wiodący na platformę. Tu wyjątkowo nie było w tej chwili nikogo. Kolejarz wskazał towarzyszowi ścianę zamykającą ostatnie coupé.
- Widzi pan ten mały gzemsik tu w górze? To jest zamaskowany zamek; skrytka dla dostojników kolei w wyjątkowych wypadkach. Zaraz ją oglądniemy dokładniej.
Odsunął gzems, wydobył z kieszeni konduktorski klucz i założywszy w otwór, przekręcił. Wtedy gładko odwinęła się w górę stalowa stora, odsłaniając malutki, wytwornie urządzony przedział.

- Proszę do środka - zachęcił kolejarz. Po chwili siedzieli na miękkich, polstrowanych poduszkach, odcięci od gwaru i ścisku zapuszczoną z powrotem storą.
Funkcjonariusz patrzył na profesora z wyrazem oczekiwania na twarzy. Ryszpans nie spieszył z pytaniem. Zmarszczył czoło, zasadził mocniej monokl i pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął, nie patrząc na towarzysza:
- Uderzył mię kontrast między humorystyką opowiedzianych przez pana zdarzeń a poważnym naświetleniem, które ją poprzedziło. O ile sobie przypominam, powiedział pan, że w ostatnich czasach zdarzają się na kolejach zagadkowe objawy, które zdają się zmierzać ku jakiemuś celowi. Jeśli dobrze zrozumiałem ton słów, mówił pan na serio; miało się wrażenie, że owe ukryte cele uznaje pan za ważkie, może nawet przełomowe...
Twarz garbusa rozjaśnił tajemniczy uśmiech:
- I nie pomylił się pan... Kontrast zniknie, jeżeli owe „wesołe" objawy pojmiemy jako szyderskie wyzwanie - prowokację, jako przygrywkę do innych, głębszych, niby próbę sił wyzwalającej się, nieznanej energii.
- Ali right! - odchrząknął profesor. - Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas. Domyśliłem się czegoś podobnego. Inaczej nie byłbym wszczynał dyskusji.
- Należy pan do nielicznych wyjątków; w ogóle dotąd znalazłem w pociągu tylko siedm osób, które głębiej pojęły te historie i oświadczyły gotowość zapuszczenia się wraz ze mną w labirynt konsekwencji. Może w panu pozyskam ósmego ochotnika?
- To będzie zależało od stopnia i jakości objaśnień, które mi pan dłużny.
- Oczywiście. Po to tutaj jestem. - Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, że tajemnicze wagony wyszły na linię wprost ze **ślepego toru**.
- Co to ma znaczyć?
- To znaczy, że przed puszczeniem ich w obieg odpoczywały czas dłuższy na **ślepym torze** i oddychały jego specyficzną atmosferą.
- Nie rozumiem. Przede wszystkim co to jest ślepy tor?
- Uboczna, wzgardzona odrośl szyn, samotne odgałęzienie toru, rozciągnięte na przestrzeni 50-100 m, bez wyjścia, bez wylotu, zamknięte sztucznym wzgórzem i rampą kresową. Niby uschła gałąź zielonego drzewa, niby kikut okaleczałej ręki...
Ze słów kolejarza płynął głęboki, tragiczny liryzm. Profesor patrzył nań zdumiony.
- Wokół zaniedbanie. Zielska przerastają zardzewiałe szyny; bujne, polne trawy, łoboda, rumian dziki i oset. Z boku odpada na poły strupieszała zwrotnica z wybitym szkłem latarni, której nocą nie ma komu zapalić. Bo i po co? Tor to przecież zamknięty; nie ujedziesz nim dalej jak 100 m. Opodal na liniach wre ruch parowozów, tętni życie, pulsują kolejowe arterie. Tu wiecznie cicho. Czasem zabłąka się w drodze maszyna przetokowa, czasem wtoczy niechętnie wóz odszybowany; niekiedy wjedzie na dłuższy spoczynek zniszczony jazdą wagon, zatoczy się ciężko, leniwo i stanie niemy na całe miesiące lub lata. W zmurszałym dachu ptaszek uwije gniazdko i wykarmi młode, w rozpadlinie pomostu rzuci się zielsko, wytryśnie gałązka wikliny. Nad rudawą taśmą szyn pochyla zwichnięte ramiona popsuty semafor i błogosławi smętkowi ruiny...
Głos kolejarza załamał się. Profesor odczuł jego wzruszenie; liryzm opisu zdumiał go i przejął zarazem. Lecz skąd ta nuta rzewności?
- Odczułem - podjął po czasie - poezję ślepego toru, lecz nie umiem wytłumaczyć sobie, jak atmosfera jego może wywołać wspomniane objawy.

- Z poezji owej - objaśnił garbaty - wieje głęboki motyw tęsknoty - tęsknoty ku nieskończonym dalom, do których dostęp zamknięty kopcem granicznym, zagwożdżony drewnem rampy. Tuż obok pędzą pociągi, pomykają w szeroki, piękny świat maszyny - tu tępa granica trawiastego wzgórza. **Tęsknota upośledzenia**. - Czy rozumie pan? - Tęsknota bez nadziei zisz-czeń rodzi pogardę i nasyca się sobą, aż przerośnie mocą pragnień szczęśliwą rzeczywistość... przywileju. Rodzą się tu utajone siły, gromadzą od lat nie ziszczone moce. Kto wie, czy nie wybuchną żywiołem? A wtedy prześcigną codzienność i spełnią zadania wyższe, piękniejsze niż rzeczywistość. **Sięgną poza nią**...
- A czy można wiedzieć, gdzie się znajduje ów tor? Przypuszczam, miał pan na myśli pewien ściśle określony?
- Hm - uśmiechnął się - to zależy. Zapewne jakiś jeden był punktem wyjścia. Lecz ślepych torów pełno jest wszędzie przy każdej stacji. Może być ten, może być ów.
- Tak, tak, ale mnie chodzi o ten, z którego wyjechały na linię owe wagony.
Garbus pokręcił niecierpliwie głową:
- Nie rozumiemy się. Kto wie, może tajemniczy tor da się odkryć wszędzie? Tylko go trzeba umieć odszukać, wytropić - trzeba umieć wpaść nań, zajechać, wdrożyć się w jego koleinę. - Dotąd udało się to jednemu.
Przerwał, wpatrując się w profesora głębią fiołkowo opalizujących oczu.
- Komu? - zapytał tamten machinalnie.
- Dróżnikowi Wiórowi. Wawrzyniec Wiór, garbaty, upośledzony przez naturę dróżnik, jest dziś królem ślepych torów, ich smutną, tęskniącą do wyzwolin duszą.
- Zrozumiałem - szepnął Ryszpans.
- Dróżnik Wiór - kończył namiętnie kolejarz - niegdyś uczony, myśliciel, filozof - rzucony igraszką losu pomiędzy szyny wzgardzonego toru - dobrowolny strażnik zapomnianych linij - fanatyk wśród ludzi...
Powstali, zmierzając ku wyjściu. Ryszpans podał mu rękę.
- Zgoda - rzekł mocno.
Drzwi odsunęły się i wyszli na kurytarz.
- Do rychłego widzenia - pożegnał garbus - idę na dalszy połów dusz. Pozostały mi jeszcze trzy wozy...
I zniknął w drzwiach platformy przejściowej.
Profesor zbliżył się w zadumie do okna, zaciął cygaro i zapalił.
Zewnątrz panowała ciemność. Tylko światła lamp wyzierające w przestrzeń czworokątami okien przesuwały się szybko po zboczach nasypu w przelotnym wywiadzie: pociąg przebiegał jakieś puste łąki i pastwiska...
Jakiś mężczyzna zbliżył się do profesora, prosząc o „ogień”, Ryszpans zdmuchnął popiół z cygara i grzecznie podał je nieznajomemu.
- Dziękuję. Inżynier Zniesławski - przedstawił się. Zawiązała się rozmowa.
- Czy nie zauważył pan, jak się nagle wyludniło? - zapytał inżynier, rzucając wkoło okiem. - Korytarz całkiem wolny. Zaglądałem do dwóch przedziałów, by z przyjemnością stwierdzić, że jest w nich sporo miejsca.
- Ciekaw jestem - podchwycił Ryszpans - jaki też stan rzeczy po innych klasach.
- Możemy oglądnąć!
I przeszli parę wozów ku końcowi pociągu. Jakoż wszędzie zauważyli znaczny ubytek podróżnych.

- To dziwne - rzekł profesor - przed półgodziną jeszcze tłok był okropny, w przeciągu zaś tego krótkiego czasu pociąg zatrzymał się tylko raz.
- Rzeczywiście - potwierdził Zniesławski. - Widocznie wtedy wysiadło tyle osób. Jak na jedną stację, i to drugorzędną, odpływ zagadkowy.
Usiedli na jednej z ławek klasy II. Pod oknem rozmawiało półgłosem dwóch mężczyzn. Pochwycili urywek rozmowy:
- Wie pan - mówił jeden z pasażerów o biurokratycznym wyglądzie - coś mię kusi do opuszczenia tego pociągu.
- Szczególne! - odpowiedział drugi - mnie również. Głupie uczucie. Powinienem być dzisiaj koniecznie w Zaszumiu i specjalnie jadę w tym kierunku - mimo to wysiądę już na najbliższej stacji i zaczekam na pociąg poranny. Co za mitręga i strata czasu!
- Pójdę za pańskim przykładem, chociaż i mnie to na der nie na rękę. Spóźnię się do biura o parę godzin. Lecz nie mogę inaczej. Ja tym pociągiem dalej nie pojadę.
- Przepraszam - wmieszał się inżynier. - Co właściwie zmusza panów do tak niewygodnego dla nich opuszczenia pociągu?
- Nie wiem - odpowiedział urzędnik. - Jakieś nieokreślone uczucie.
- Niby wewnętrzny nakaz - objaśniał towarzysz.
- A może duszna, niewytłumaczona trwoga? - poddał Ryszpans, przymrużając trochę złośliwie oko.
- Może - odparł spokojnie pasażer - lecz nie wstydzę się tego. Uczucie, którego doznaję w tej chwili, jest tak specjalne, tak sui generis , że nie pokrywa się właściwie z tym, co zwykliśmy nazywać strachem.
Zniesławski spojrzał porozumiewawczo na profesora.
- Może przejdziemy dalej?
Po chwili znaleźli się w przerzedzonym mocno przedziale klasy III. W dymie cygar siedziało tu trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich, młoda, hoża mieszczanka, mówiła do towarzyszki:
- Dziwna ta pani Zietułska! - Jechała 7e mną do Żupnika, a tymczasem wysiadła w połowie drogi, 4 mile przed metą.
- Nie mówiła, dlaczego? - badała druga kobieta.
- Owszem, lecz nie wydaje mi się, by tak było naprawdę. Podobno nagle zasłabła i nie mogła dalej jechać pociągiem. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego.
- A tych paru jegomościów, którzy sobie obiecywali tak głośno zabawę w Groniu jutro rano, czy nie wysiadło już w Pytomiu? Już poza Turoniem przycichli jakoś i zaczęli się kręcić niespokojnie po wozie - a potem nagle jakby ich wymiotło z przedziału. Wie pani - i mnie tu jakoś nieswojo...
W sąsiednim wozie wyczuli obaj mężczyźni nastrój zdenerwowania i niepokoju. Ludzie gwałtownie ściągali pakunki z siatek, wyglądali niecierpliwie przez okna, cisnęli się jeden przez drugiego do wyjścia na platformę.
- Co u licha? - mruknął Ryszpans - całkiem wytworne towarzystwo - sami eleganccy panowie i damy. Dlaczego ci ludzie chcą koniecznie wysiąść na najbliższej stacji? O ile sobie przypominam, jest to jakaś zapadła mieścina.
- Istotnie - przyznał inżynier - jest nią Drohiczyn, przystanek śródpolny - świat deskami zabity. Podobno jest tylko stacja, poczta i posterunek żandarmerii. Hm... ciekawe! Co oni tam będą robili po nocy?

Spojrzał na zegarek:
- Dopiero druga nad ranem.
- Hm, hm... - pokręcił głową profesor. - Przypomniały mi się ciekawe wnioski, które wyciągnął pewien psycholog po przestudiowaniu statystyki strat w katastrofach kolejowych.
- Proszę - do jakich też doszedł wyników?
- Stwierdził, że stosunkowo straty są znacznie mniejsze, niżby można przypuszczać. Statystyka wykazuje, że pociągi, które uległy katastrofie, były zawsze słabiej obsadzone niż inne. Widocznie ludzie wysiadali w porę lub też w ogóle rezygnowali z jazdy fatalnym pociągiem; innych zatrzymywała przed samą podróżą jakaś niespodziewana przeszkoda, część uległa nagłej niedyspozycji lub dłuższej chorobie.
- Rozumiem - rzekł Zniesławski - wszystko zależało od nasilenia instynktu samozachowawczego, który stosownie do napięcia przybierał rozmaite odcienie; u jednych silniejsze, u drugich słabiej podkreślone. - Więc pan sądzi, że i to, co się tutaj widzi i słyszy, można tłumaczyć w podobny sposób?
- Nie wiem. Nasunęło mi się tylko takie skojarzenie. Zresztą gdyby nawet, to rad jestem, że nadarzyła się sposobność obserwowania fenomenu. Właściwie powinienem był wysiąść na poprzedniej stacji, która była celem mej podróży. Jak pan widzi, jadę dalej „z własnej pilności".
- To pięknie z pańskiej strony - podkreślił z uznaniem inżynier - ja też wytrzymam na posterunku. Chociaż przyznam się panu, od pewnego czasu doznaję również szczególniejszego uczucia: jest to niby niepokój, niby napięte oczekiwanie. Czy pan rzeczywiście wolny od tych sensacji?
- No... nie - wycedził powoli profesor. - Ma pan słuszność. Coś jest w powietrzu: nie jesteśmy tutaj całkiem normalni. Lecz u mnie skutek objawia się zainteresowaniem, co będzie dalej, co się z tego wywiąże.
- W takim razie stoimy obaj na jednej platformie. Sądzę nawet, że mamy kilku towarzyszy. Wpływ Wióra, jak widzę, zatoczył pewne kręgi.
Twarz profesora drgnęła:
- Więc i pan zna tego człowieka?
- Naturalnie. Wyczułem w panu jego stronnika. Niech żyje bractwo ślepego toru!
Okrzyk inżyniera przerwał zgrzyt hamowanych kół wozu: pociąg zatrzymał się przed stacją. Przez otwarte drzwi wagonów wysypały się tłumy podróżnych. W bladym świetle lamp stacyjnych widać było twarze urzędnika ruchu i jedynego na cały przystanek zwrotniczego, którzy ze zdumieniem obserwowali niezwykły w Drohiczynie napływ gości.
- Panie naczelniku - pytał pokornie jakiś elegancki pan w cylindrze - będzie tu gdzie przenocować?
- Chyba na bloku na podłodze - proszę wielmożnego pana - wyręczył w odpowiedzi zwrotniczy.
- Będzie trudno z noclegiem, łaskawa pani - tłumaczył jakiejś damie w gronostajach naczelnik. - Do najbliższej wsi dwie godziny drogi.
- Jezus, Maria! Tośmy wpadli! - biadał w tłumie cienki, niewieści głosik.
- Jazda! - rozkazał zniecierpliwiony urzędnik.
- Jazda, jazda! - powtórzyły w ciemności dwa niepewne głosy.
Pociąg ruszył. W chwili gdy już stacja zasuwała się w mroki nocy, Zniesławski wychylony przez okno wskazał profesorowi grupę ludzi z boku peronu:

- Widzi pan tych na lewo, pod ścianą?
- Oczywiście, to są konduktorzy naszego pociągu.
- Cha, cha, cha!... - zaśmiał się inżynier. - Panie profesorze, periculum in mora! Szczury opuszczają statek. Zły znak!
- Cha, cha, cha! - wtórował profesor. - Pociąg bez konduktorów! Hulaj dusza po wagonach!
- No, no - uspokajał Zniesławski - tak źle nie jest. Zostało dwóch. Patrz pan - tam jeden zamknął w tej chwili przedział - drugiego widziałem w momencie odjazdu, jak wskakiwał na stopień.
- Stronnicy Wióra - objaśnił Ryszpans. - Wartałoby się przekonać, ile też osób pozostało w pociągu.
Przeszli parę wozów. W jednym zastali jakiegoś zakonnika o ascetycznym wyrazie twarzy zatopionego w modlitwie, w innym dwóch mężczyzn starannie ogolonych, wyglądających na aktorów; kilka wagonów świeciło bezwzględną pustką. Na korytarzu biegnącym wzdłuż przedziału klasy II kręciło się parę osób z walizkami w ręku; oczy ich niespokojne, ruchy nerwowe zdradzały podniecenie.
- Zapewne chcieli już wysiąść w Drohiczynie - rzucił przypuszczenie inżynier - lecz w ostatniej chwili rozmyślili się.
- I teraz żałują - dopowiedział Ryszpans. W tej chwili ukazał się na platformie garbaty budnik. Na twarzy jego grał groźny, demoniczny uśmiech. Za nim wyciągniętym szeregiem postępowało kilku podróżnych. Przechodząc obok profesora i jego towarzysza, Wiór powitał ich jak dobry znajomy:
- Rewia skończona. Proszę panów za mną. U wylotu kurytarza rozległ się krzyk kobiety. Mężczyźni spojrzeli w tę stronę i spostrzegli znikającą w otworze odchylonych drzwi postać jakiegoś pasażera.
- Wypadł czy wyskoczył? - odezwało się parę głosów.
Jakby w odpowiedź zanurzył się w czeluść przestrzeni drugi pasażer, za nim podążył trzeci, za tym rzuciła się w dzikiej ucieczce reszta zdenerwowanej grupy.
- Powariowali?! - zapytał ktoś w głębi. - Wyskakiwać z pociągu w pełnym biegu? No, no...
- Znać spieszno im było na ziemię - szydził inżynier. I nie przypisując już większej wagi zajściu, wrócili do przedziału, w którym zniknął tymczasem dróżnik. Tu prócz Wióra zastali dziesięć osób, w tym dwóch konduktorów i trzy kobiety. Wszyscy zajmowali miejsca na ławkach, wpatrzeni z uwagą w garbatego budnika, który stanął w pośrodku przedziału.
- Panowie i panie! - zaczął obejmując obecnych płomiennym spojrzeniem. - Wszystkich nas razem wraz ze mną jest 13. Fatalna liczba! Nie... - pomyliłem się, 14 wraz z maszynistą - a to też mój człowiek. Garstka to, garstka, lecz dla mnie wystarczy...
Ostatnie słowa domówił półgłosem jakby do siebie i umilkł na chwilę. Słychać było tylko łoskot szyn i turkot kół wagonowych.
- Panowie i panie! - podjął Wiór. - Nadeszła chwila osobliwa, chwila ziszczenia wieloletnich tęsknot. Pociąg ten już do nas należy - opanowaliśmy go niepodzielnie; żywioły obce, obojętne lub wrogie wydzielone już z jego organizmu. Panuje tu bezwzględnie atmosfera ślepego toru i jego moc. Za chwilę moc ta ma się objawić. Kto nie czuje się dostatecznie przygotowanym, niechaj cofnie się w porę; potem może być za późno. Za całość i bezpieczeństwo ręczę. Przestrzeń wolna i drzwi otwarte. - Więc? - rzucił wkoło badawcze spojrzenie. - Więc nikt się nie cofa?

Odpowiedziało głębokie, tętniące przyspieszonym oddechem dwunastu ludzkich piersi milczenie.
Wiór uśmiechnął się tryumfująco:
- Zatem dobrze. Wszyscy tu pozostają z własnej, dobrej woli, każdy sam odpowiada za swój krok w tej chwili.
Podróżni milczeli. Niespokojne ich, tlejące gorączkowym światłem oczy nie schodziły z twarzy dróżnika. Jedna z kobiet dostała nagle histerycznego śmiechu, który pod spokojnym, zimnym spojrzeniem Wióra nagle ustąpił. Budnik wydobył z zanadrza czworoboczną tekturę z jakimś rysunkiem:
- Oto nasza dotychczasowa droga - wskazał palcem na podwójną linię czerniejącą na papierze. - Tutaj po prawej ten mały punkt - to Drohiczyn, który przed chwilą minęliśmy; ten drugi, większy, w górze - to Gron, końcowa stacja na tej linii. Lecz my do niej już nie dotrzemy - ta meta już nam teraz obojętna.
Przerwał, wpatrując się intensywnie w rysunek. - Dreszcz grozy wstrząsnął słuchaczy. Słowa Wióra padały na dusze ciężko, jak roztopiony ołów.
- A tu, na lewo - objaśniał w dalszym ciągu, przesuwając wskaźnik ręki - wykwita pąsowa linia. Widzicie ją, jak wije się czerwonym szlakiem, oddalając coraz bardziej od toru głównego?... **To linia ślepego toru.** Na nią mamy wjechać...
Znów zamilkł i studiował krwawą wstęgę. ;
Zewnątrz przedstawiał się łomot rozpętanych kół; pociąg widocznie podwoił chyżość i pędził z szaloną furią. Dróżnik mówił:
- Chwila nadeszła. Niechaj każdy przybierze pozycję siedzącą lub niech się położy. Tak... dobrze - kończył, przechodząc uważnym spojrzeniem podróżnych, którzy jak zahipnotyzowani spełnili zlecenie. - Teraz mogę zacząć. Baczność! Za minutę zbaczamy...
Trzymając prawą ręką rysunek na poziomie oczu, wpatrzył się weń raz jeszcze fanatyczną mocą rozszerzonych nagle źrenic... Wtem zesztywniał jak drewno, wypuścił z rąk tekturę i jak zlodowaciały stanął bez ruchu w środku przedziału; oczy podeszły w górę tak silnie, że widać było tylko brzeg białek, twarz przybrała wyraz kamienny. Nagle zaczął iść ku otwartemu oknu krokiem drewnianym jak automat... Oparł się o ramę dolną jak belka, odbił nogami od podłogi i wychylił połową ciała w przestrzeń; postać jego wyciągnięta sztywnie poza okno jak igła magnesu zawahała się parę razy na osi ramy i ustawiła pod kątem do ściany wagonu...
Wtem rozległ się piekielny trzask jakby druzgotanych wagonów, wściekły gruchot kruszonego żelaziwa, łomot sztab, zderzaków, kłańcanie rozhukanych kół i łańcuchów. Wśród zgiełku rozszczepionych, zda się na drzazgi, ławek, walących się drzwi, wśród rumoru zapadających się pował, podłóg, ścian, wśród szczęku pękających rur, przewodów, zbiorników zajęczał rozpaczliwy gwizd lokomotywy...
Nagle wszystko zamilkło, wbiło się w ziemię, rozwiało i uszy napełnił wielki, potężny, bezkresny szum...
I owinęło świat cały na długi, długi czas owo szumiące trwanie, i zdawało się, że grają pieśń groźną wszystkie ziemskie wodospady i że szeleszczą bezlikiem liści wszystkie ziemskie drzewa... Potem i to zgłuchło i nad światem rozlała się wielka cisza mroku. W przestworzach martwych i niemych rozpościerały się czyjeś niewidzialne, czyjeś bardzo pieściwe ręce i gładziły kojąco kiry przestrzeni. A pod tą łagodną pieszczotą rozchybotały się jakieś miękkie fale, nadpłynęły cichymi runami i ukołysały na sen... Na słodki, cichy sen...

W jakiejś chwili profesor ocknął się. Spojrzał półprzytomny na otoczenie i zauważył, że jest w pustym przedziale. Ogarnęło go nieokreślone uczucie obcości; wszystko poza nim wydało się jakieś inne, jakieś nowe, czymś, do czego trzeba się było dopiero przyzwyczaić. Lecz przystosowanie szło dziwnie opornie i powoli. Trzeba było po prostu zmienić zupełnie „punkt widzenia i patrzenia" na rzeczy. Ryszpans miał wrażenie człowieka, który wychodzi na światło dnia po długiej wędrówce w milowej długości tunelu. Przecierał oślepłe od ciemności oczy, ścierał mgłę przesłaniającą widok. Zaczął przypominać...
W myśli przesuwały się kolejno wypłowiałe obrazy wspomnień, które poprzedziły... t o. Jakiś huk, łomot, jakiś nagły, niwelujący wszystkie wrażenia i świadomość udar...
- Katastrofa! - zamajaczyło niewyraźnie. Spojrzał uważnie po sobie, powiódł ręką po twarzy, po czole - nic! Ani kropli krwi, żadnego bólu.
- Cogźto - ergo sum! - zawyrokował wreszcie. Przyszła ochota przejścia się po przedziale. Opuścił miejsce, podniósł nogę i... zawisnął parę cali nad podłogą.
- Tam do licha! - mruknął zdumiony. - Straciłem ciężar właściwy czy co? Czuję się lekki jak pióro. I powędrował w górę aż pod strop wozu.
- Ale co też się stało z tamtymi? - przypomniał sobie, schodząc ku drzwiom do sąsiedniego przedziału.
U wejścia spostrzegł w tej chwili inżyniera, który uniesiony również parę centymetrów nad podłogą, ściskał mu serdecznie rękę.
- Witam kochanego pana! I pan, widzę, niezupełnie w porządku z prawami ciężkości?
- Ha, cóż robić? - westchnął z rezygnacją Ryszpans. - Pan nie raniony?
- Broń Boże! - zapewnił Zniesławski. - Jestem cały i zdrów jak ryba. Przed chwilą dopiero przebudziłem się.
- Szczególne przebudzenie. - Ciekaw też jestem, gdzie się właściwie znajdujemy?
- Ja również. Pędzimy, zdaje się, z zawrotną chyżością.
Wyjrzeli przez okno. - Nic - pustka. Tylko silny chłodny prąd wiejący z zewnątrz nasuwał przypuszczenie, że pociąg leci jak furia.
- To dziwne - zauważył Ryszpans. - Absolutnie nic nie widzę. Pustka w górze, pustka w dole, pustka przede mną.
- A to sensacje! Jest niby dzień, bo jasno, lecz słońca nie widać, a mgły nie ma.
- Płyniemy jakby w przestworzu. Która też może być godzina?
Spojrzeli równocześnie na zegarki. Po chwili inżynier podniósł oczy na towarzysza i spotkał się z jego spojrzeniem mówiącym to samo:
- Nic odczytać nie mogę. Godziny zlały się w czarną falistą linię...
- Po której wskazówki przesuwają się błędnym, nic nie mówiącym ruchem.
- Fale trwania przelewające się jedna w drugą, bez początku i końca...
- Zmierzch czasu...
- Patrz pan! - zawołał nagle Zniesławski, wskazując ręką na przeciwległą ścianę wozu. - Widzę przez tę ścianę jednego z naszych; owego zakonnika-ascetę - pamiętasz?
- Tak. To brat Józef, karmelita. Rozmawiałem z nim. Lecz i on nas już spostrzegł; uśmiecha się i daje nam znaki. Co za paradoksalne objawy! Patrzymy przez tę deskę jak przez szkło!
- Nieprzejrzystość ciał licho wzięło z kretesem - wywnioskował inżynier.
- Zdaje się, że i z nieprzenikliwością nie lepiej - odpowiedział Ryszpans, przesiąkając przez ścianę do drugiego przedziału.

- Rzeczywiście - przyznał Zniesławski, idąc za jego przykładem.
Tak przesiąknęli przez kilka parapetów wagonowych i w trzecim z rzędu wozie powitali brata Józefa.
Karmelita skończył przed chwilą modlitwę „poranną” i pokrzepiony na duchu, cieszył się serdecznie ze spotkania.
- Wielkie sprawy Boże! - mówił, wznosząc w górę głębokie, mgłą zadumy powleczone oczy.
- Przeżywamy dziwne chwile. Otośmy wszyscy cudownie przebudzeni. Chwała Przedwiecznemu! Chodźmy połączyć się z resztą braci.
- Jesteśmy przy was - odezwało się zewsząd parę głosów i przez ściany wagonów przesunęło się 10 postaci i otoczyło rozmawiających. Byli to ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów, w tym maszynista pociągu i 3 kobiety. Wszystkich oczy mimo woli szukały kogoś, wszyscy instynktownie wyczuwali brak jednego towarzysza.
- Jest nas 13 - przemówił szczupły, o ostrych rysach młodzieniec. - Nie widzę mistrza Wióra.
- Mistrz Wiór nie przyjdzie - rzekł jak przez sen brat Józef. - Dróżnika Wióra tutaj nie szukajcie. Spójrzcie głębiej, bracia moi, zajrzyjcie w dusze wasze. Może go znajdziecie.
Umilkli i zrozumieli. Na twarzach rozlał się wielki spokój i zajaśnieli dziwnym światłem. I czytali sobie w duszach, i przenikali się nawzajem w cudownym jasnowidztwie.
- Bracia! - podjął zakonnik - kształty nasze dane nam są jeszcze tylko na czas krótki, za chwil parę może je przyjdzie porzucić. Wtedy rozstaniemy się. Każdy odejdzie w swoją stronę, gdzie go poniosą jego losy wykute w księdze przeznaczeń od wieków, ka/dy podąży własnym szlakiem, we własną dziedzinę, którą zgotował sobie po tamtej stronie. Oto oczekują nas z tęsknotą rzesze bratnich dusz. Zanim nadejdzie moment pożegnania, posłuchajcie raz jeszcze głosu z tamtej strony. Słowa, które wam odczytam, spisano dni temu 10, licząc czas ziemskim trybem.
Domawiając tych słów, rozwinął szeleszczące cicho arkusze jakiegoś pisma i zaczął czytać głębokim, przejmującym głosem:
„W 15 listopada r. 1950. Tajemnicza katastrofa Na linii kolejowej Zaleśna-Gron zaszedł wczoraj w nocy z 14/15 listopada br. tajemniczy wypadek, którego dotąd w zupełności nie zdołano wyjaśnić. Chodzi o losy, którym uległ między godz. 2-3 po północy pociąg osobowy nr 20. Właściwą katastrofę poprzedziły dziwne objawy. Oto publiczność, jakby przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, wysiadała tłumnie na stacjach i przystankach przed miejscem fatalnego wypadku, choć cel jazdy leżał znacznie dalej ; zapytywane przez władze stacyjne osoby o powód przerywania podróży tłumaczyły się niejasno, jakby nie chcąc zdradzić motywów dziwnego postępowania. Charakterystycznym jest fakt, że w Drohiczynie opuściło pociąg nawet kilku pełniących wtedy służbę konduktorów, którzy woleli narazić się na surową karę władz i utratę posady, niż jechać dalej; tylko trzech ludzi z całego personalu pociągowego wytrwało na stanowisku. Z Drohiczyna odjechał pociąg niemal pusty. Kilku niezdecydowanych podróżnych, którzy w ostatniej chwili cofnęli się do wnętrza wagonów, wyskoczyło w kwadrans potem podczas ruchu w czystym polu. Ludzie ci, cudem jakimś wyszedłszy cało z imprezy, wrócili rano koło czwartej piechotą do Drohiczyna. Byli to świadkowie ostatnich chwil fatalnego pociągu tuż przed katastrofą, która musiała zajść w parę minut potem...
Koło piątej nad ranem nadszedł z budki dróżnika Zoły, położonej 5 km za Drohiczynem, pierwszy sygnał alarmowy. - Kierownik stacji wsiadł na drezynę i w pół godziny stanął na miejscu wypadku, gdzie spotkał już komisję śledczą z Rakwy.

Dziwny obraz przedstawił się oczom obecnych. W czystym polu, kilkaset metrów za budką dróżnika stał na szynach rozerwany pociąg: 2 wagony tylne zupełnie nie uszkodzone, potem przerwa, odpowiadająca długości trzech wozów - znów 2 wozy sprzężone łańcuchami, w stanie normalnym - luka jednowagonowa - wreszcie na przedzie jaszczyk; lokomotywy brakło. Na torze, na platformach, na schodkach żadnych śladów krwi, nigdzie rannych ani zabitych. Wnętrza wagonów również puste i głuche; nie znaleziono ani w jednym przedziale zwłok; nie stwierdzono najlżejszego uszkodzenia w pozostałych wagonach...
Szczegóły naocznie spisano i odesłano do dyrekcji. Sprawa przedstawia się tajemniczo i organa kolejowe nie spodziewają się rychłego jej wyświetlenia..."
Karmelita zamilkł na chwilę, odłożył pismo i zaczął z kolei odczytywać drugie:
„W 25 listopada 1950 r.
Zdumiewające rewelacje i szczegóły do katastrofy kolejowej z dn. 15 bm.
Tajemniczych wypadków, które rozegrały się na linii kolejowej za Drohiczynem 15 bm., nie zdołano wyjaśnić do chwili obecnej. Owszem, coraz głębsze cienie padają na zdarzenie i mącą orientację.
Dzień dzisiejszy przyniósł szereg zdumiewających wiadomości, które pozostając w związku z katastrofą, zaciemniają jeszcze bardziej sprawę i budzą poważne, daleko sięgające refleksje. Oto co nam podają telegramy z autentycznych źródeł:
- Dziś 25 bm. nad ranem na miejscu katastrofy zaszłej przed 10 dniami wyłoniły się wagony pociągu osobowego nr 20, których brak stwierdzono w dniu wypadku. Znamiennym jest szczegół, że wozy ukazały się na przestrzeni nie jako jednolity pociąg, lecz porozrywane w grupach po l, 2 lub 3, odpowiadających lukom zauważonym 15 bm. Przed pierwszym wozem, w odstępie jaszczyka, pojawiła się w pełnym składzie maszyna.
Przerażeni nagłym pojawem kolejarze zrazu nie śmieli zbliżyć się do wagonów, uważając je za widma lub twór zwidzenia. W końcu jednak, gdy wozy nie znikały, nabrali odwagi i weszli do wnętrz.
Tutaj przedstawił się ich oczom okropny obraz. W jednym z przedziałów zastali zwłoki 13 osób rozciągnięte na ławkach lub w pozycjach siedzących. Rodzaju śmierci dotąd nie ustalono. Ciała nieszczęśliwych nie wykazują żadnych obrażeń zewnętrznych ani wewnętrznych, nie ma też najmniejszej poszlaki uduszenia lub zatrucia. Śmierć ofiar pozostanie prawdopodobnie zagadką nie do rozwiązania.
Spomiędzy 13 osób, które uległy tajemniczemu zgonowi, dotąd,zdołano stwierdzić tożsamość sześciu: brata Józefa Zygwulskiego, z zakonu oo. Karmelitów, autora paru głębokich traktatów mistycznych; prof. Ryszpansa, znakomitego psychologa; inżyniera Zniesławskiego, cenionego wynalazcy; maszynisty pociągu, Stwosza, i dwóch konduktorów. Nazwiska reszty osób na razie nie znane...
Wieść o tajemniczym wypadku obleciała lotem błyskawicy cały kraj, wywołując wszędzie wstrząsające wrażenie. Pojawiły się już w prasie liczne, czasem głębokie objaśnienia i komentarze. Odzywają się głosy, piętnujące określanie zdarzenia „katastrofą kolejową jako fałszywe i naiwne.
Towarzystwo badań psychicznych podobno planuje już szereg odczytów, które w dniach najbliższych wygłosi kilku wybitnych psychologów i psychiatrów.
Zaszedł fakt, który prawdopodobnie zaciąży na długie lata nad nauką, ukazując jej nowe, nie znane horyzonty..."

Brat Józef skończył i gasnącym już głosem zwrócił się do towarzyszy:
- Bracia! Chwila rozstania nadeszła. Oto już rozsnuwają się kształty nasze.
- Przekroczyliśmy rubież życia i śmierci - zabrzmiał jak dalekie echo głos profesora.
- By wstąpić w rzeczywistość wyższego rzędu... Ściany wagonów, mgliste jak opar, zaczęły rozsuwać się, rozpuszczać, marnieć... Odrywały się wiotkie szale dachów, odchylały bezpowrotnie w przestrzeń eteryczne zwoje pomostów, lotne spirale rur, przewodów, zderzaków... Postacie podróżnych, wiotkie i przejrzyste na wylot, wątlały, rozpadały się, rwały na strzępy...
- Żegnajcie, bracia, żegnajcie!... Głosy ich marły, gasły, rozwiewały się... aż zgłuchły gdzieś w zaświatach międzyplanetarnych dali...

Z TOMU
SZALONY PĄTNIK
[1920]

Dziedzina

Od lat przeszło dwunastu Wrześmian przestał pisać zupełnie. Wydawszy w r. 1900 czwarty z rzędu tom swych oryginalnych, jak obłąkanie dziwnych utworów - zamilkł i bezpowrotnie usunął się z widowni świata. Od tego czasu nie ruszył piórem, nie odezwał się choćby błahym wierszem. Nie wydrożyły go z milczenia zachęty przyjaciół, nie podniecіły uwabne głosy krytyków, którzy z przydługiej pauzy wysnuwali domysły o nowym jakimś, szeroko zakrojonym dziele. Lecz oczekiwania zawiodły i Wrześmian nie przemówił już nigdy.

Z wolna zaczęła się o nim ustalać opinia oczywista, jak słońce jasna i prosta: wyczerpał się przedwcześnie. - Tak, tak - pochylali smutno głowy literaccy smakosze - wypowiedział się za szybko. Nie znał ekonomii tworzenia; zbyt wiele zagadnień naraz poruszał w jednej kreacji. Raził istotnie przerostem myśli, które zgęszczone w zwarte skróty, nużyły tężyzną treści. Napój był za mocny; należało go raczej podawać w lżejszych, rozwodnionych nieco dozach. Sam sobie zaszkodził: zabrakło tematu.

Osądy dotarły do Wrześmiana, lecz nic wywołały najmniejszego skutku. Przeto uwierzono w rychłe wyjałowienie i świat przeszedł po nim do porządku. Zresztą powstały nowe talenty, zarysowały się na horyzoncie nowe sylwety i zostawiono go nareszcie w spokoju.

W rzeczywistości nawet większość zadowoloną była z takiego obrotu sprawy; Wrześmian bowiem nie cieszył się zbytnią popularnością. Utwory tego dziwnego człowieka, przesiąknięte wybujałą fantazją, przepojone .silnym indywidualizmem, sprawiały wrażenie niekorzystne, wywracając na nice utarte poglądy estetyczno-literackie, drażniły uczonych, przedrzeźniając niemiłosiernie ustalone pseudo-prawdy. W ogóle twórczość tę uznano z czasem za wytwór wyobraźni chorej, dziwaczny płód maniaka, może nawet obłąkańca. Wrześmian był niewygodny z różnych względów i niepokoił niepotrzebnie, mącąc spokojne wody. Dlatego przyjęto przedwczesny zachód z uczuciem potajemnej ulgi: ludzie odetchnęli.

I nikt ani na chwilę nie przypuścił, że sąd mógł być z gruntu fałszywy, że przyczyną usunięcia się z areny świata niekoniecznie musiało być wyczerpanie i uwiąd. Lecz Wrześmianowi było zupełnie obojętnym, jaka legenda o nim urośnie; uważał to za sprawo czysto osobistą, prywatną i ani myślał wyprowadzać z błędu.

Bo i po cóż? Jeśli to, czego odtąd zapragnął, zrealizuje się, przyszłość wyświeci prawdę i rozsadzi stężałą skorupę, w jaką go zatopiono; jeśli zaś marzenia nie ziszczą się, to tym mniej przekona, narażając się tylko na szyderstwa i obelgi. Więc lepiej czekać i milczeć.

Bo nie brakło mu tchu i rozmachu, lecz ogarnęły go nowe pragnienia. Wrześmian chciał zdobyć silniejsze środki ekspresji, zaczął dążyć do potężniejszych realizacji twórczych. Słowo mu już nie wystarczało: szukał czegoś bardziej bezpośredniego, rozglądał się za materiałem plastyczniejszym do urzeczywistnienia pomysłów.

Sytuacja była tym zawilszą, marzenia tym mniej ziszczalne, że linia twórczości, po której kroczył, odbiegała daleko od ubitych traktów.
Ostatecznie bowiem większość dzieł sztuki obraca się w dziedzinie mniej lub więcej realnej, odtwarzając lub przekształcając zjawy życia. Zdarzenia, lubo zmyślone, bywają tylko jego analogią, spotęgowaną wprawdzie przez egzaltację lub patos, więc możliwą w jakimś momencie czasu; podobne obrazy mogły już kiedyś zajść w rzeczywistości, mogą się kiedyś pojawić w przyszłości; nic nie przeszkadza wierze w ich możliwość - rozum nie podnosi buntu przeciw przystępnym zmyśleniom. Nawet twory przeważnej liczby fantastów nie wykluczają przypuszczalnej realizacji, o ile w ogóle nie wygląda z nich chęć igraszki lub niedbały uśmiech zręcznego żonglera.
Lecz u Wrześmiana przedstawiała się sprawa trochę inaczej. Cała jego dziwaczna, zagadkowa twórczość była jedną wielką fikcją. Na próżno wysilała się zgraja szczwanych jak lisy krytyków w dociekaniu tak zwanych „wpływów literackich", „analogij", „prądów zagranicy", które by choć w przybliżeniu użyczały klucza do niedostępnego zamku poezji Wrześmianowej - na próżno uciekali się sprytni recenzenci do pomocy uczonych znawców psychiatrii, przerzucali stosy przeróżnych dzieł, nurtowali po encyklopediach: utwory Wrześmiana wychodziły zwycięsko z powodzi interpretacyj, bardziej jeszcze tajemnicze niż przedtem, oszałamiające, groźne, niedocieczone. Wiał z nich jakiś ponury urok, nęciła zawrotna, dreszczem ścinająca głębia.
Mimo swej bezwzględnej, absolutnej fikcyjności, nie przecinającej się choćby w jednym punkcie z życiem rzeczywistym, Wrześmian wstrząsał, zastanawiał, zdumiewał: ludzie nie śmieli przejść obok z lekceważącym wzruszeniem ramion. Coś tkwiło w tych utworach krótkich i zwartych jak pocisk, coś przykuwało uwagę, pętało dusze; jakaś potężna sugestia wyiązywała się z tych ciętych skrótów, pisanych stylem pozornie chłodnym, niby sprawozdawczym, niby naukowym, pod którym tętnił żar zapamiętalca.
Bo Wrześmian wierzył w to, co pisze; bo posiadł z biegiem lat niezachwiane przekonanie, że wszelka choćby najzuchwalsza myśl, że wszelka choćby najszaleńsza fikcja ziścić się może, że kiedyś doczeka się spełnień w przestrzeni i czasie.
- Człowiek niczego nie myśli na marne. Żadna myśl, nawet najdziwaczniejsza, nie ginie bezpłodnie - powtarzał niejednokrotnie w gronie przyjaciół i znajomych.
I zdaje się, właśnie ta wiara w ziszczalność fikcji rozlewała utajony żar po arteriach jego tworów, że mimo pozornej oschłości przejmowały do głębi...
Lecz on nie był z siebie nigdy zadowolony; jak każdy szczery twórca szukał ciągle nowych środków wypowiedzenia się, coraz to dobitniejszych znaków, które by oddały myśl jego możliwie najwierniej. W końcu porzucił słowo, wzgardził mową jako zbyt łomką formą ekspresji i zaczął tęsknić do czegoś bezpośredniejszego, co by plastyką i dotykalnością prześcignęło wszystkie dotychczasowe zakusy.
Nie miało być nim milczenie, „odpoczynek słowa" symbolistów - to było dlań za blade, za mgławicowe i - za mało szczere. Chciał innej realizacji.
Jaką być mogła - nie wiedział dokładnie - lecz w możliwość jej wierzył niewzruszenie. Parę faktów zaszłych przed laty, gdy jeszcze pisał i ogłaszał - umocniło tę wiarę; przekonał się bowiem już wtedy, że mimo swego urojonego charakteru kreacje jego posiadają szczególną siłę wpływania na świat i ludzi. Szalone pomysły Wrześmiana wypadłszy z rozżarzonej miazgi twórczej, zdawały się mieć moc zapładniającą, wytwarzając nowe, nie znane dotychczas

wiry, jakieś obłąkane monady myślowe, których przejawy rozbłyskiwały niespodzianie w czynach i gestach pewnych osobników, w przebiegu pewnych zdarzeń.
Lecz i to mu nie wystarczało. Pragnął spełnień całkiem niezależnych od praw rzeczywistości, tak swobodnych, jak ich źródło: fikcja, jak ich zaczyn: urojenie. Byłoby to ideałem - najwyższą realizacją bez reszty, wypowiedzeniem się pełnym, bez cienia niedoborów...
Lecz Wrześmian rozumiał, że taka realizacja mogła stać się dla niego samego zagładą. Bezwzględne spełnienie byłoby też absolutnym wyżyciem się, więc śmiercią z wytężenia, nadmiaru...
Bo ideał - wszak wiadomo - jest w śmierci; dzieło przytłacza twórcę swym ciężarem; myśli zrealizowane w pełni mogą stać się groźne i mściwe; zwłaszcza myśli obłąkane. Pozostawione sobie, bez punktu oparcia o rzeczywiste podłoże, mogą być niebezpieczne dla tego, który je stworzył.
Wrześmian przeczuwał podobną ewentualność, lecz się nie wahał, nie uląkł. Pragnienie było mocne nade wszystko...
Tymczasem lata mijały cicho, nie przynosząc wymarzonych ziszczeń. Wrześmian usunął się zupełnie z widoku ludzi i zamieszkał samotnie u wylotu miasta, w ustronnej, wychodzącej na pola i ugory, podmiejskiej ulicy. Tu zamknięty w swych dwóch pokoikach, odcięty od towarzysttwa, spędzał miesiące i lata na lekturze i kontemplacji. Z wolna ograniczał się do coraz to ciaśniejszych kręgów życia rzeczywistego, któremu nie poświęcał najmniejszej uwagi, płacąc tylko minimalny, nieunikniony haracz. Poza tym cały tkwił w sobie, w swych marzeniach i w tęsknocie za ich spełnieniem. Idee, nie zrzutowywane jak przedtem na papier, nabierały mocy i soków, pęczniały nie wypowiedzianą treścią. Czasem zdawało mu się, że myśli nie abstrakcjami, lecz czymś materialnym, niemal zgęszczonym, że wystarczyło ręką sięgnąć, by ująć, by pochwycić. Lecz złudzenie prędko rozwiewało się, by ustąpić miejsca gorzkiemu rozczarowaniu.
Przecież nie tracił otuchy. By nie rozpraszać się zbytnio widokami świata zewnętrznego, zacieśnił zakres codziennych postrzegań do nielicznej liczby obrazów, które widziane ciągle bez zmiany dzień w dzień, przez lata całe, powoli weszły w zwarte kolisko idei, stały się współmiernym im terenem, zlewając się ze światem marzeń w jedną swoistą dziedzinę.
Tak nieznacznie wytworzyło się nieuchwytne jakieś środowisko, jakaś tajemnicza oaza, do której nikt nie miał przystępu oprócz Wrześmiana - króla niewidzialnego ostrowu. Owo milieu nasiąkłe jaźnią marzyciela, przepojone nim po brzegi, przedstawiało się nie wtajemniczonym jako zwykłe miejsce w przestrzeni; ludzie mogli dostrzegać tylko jego stronę zewnętrzną, jego istnienie fizyczne - drgającego wewnątrz rozczynu myśli, subtelnego związku, jaki łączył je z osobą Wrześmiana, przeczuć nie zdołali...
Dziwnym trafem przestrzenią objętą przez myśl fantasty, owym miejscem, które przetworzył w dziedzinę swych rojeń, nie było jego mieszkanie; oaza fikcji wznosiła się naprzeciw jego okien, po drugiej stronie ulicy, we formie jednopiętrowej willi.
Ponura wytworność domu przykuła go do siebie od razu po zajęciu nowego mieszkania. U końca czarnego szpaleru cyprysów, obejmujących podwójnym rzędem kamienny chodnik, widniał kilkustopniowy taras, z którego wiodły do wnętrza ciężkie stylowe podwoje. Poprzez żelazne sztachety, okalające zewsząd pałacyk, bielały po obu stronach cyprysowej alei skrzydła domu. Pociągnięte bladozieloną farbą wyglądały z głębi schorzałe, smutne lica ścian. Zdradziecko utajona spodem w ogrodzie wilgoć wypełzła tu i ówdzie ciemnym wysiąkiem.

Niegdyś starannie pielęgnowane rabaty kwiatów, chimerycznie zawinięte klomby z czasem zatraciły wyrazistość linii. Tylko fontanny dwie wieczyste łzawiły cicho, roniąc wodę z marmurowych mis na pęcze róż bogatych, czerwonych. Tylko muskularny tryton po lewej stronie wciąż wyciągał tym samym gestem rękę na powitanie ku gibkiej dziwożonie, co wychylona z marmurowej cysterny po tamtej stronie, wabiła go od lat przynętą boskiego ciała; na próżno - bo rozdzieliły ich żałobne cyprysy...
Całość sprawiała wrażenie ponurej samotni, opuszczonej od dłuższego czasu przez ludzi, izolowanej od sąsiednich budynków. Willa zamykała ulicę; poza nią nie było już ani jednego domu; kładły się tylko szerokimi pasmami łęgi, płożyły pola, ugory, z dala czerniały zimą, rdzewiały jesienią bukowe lasy...
W seledynowej willi nie mieszkał nikt od szeregu lat. Właściciel, jakiś majętny arystokrata, wyjechał od dawna za granicę, pozostawiając dom bez opieki.
Więc stał zaniedbany w pośrodku wybujałego ogrodu, trawiony niszczycielską pracą deszczu, kruszony zjadliwością wiatrów i zimowych zamieci.
Posępny urok, jaki wiał od tego zacisza, dziwnie pociągał duszę Wrześmiana. Willa była dlań plastycznym symbolem nastroju, którym tchnęła jego twórczość - wpatrzony w nią, czuł się jakby u siebie.
Toteż całe godziny spędzał przy oknie i oparty o ramę, zapuszczał zamyślone spojrzenie w stronę smutnego domu. Zwłaszcza w noce miesięczne lubiał obserwować bajeczne efekty wywoływane we fantastycznej ustroni przez światło księżyca. Już to noc zdała się być właściwym jej żywiołem. Za dnia willa jakby drętwiała w martwym uśpieniu; cały czar ukryty w jej tajemniczym wnętrzu występował w pełni dopiero po zachodzie słońca. Wtedy dom ożywiał się; jakieś nieuchwytne drgnienie przebiegało dreszczem senną pustelnię, wstrząsało stężałe w żałobie cyprysy, marszczyło falistą linią zwietrzałe przyczółki i fryzy...
Wrześmian patrzył i żył życiem domu. Budziły się myśli wyraźne, harmonijnie zestrojone ze scenerią naprzeciw, rodziły patetyczne tragedie, silne jak śmierć, groźne jak przeznaczenie - to znów mżały jakieś pomysły niejasne, przyćmione jakby patyną księżycowego posrebrza.
Każdy zakątek stał się zmysłowym odpowiednikiem fikcji, bryłowatą realizacją myśli, które czepiały się gzemsów, wędrowały po samotnych, pustych salach, łkały na stopniach terasy. Rozchybotane szale śnień, mgławice rojeń tułały się dżdżystą rozchwieją, błąkały wzdłuż ścian, niepewne ostoi. Lecz i te znalazły przystań. Podrażniona kapryśnością ich ruchów wyobraźnia odtrącała je precz z pogardą, że wylękłe ściekały mętną strugą w dużą omszałą kadź u węgła domu i sączyły się w jej czarny kadłub senne, nudne, jak woda deszczowa w późną jesienną szarugę. Nikłe, rdzawe myśli niedokwasy...
Wrześmian upajał się ponurą igraszką fantazji, nadając jej tworom bieg dowolny; wedle upodobania zmieniał ich kierunek, spędzał z widowni, za chwilę znów wyczarowywał nowe ich zastępy...
Nie przeszkadzał nikt. Odludną ulicą w odległej dzielnicy miasta nie przechodził żaden niewczesny natręt, nie przerywał nastroju hałaśliwy wóz.
Tak przeżył ostatnich lat kilka nie zamąconych niczym zewnątrz, pełnych grozy i dziwów od wnętrza.
Aż nagle pewnego dnia zaszły w domu naprzeciw jakieś zmiany i wydrożyły gwałtownie z zapamiętania, które już zaczęło przybierać ustalone nawykiem i wprawą formy.

Było w pogodny, lipcowy wieczór. Siedząc jak zwykle przy otwartym oknie ze wspartą na ręce głową, wodził Wrześmian zamyślonym spojrzeniem po willi i ogrodzie. Wtem spojrzawszy w jedno z okien na skrzydle, zadrżał. Przez szybę patrzyła nań uparcie blada twarz mężczyzny. Wzrok nieznajomego utkwiony weń nieporuszenie był groźny. Ogarnął go nieokreślony lęk. Przetarł oczy, przeszedł się parę razy po pokoju i znów spojrzał w okno: surowa twarz nie znikła, wciąż wpatrzona w jego stronę.
- Czyżby już wrócił właściciel willi? - rzucił półgłosem słabe przypuszczenie.
Ponura maska w odpowiedzi skrzywiła się w dzikoironicznym uśmiechu. Wrześmian zapuścił storę i oświetlił mieszkanie: nie mógł dłużej wytrzymać wzroku.
Dla zatarcia wrażenia zatopił się w lekturze aż do północy. Koło dwunastej dźwignął się znużony od książki i wiedziony przemożną pokusą, uchylił brzegu zasłony, by wyjrzeć przez okno. I znów dreszcz trwogi przejął go do kości: blady mężczyzna stał wciąż bez ruchu tam, za szybą na prawym skrzydle i oświetlony jasno magnezjowym lśnieniem księżyca obezwładniał go wzrokiem. Zaniepokojony, zapuścił Wrześmian z powrotem roletę i usiłował zasnąć.
Lecz na próżno; przejęta lękiem wyobraźnia nie dawała mu spokoju, dręcząc nieznośnie. Dopiero nad ranem zapadł w krótki nerwowy sen pełen zmor i wizyj. Gdy nazajutrz koło południa obudził się z zawrotem głowy, pierwszą myślą było spojrzeć w okna willi. Odetchnął: uparta twarz znikła.
Przez cały dzień był spokój. Lecz nad wieczorem ujrzał za szybą na pierwszym piętrze wlepioną w siebie maskę jakiejś kobiety, rozwiane włosy okalały twarz przekwitłą już, ze śladami wielkiej niegdyś piękności, twarz obłąkaną, z para błędnych, zawziętych oczu. I ona patrzyła nań poprzez szaleństwo źrenic surowym wzrokiem towarzysza ze skrzydła prawego. Oboje zdawali się nic nie wiedzieć o swej współbytności w dziwnym domu. Łączył ich tylko gest groźby zwrócony ku Wrześmianowi...
I znów po bezsennej nocy, przerywanej wypatrywaniem prześladowców, nastał dzień wolny od maszkar. Lecz kiedy już mrok wchodził w tajne zmowy z nocą, wykwitła w trzecim z rzędu oknie nowa postać, by nie ustąpić aż do rana. Tak w przeciągu paru dni zapełniły się wszystkie okna willi złowieszczymi twarzami. Spoza każdej szyby wyglądały jakieś oczy rozpaczne, czyjeś owale przeorane bólem lub obłędem. Dom patrzał nań oczyma maniaków, grymasem szaleńców, szczerzył się ku niemu śmiechem opętanych. Nikogo z tych ludzi nigdy dotąd w życiu swoim nie widział, a jednak wszyscy byli mu jakby skądś znani. Lecz skąd, nie wiedział. Każdy z nich miał wyraz odmienny, lecz wszystkich jednoczył ruch groźby w jego stronę; widocznie uważano go tam za wspólnego wroga. Przerażała ta ich nienawiść i przyciągała zarazem w magnetyczny sposób. I rzecz dziwna: w najgłębszych pokładach duszy rozumiał gniew ich i przyznawał mu słuszność.
A oni, jakby odgadując go z oddali, nabierali pewności wyrazu i maski ich stawały się z dniem każdym bezwzględniejsze.
Aż nocy jednej sierpniowej, gdy wychylony przez okno wytrzymywał krzyżujące się na nim spojrzenia nienawistnych oczu, nagle nieruchome twarze ożywiły się; we wszystkich błysnęła naraz ta sama wola. Setki chudych jak piszczele rąk podniosły się w górę ruchem rozkazującym i kilkadziesiąt bladych dłoni wykonało zgięciem palców gest znamienny...
Wrześmian zrozumiał: wzywano go do wnętrza. Jak zahipnotyzowany przeskoczył parapet okna, przeszedł wąski pas ulicy i przesadziwszy sztachety, począł iść aleją ku willi...

Była czwarta nad ranem, pora przeddreszczy świtowych. Magnezjowe bluzgi księżyca pławiły w srebrnej topieli dom, wywabiały z załomów długie cienie. Droga była jasna, oślepiająco biała wśród żałobnych ścian krzewów. Głucho, wyraźnie tętniły kroki na kamiennych płytach; cicho szemrały fontanny, tajemniczo dżdżyły wodne łuki... Wstąpił na taras i silnie szarpnął klamkę: drzwi ustąpiły. Szedł długim kurytarzem w dwa rzędy kolumn korynckich pod ścianami. Nocny półmrok rozświecała gloria księżyca, która wlewając się przez witraż u końca krużganka, snuta zielone baśnie na porfirze posadzki...
Nagle w przechodzić wysunęła się spoza trzonu kolumny jakaś postać i poszła za nim. Dreszcz go zdjął, lecz milcząc szedł naprzód. O parę kroków dalej oderwał się od wnęki między słupami kształt nowy, za nim trzeci, dziesiąty - wszystkie szły za nim. Chciał zawrócić, lecz zastąpiły mu drogę. Więc przeszedł las kolumn i zboczył w jakąś okrągłą salę na prawo. Tu było jasno od lśnień księżycowych i pełno jakichś ludzi. Przemykał się między nimi, szukając wyjścia. Na próżno! Otaczali go coraz zwartszym, natrętniejszym koliskiem. Z bladych, bezkrwistych ust wypłynął groźny poszept:
- To on! To on!
Zatrzymał się i spojrzał wyzywająco w tłum:
- Czego chcecie ode mnie?
- Twej krwi! Krwi twojej chcemy! Krwi! Krwi!
- I cóż wam po niej?
- Chcemy żyć! Chcemy żyć! Po cóżeś nas wywołał z chaosu niebytu i skazał na nędzę półcielesnej włóczęgi? Patrz, jacyśmy bezsilni i bladzi!
- Litości! - jęknął, rozpaczliwie rzucając się na kręte schody w bok sali.
- Trzymać go! Otoczyć! Otoczyć! Pędem szaleńca wdarł się po stopniach na piętro i wpadł w jakąś średniowieczną komnatę. Lecz prześladowcy wtargnęli tuż za nim. Wiotkie ich ramiona, fluidyczne, wilgne jak mgła ręce zwarły się w makabryczny korowód bez wyjścia.
- Cóżem wam uczynił?
- Chcemy pełni życia! Przykułeś nas, nędzniku, do tego domu! Chcemy wyjść stąd na świat, wyzwolić się od miejsca i żyć na swobodzie! Krew twoja nas wzmocni, krew twoja sił nam doda! Udusić go! Udusić!
I wyciągnęli ku niemu tysiące głodnych ust, tysiące bladych ssawek...
Obłędnym odruchem miotnął się ku oknu, by wyskoczyć. Legion oślizgłych, zimnych rąk chwycił g3 wpół, wbił zakrzywione haki palców we włosy, owinął szyję... Targnął się raz i drugi. Czyjeś paznokcie wżarły mu się w krtań, czyjeś wargi przyczepiły do skroni...
Zachwiał się, oparł plecyma o framugę, przeważył się wstecz... Kurczowo wyciągnięte ramiona rozłożyły się ruchem ofiary, na zbielałe wargi wypełznął znużony uśmiech spełnień - już nie żył...
A w chwili gdy wewnątrz stygło w podrzutach agonii ciało Wrześmiana, przerwał ciszę przedświtową głuchy pluskot. Szedł od kadzi u węgła domu. Powierzchnia spleśniałej od zielonych kożuchów wody zakotłowała - w głębinach zbutwiałej, w rdzawe obręcze ujętej beczki dźwignęły się jakieś wiry, zafalowały męty, zabulgotały ustoiny. Wybiegło parę dużych, wzdętych bąbli i wychylił się niekształtny kikut ręki; jakiś niby tułów, niby kadłub - wynurzył się z toni ociekający wodą, okryty pleśnią i trupieszą stęchlizny twór - niby człowiek, niby zwierz, niby roślina. Potworek błysnął ku niebu zdumioną twarzą, roztworzył w nieokreślonym głupowato-zagadkowym uśmiechu gąbczaste wargi, wydobył z kadzi pokręcone jak krzak koralu nogi i otrząsnąwszy się z wody, zaczął iść krokiem chwiejnym, rozkołysanym...

A był już świt na dworze i fioletowe jaśnie ślizgały się po bezbrzeżnych obszarach świata. Dziwotwór szedł ku tym modrzejącym na horyzoncie dalom; uchylił furtkę od ogrodu poza domem, przesunął się kabłąkiem po ścieżynie i oblany ametystowymi strugami brzasku wtoczył się na drzemiące mraką świtu łąki i pola. Z wolna postać jego malała, rozwadniała się, gasła... aż rozpłynął się, rozwiał w blaskach zarania...

Z TOMU
KSIĘGA OGNIA
[1922]

Czerwona Magda

W strażnicy pogotowia pożarniczego panowała cisza północy. Światło latarni-czujki naciągniętej wysoko na haku pod stropem roztaczało przyćmiony wachlarz promieni na izbę kwadratową, z dwoma tapczanami pod ścianą i szafą na akta i hełmy zapasowe. Pod oknem przy stole siedziało dwóch strażaków nad partią warcab, puszczając od czasu do czasu kłęby żółtego dymu z długich wiśniowych lulek. Grali znać bez przejęcia, tak sobie, dla zabicia czasu, bo ruchy rąk były leniwe, jakby od niechcenia, gdy z twarzy znużonych czuwaniem wiała nuda i senność. Czasem któryś ziewnął szeroko i rozprostował przygarbione ślęczeniem plecy, czasem bąknął półgębkiem jakąś uwagę. I znów zapadała cisza spowita dymem fajek.

Na tapczanach leżało dwóch dyżurnych; jeden pod lewą ścianą chrapał smacznie w oktawę tonów, gdy jego partner ze strony przeciwnej ćmił w milczeniu papierosa ze wzrokiem wbitym nieruchomo w pułap. W jakiejś chwili oderwał oczy od sufitu, przydusił dogasający ogarek i rzucił w kąt izby. Jeden z grających odwrócił się:

- Nie śpicie, panie sierżancie?

- Jakoś mi się nie klei. Grajcie dalej. Wolę dumać. Wyciągnął się z powrotem na łóżku, splótł ręce pod głową i zapatrzył się w zamyśleniu w duży wiszący obraz św. Floriana. Niewesoła znać była zaduma, gdyż twarz mu się chmurzyła raz po raz i co chwila ściągał boleśnie długie czarne łuki brwi.

Jakoż miał się czym kłopotać sierżant pożarny, Piotr Szponar. Od trzech tygodni powróciła do miasta na służbę jego jedynaczka, Magda, a wraz z nią te same troski i obawy, które przed dwoma laty zmusiły do wydalenia jej w strony odległe, gdzie jeszcze o niej nikt nic nie słyszał.

Bo dziwnym też stworzeniem była córka strażaka. Wysoka, wątła i blada, zwracała uwagę dużymi czarnymi, wiecznie w przestrzeń zapatrzonymi oczyma i ruchami rąk, których nigdy opanować nie umiała. Ręce te, równie blade jak twarz, przebiegały ustawicznie jakieś nerwowe dreszcze czy skurcze, wywołując niespokojny, spazmatyczny ruch palców - długich, wąskich, wiecznie zimnych. Włosy miała bujne, czarne, które w lśniących kruczo wężach wymykały się spod jedwabnej, ognistopomarańczowej chusty, jedynej ozdoby, na jaką stać było biedną dziewczynę.

Bo biedną była, bardzo biedną córka pożarnika. Matka Marta, podobno wielkiej piękności Cyganka, odumarła ją wcześnie, pozostawiając w spadku naturę chorą jakąś, niesamowitą, i tęsknotę do wielkich, bezkresnych stepów. Ojciec kochał Magdę uczuciem tkliwym i serdecznym, lecz jakby z odcieniem lęku przed własnym dzieckiem. Piotr Szponar bał się swej córki. Bał się jej białej jak marmur twarzy, jej wąskich, zaciętych uporczywie ust, jej długich a częstych zamyśleń. Lecz były i inne, głębsze przyczyny ojcowskiego lęku.

Oto żonie jego jeszcze, gdy wiodła pośród swoich życie nomadów, przepowiedzieć miała stara Cyganka, że uwiedzie ją człowiek biały, osiadły i że spłodzi z nim dziecię - dziewczynę, córkę płomieni, którą ojciec będzie zwalczał przez całe życie.

Wróżba zdawała się dziwnie spełniać. Marta dożyła tylko pierwszej jej połowy, porzucając dziecko na zawsze już w piątym roku życia. Z trwogą czekał Piotr na ziszczenie się niejasnej dlań zrazu części drugiej. Aż przyszedł czas, w którym tajemnicze słowa wiedźmy zaczęły nabierać właściwego znaczenia. Magda Szponar miała wtedy lat 15 i służyła w mieście w fabryce tutek, gdy wybuchł pierwszy pożar: zapaliły się nie wiadomo jakim sposobem skrzynie z bibułkami i pożoga rozszerzyła się na cały zakład
w przeciągu kilku minut. Strata była olbrzymia; szła w krocie. Sprawcy nie wykryto nigdy. Natomiast po ugaszeniu pożaru znaleziono robotnicę Magdę Szponar w malej salce środkowej cudem ocalałej z morza płomieni, rozpostartą na podłodze w głębokim uśpieniu. Dziewczyna prawdopodobnie przetrwała w tym stanie cały pożar i dopiero po dwugodzinnym cuceniu otworzyła ociężałe ze snu powieki. Jak zdołała wytrzymać przez godzinę bez uduszenia się w zamkniętym pokoju otoczonym zewsząd falami ognia i w jaki sposób w ogóle ocalał pokój, położony w samym środku płonącego budynku - pozostało na zawsze nie rozwiązaną zagadką.
Po tym wypadku zmieniała Magda parokrotnie chlebodawców, służąc przeważnie jako pokojówka przy zamożniejszych rodzinach, jako garderobiana w kawiarniach lub panna sklepowa. I zawsze jakimś fatalnym trafem wkrótce po jej wstąpieniu do służby wybuchały pożary w domach i instytucjach, w których była wtedy zajętą. Przyczyna tych klęsk żywiołowych pozostawała za każdym razem nie wyjaśnioną; ludzie stawali zawsze już wobec faktu dokonanego.
Zrazu nikomu ani śniło się szukać jakiegoś związku między pożarami w mieście a Magdaleną Szponarówną, której zachowanie się poprawne i bez zarzutu nie zwracało na siebie niczyjej uwagi. W końcu jednak zaczęły wśród warstw miejskiego proletariatu krążyć jakieś dziwne pogłoski na temat częstych wypadków ognia w czasach ostatnich. Doszło bowiem do tego, że nieraz gorzało w mieście po dwa i trzy razy na tydzień, i to - rzecz dziwna - ciągle w tym samym miejscu; ogień jakby upodobał sobie pewne dzielnice - co więcej, pewne domy, rodziny, nawiedzając je w sposób szczególnie natrętny. Wreszcie ni stąd, ni zowąd, po okrutnym pożarze na Lewandówce, który spalił niemal doszczętnie świeżo wystawioną kamienicę miejskiego syndyka, gruchnęła nagle pogłoska, że sprawczynią tylu klęsk nie jest nikt inny tylko Magda Szponarówną, służąca w domu Doleżanów. Wzburzony tłum pospólstwa napadł na nią na środku rynku i byłby przeprowadził nad nie^ szczęśliwą doraźną egzekucję, gdyby nie interwencja ojca, powszechnie lubianego i cenionego obrońcy dobra publicznego, i policji, która uprowadziła dziewczynę przed zemstą rozwścieczonego motłochu.
Przeprowadzone śledztwo nader surowo i ściśle nie wykazało winy podsądnej; sędzia śledczy stwierdził tylko ku powszechnemu zdumieniu na podstawie zeznań świadków i oskarżonej, że w przeciągu roku niespełna jej służby zaszło w mieście przeszło 100 pożarów, i to przeważnie tylko w domach jej chlebodawców w danej chwili. Nadto ustalono charakterystyczny fakt dotyczący zachowania się Szponarówny w czasie podejrzanych pożarów: oto w 50 wypadkach na 100 znachodzono ją po ugaszeniu ognia w stanie nieprzytomnym, prawie kataleptycznym „•”, zwykle wewnątrz domu, który uległ klęsce. Oto wszystko. Dowodów winy bezpośredniej nie zdołali oskarżyciele przytoczyć ani w jednym wypadku; ani razu nikt jej nie przyłapał na gorącym uczynku. Owszem, o podpaleniu jakimkolwiek, zdaje się, nie mogło być mowy, gdyż jak wynikało z zeznań świadków naocznych i poszkodowanych, dziewczyna od chwil; wybuchu pożaru aż do ugaszenia pozostawała jakby w transie i nie ru-

szała się z miejsca; ponadto ogień wybuchał nie w bezpośredniej jej bliskości, lecz zwykle w pewnym oddaleniu, np. w drugim lub trzecim pokoju.
Kilku lekarzy ekspertów, którzy okazali żywe zainteresowanie się tą sprawą, po dokładnym zbadaniu Magdy uznało ja za istotę anormalną, z przewagą sił podświadomych, skłonną do katalepsji, a nawet somnambulizmu.
Ostatecznie zapadł wyrok uwalniający; lecz po cichu poradził sąd sierżantowi pożarników, by córki do służby więcej nie posyłał, a to ze względu na podniecenie opinii publicznej, która była stanowczo przeciw Magdzie. Jakoż mimo wyroku ułaskawiającego odtąd Szponarówna, przezwana Czerwoną Magdą, uchodziła za podpalaczkę i czarownicę, której wszyscy schodzili z drogi, bojąc się przypuścić ją na próg swego domu.
Znękany ojciec wysłał ją w strony odległe do krewnych na wieś w nadziei, że po jakimś czasie będzie mogła powrócić, gdy zatrze się pamięć katastrof, a ludność uspokoi się i zapomni o Czerwonej Magdzie.
Jakoż spędziła na wsi dwa lata, nie dając o sobie znaku życia. Wtem przed trzema tygodniami powróciła nagle do miasta bledsza niż zwykle, z zapadłymi policzkami i śladami łez w zaczerwienionych oczach. Na pytania odpowiadała niechętnie, z widocznym przymusem i tylko rwała się do służby, nie chcąc być ojcu ciężarem w domu. W końcu ustąpił na usilne błagania i choć z ciężkim sercem, wyrobił jej miejsce w domu bogatego kupca Duchnica przy ul. Młynarskiej. Dziewczyna objęła tam miejsce służącej i od tygodnia spełniała już gorliwie obowiązki.
W mieście zjawienie się Czerwonej Magdy przeszło jakoś bez wrażenia i zdawało się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Lecz Piotr Szponar gryzł się tym powrotem ogromnie i z dnia na dzień wyczekiwał złych „nowin”. Bo mimo wyroku władz, mimo wyraźnych zaprzeczeń z ust samej Magdy pożarnik nie wierzył w jej niewinność; gdzieś głęboko, na samym dnie duszy, drzemało przekonanie, że wszystko, co ludzie o niej mówią, jest okropną i smutną prawdą. On, ojciec i sierżant straży pożarnej w jednej osobie, mógł coś o tym powiedzieć - on, który gasił własną ręką wszystkie po kolei pożary, jakie opinia ludzka wiązała w tajemniczy sposób z jego Magdą. Miał czas już poznać dokładnie wszystkie towarzyszące im symptomy i zbadać je do gruntu; odróżniał je jakimś osobnym, swoistym zmysłem od innych „zwykłych”, którym też napatrzył się do woli. Nie na darmo dosłużył się stopnia sierżanta i uchodził za pierwszorzędną siłę pożarniczą. Gdyby go spytano na spowiedzi: - Sierżancie pożarny, Piotrze Szponar - czy córka twoja jest winną? - odpowiedziałby, że nie, o ile chodzi o jej własne sumienie i pełną ludzką świadomość. Lecz gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy w bezwzględną niewinność Magdy, zaprzeczyłby równie stanowczo.
Najwięcej go jednak bolało, że to właśnie jego córka, jego krew. Tkwiła w tym jakaś bolesna ironia, że jego rodzone dziecko zdawało się stwarzać dookoła siebie ową niszczącą siłę, którą on tępił zajadle od tylu lat. Czasami przychodziła dziwna myśl, że może właśnie dlatego, może właśnie za tę zaciętość, z jaką zwalczał ogień, przyszedł nań dopust; może okrutny żywioł mścił się na nim w ten sposób? Nie wiadomo. Szponar błądził i cierpiał ogromnie.
Oto i teraz, w tej śródnocnej godzinie, trwożne myśli nie dawały spokoju, wałęsając się, jak upiór, pod czaszką.
Dźwignął się ciężko z tapczanu i aby czymś odpędzić męczącą zmorę, zaczął przeglądać regulamin pogotowia wycięty na ścianie. Lecz i to znać mu się wkrótce uprzykrzyło, bo odwrócił się znudzony do tablicy na rozkazy i kredą jął kreślić jakąś karykaturę.

Wtem targnął ciszą głos dzwonka: trzy ostre, dojmujące ukłucia. Automaty pożarowe grały. W strażnicy wszczął się nagły ruch, przemykały pod oknami w nerwowym pośpiechu jakieś postacie. Szponar z bijącym sercem studiował wskazówki automatu. Każda chwila przynosiła mu nowe szczegóły, sprecyzjowane na minutę, sekundę. Strażak wlepił oczy w lśniącą platynową tarczę, ale je wnet zamknął z powrotem. Jak gracz niepewny karty trzyma ją długo pod ręką, zanim odwróci i chwilę zgaduje - tak pożarnik nakrył trwożnie powiekami oczy i bał się spojrzeć w twarz prawdzie. Wreszcie podniósł je, wpijając głodne spojrzenie w aparat. Tu już była odpowiedź gotowa: zwięzła, wyraźna, nieubłagana.
- Gore! Dzielnica IX. Garbarze. Młynarska.
Szponar zachwiał się i zbladł. Przeczucie nie omyliło go. Tak - to było tam - na pewno! Gdzież by indziej? Niewątpliwie paliło się u Duchniców! Ogniowa kalwaria rozpoczynała się od nowa. Już w trzecim tygodniu służby! Zawierucha bólu i buntu przegięła go na chwilę ku ziemi Lecz się przemógł. Nie było czasu do namysłu; należało działać, wydać rozkazy, objąć dowództwo.
Już grała na alarm trąbka, zwołując pogotowie, już drzemiący jeszcze przed chwilą pompierzy przypasywali pospiesznie gurty, nakładali szłomy, przerzucali przez plecy zwoje sznurów i linewek ratunkowych.
Sierżant wybiegł ze strażnicy na dziedziniec. Tu pod wspinalnią i w magazynie wrzały już gorączkowe przygotowania do wymarszu. Przez szeroko rozwarte wierzeje wyprowadzano ze składu parę sikawek, wyjechał samochód rekwizytowy i dwie kominiarki do wyłącznej dyspozycji załogi. W blasku reflektorów połyskiwały na głowach metalowe kaski, zapalały się zimne światła w obuszkach toporów.
Szponar, spokojny już i zrównoważony, wydawał zlecenia. Donośnie brzmiał na dziedzińcu glos jego równy, pewny, męski.
- Wentyle w porządku? - rzucił w pewnej chwili pytanie.
Parę posłusznych ramion pochyliło się w lot ku tłokom sikawek i przeprowadziło próbę.
- Panie sierżancie, melduję, że wentyle grają - zgłosił rezultat jeden z pompierów.
- Dobrze. Hej, chłopcy! - krzyknął zajmując stanowisko na jednym z wozów - komu w drogę, temu czas! Z Bogiem, ruszajmy!
Zadrgała w powietrzu rześka pobudka trąbki As, rozskoczyły się na obie strony skrzydła bramy wyjazdowej i wśród zgiełku hubek, w krwawym świetle zapalonych pochodni runęły w ciszę ulic wozy pożarników: na czele pędził w szalonym tempie samochód z rekwizytami, za nim drugi zjeżony żebrami drabin, widłami, dżaganami i tiumnicami, z potężnym zbiornikiem wody w pośrodku, za nim dwie sikawki typu „Matador" z czeladzią do obsługi, na końcu auto osobowe z załogą pod dowództwem sierżanta...
Była trzecia nad ranem, głucha, listopadowa noc. Gwałtowny wiatr wypadał z parowów ulic i zaułków i miotał w oczy całe przygarście prochu, pyłu i brukowego kurzu. Skądś, z ogrodów, leciały zżółkle tuleje jesiennych liści i z suchym szelestem toczyły się po płytach chodników...
Minęli Aleje, skręcili na Świętojańską. Z dala, ponad wieżami farnego kościoła, gorzała łuna pożarów. W oknach ukazywały się wylęknione głowy, w bramach zaspani dozorcy; na placach zaczęły skupiać się gromadki ludzi.
A w puste, wydłużone pierzejami latarń ulice wpadały zwoje dźwięków ostrych, krzykliwych, odezwy pożarniczych hubek, głos trąbki As metaliczny.

- Gore! Gore!
Docierali do placu św. Ducha. Sponad zrębów kamienic strzeliły w niebo krwawe siklawy ognia, wił się dym w czarnych, żałobnych przegubach. W powietrzu czuć było już swąd spalenizny, słychać wzrastający wciąż zgiełk ludzi...
Minęli plac, lotem strzały okrążyli budynek poczty i z wściekłą furią runęli w ujście Młynarskiej. Tu w głębi po lewej uderzyła w oczy groźna krasa pożaru. Palił się trzypiętrowy dom kupca Duchnica. Ogień, wybuchły na wysokości pierwszego piętra, podsycany bez przerwy podmuchami jesiennego wiatru, ogarnął w przeciągu kwadransa wyższe piętra i sięgał już purpurową wstęgą po parter. Mimo nocnej pory wkoło jasno było jak w dzień. Wśród krzyku ludzi i trzasku płomieni wpadło pogotowie na duży, w tej chwili tysiącem iskier zasypany skwer przed kamienicą. Przyjął ich piekielny zgiełk i jęki. Na ulicy wkoło domu leżały stosy wyrzuconych z pomieszkań sprzętów, całe hałdy kufrów, szaf, kobierców w dzikim chaosie nieładu.
Pożar wybuchł tak nagle i rozszerzył się tak szybko, że wiele osób zdołało zaledwie «umknąć w samej bieliźnie. Innym drogę odcięły buchające z dolnych pięter płomienie, ci pozostali w płonącym domu, czekając pomocy strażaków. Co chwila ukazywały się w oknach wybladłe twarze nieszczęśliwych, daremnie żebrząc o ratunek, który nie nadchodził. Jakaś kobieta, przywiedziona czekaniem do rozpaczy, rzuciła się z drugiego piętra na bruk i skonała na miejscu. Na ten krytyczny moment nadjechali pożarnicy. W mgnieniu oka usunięto z ulicy gawiedź i ułożono linię wężową od domu do brzegu sąsiedniej rzeki. Zanim gumowe ssawki nabrały dostateczną ilość wody do zbiornika, rozpoczęły swą działalność potężne ekstinktory. Dzielny „Rese” i „Matador”, zasilane gorliwie przez podręczne hydrofory, natarły strumieniami wody na ognisko pożaru:
pierwsze piętro i parter. Równocześnie przystawiono do muru pięć drabin wysuwalnych i dwa gęsiorki. Unosząc prawą ręką wysoko w górę prądnicę węża, wspiął się pierwszy na szczeble sierżant Szponar.
- Za mną, chłopcy! - zachęcił gromkim głosem towarzyszy.
Sześciu pożarników, zagrzanych jego przykładem, zaczęło wstępować po drabinach ku zagrożonym piętrom; za nimi w ślad pełzały ku górze węże wylotowe, przymocowywane po drodze podwiązkami do łat i szczebli. Dosiągłszy poziomu pierwszego piętra, puścił Szponar mocny, ześrodkowany prąd wody do mieszkania naprzeciw, w którym kłębiły się gęste runa ognia i dymu. Czerwona topiel na chwilę wklęsła gdzieś w głąb, odsłaniając wnętrze pokoju na pół ogołoconego ze sprzętów.
- Stąd chyba już uciekli - wyciągnął szybki wniosek. I pozostawił opiekę nad pierwszym piętrem dwom towarzyszom, którzy dogonili go tymczasem.
Ponieważ drabina nie wysuwała się wyżej, przeto zaczepił się karabińczykiem o przedostatni jej szczebel na poziomie pasa, chwycił podaną mu z dołu przez kolegę drabinkę hakową w obie ręce i podniósłszy wysoko w górę ponad głową, zahaczył ją w mig krukami o okno drugiego piętra. Po dokonaniu manewru z bajeczną wprawą i chyżością zaczął wspinać się po szczeblach z dobytym toporkiem w prawej.
Już płomień, przeżarłszy opustoszałe dwa dolne poziomy, sięgnął krwawą grzywą po trzeci; już długie, gorące języki podlizywały balkony i ganki drugiego piętra, JUŻ wciskały się czerwone żądła przez drzwi i okna. Rozległ się brzęk pękających szyb zmieszany z krzykiem ludzkim.

Na jednym z balkonów zbiło się w gromadkę kilkunastu mieszkańców, zasłaniając się rękoma przed dojmującym już z bliska żarem.
W tej chwili sierżant dotarł do platformy drugiego piętra. Ruchem szybkim jak myśl wyciągnął ramię po najbliżej stojącą kobietę z rozwianym od wiatru włosem, uniósł ją lekko ponad balustradę balkonu i podał stojącemu niżej towarzyszowi, który omdlewającą mu na rękach sprowadził na dół.
- Płachta ratunkowa! - zakomenderował Szponar, widząc, że gromadka na balkonie powiększa się i pożar wtargnął już do wnętrza.
Uratowawszy w ten sposób jeszcze parę osób, poruczył resztę kolegom, sobie pozostawiając najtrudniejsze zadanie w głębi płonącego domu. Poprawił na głowie kaptur dymowy, odpiął karabińczyk i okraczywszy ostatni szczebel drabiny, wskoczył przez okno do środka. Za nim wśliznął się zdradziecki płomień.
Rozpoczęło się bohaterskie dzieło pożarnika. Jak nurek na dnie morza rzucał się Szponar na wsze strony w gorączkowym szukaniu, przebiegał pokoje, przepatrywal zaciszne, z przepychem urządzone buduary, przemierzał nerwowym biegiem opuszczone świeżo sypialnie. W pewnej chwili natknął się na jakieś ciało, leżące na posadzce. Schylił się, dźwignął i wśród kłębów duszącego dymu zawrócił ku oknu. Tu na szczęście trafił na jednego z pompierów i oddał mu swój ciężar: śliczną, dziesięcioletnią może dziewczynkę.
- Przyczepić do dwóch ostatnich pięter wory ratunkowe! - krzyknął na pożegnanie rozkaz, zawracając sam na boczne skrzydło w głąb.
W tej chwili zwycięski pożar opanował lewą połać drugiego piętra i wciskał się palącą lawą w sam środek. Sierżant obrócił się na moment, by ujrzeć wysuwającą się z jakiejś alkowy wąską, purpurową szyję płomienia. Wciągnął w nozdrza powietrze i wtedy uczuł znany sobie tak dobrze zapach jej włosów.
Nie po raz pierwszy spotykał się z tą wonią w czasie pożarów: płomienie pachniały macierzanką i liśćmi orzecha - wonią tych samych odwarów, którymi Magda tak chętnie zmywała swe długie, czarne włosy.
Nie ulegało wątpliwości: to był jej pożar.
Jak pędzony przez furię, rzucił się w wąski korytarz na prawo, skąd dochodziły go jęki. Lecz tu u wylotu zastąpiło mu drogę czerwone widmo dziewki. Była wysoka nad miarę ludzką, wyolbrzymiała jakaś, potworna i potrząsała w ręce trzymanym ognistym strąkiem.
Zasłonił się przed nią wyciągniętym ramieniem i dygocąc na całym ciele, zapytał chrapliwie:
- Czego chcesz ode mnie?
W odpowiedzi zagrał jej na ustach okrutny uśmiech i spłynął strugą ognia po płomiennych jagodach. Podniosła ognisty swój strąk i zagrodziła nim przejście.
- Z drogi! - krzyknął, obłąkany ze strachu i gniewu. - Z drogi, Magda!
I przeszedł przez nią jak przez purpurową mgłę. Zapiekło go coś tylko okropnie na rękach i szyi, że syknął z bólu. Lecz przedarł się.
W następnej chwili już wynosił na rękach jakąś staruszkę i siadłszy okrakiem na oknie, podawał ocaloną jednemu ze strażaków na drabinie.
Tymczasem inni spuszczali mieszkańców w dół na płachtach lub co silniejszych, zwłaszcza mężczyzn, w krzesłach ratunkowych, związanych naprędce ze sznurów i linewek; kilku odważniejszych skoczyło wprost na rozpostarte w dole koce. Pozostało jeszcze ostatnie piętro.

Mimo wysiłków strażaków pożar podniecany piekielnym wichrem opanował już cały dom i sięgał tryumfalnie ponad dach.
Szponar dwoił się i troił. Był wszędzie. Jak demon zbawienia miotał się w największy ogień, z pogardą życia bez granic zawisał nad przepaścią, jak linoskok wahał się co chwila między niebem a ziemią. Własnoręcznie wyniósł z płomieni 20 osób, ocalił z niebezpieczeństwa życia dwóch kolegów, zabezpieczył odwrót kilku innym. Lecz ciągle, bez przerwy prześladowało go widmo czerwonej dziewki, drażniła won ognistych je.) włosów. Tu wynurzała się jej twarz z mgławicy dymów, tam przesuwała się jej krwawa postać na tle walącego się w dół ganku, ówdzie powiewały mietlicą iskier jej piekielne warkocze.
Nie zważał na nic i opancerzony w stal żelaznej woli spełniał po bohatersku swój obowiązek. Aż nadeszła chwila najstraszniejszej próby.
O ocaleniu domu nie mogło już być mowy; poprzepalane belki wyższych pięter waliły się z łoskotem w dół, podziurawione jak rzeszota sufity zapadały się z głuchym rumorem. Mała garstka mieszkańców z trzeciego piętra skupiła się w jednym z okien na prawym skrzydle na poły objętym przez pożogę: dwóch starców, jakiś chory kaleka i młoda matka z niemowlęciem przy piersi.
Strażacy pod przewodnictwem sierżanta przypinali pośpiesznie wór ratunkowy, którym miano spuszczać tych najniedołężniejszych na ziemię.
Wtem rozległ się spazmatyczny krzyk kobiety z okna. Nieszczęśliwa przytrzymując lewym ramieniem płaczące dziecko wskazywała drugą ręką poza siebie na zbliżające się z przerażającą chyżością kotłowisko płomieni z głębi pokoju. Gryzący dym w żółtych skędzierzawionych kłakach przykrył na moment tragiczną grupę.
Gdy w chwilę potem wiatr odgarnął tę duszną zasłonę, ujrzał Szponar ścinający krew w żyłach obraz.
Przez okno przegięła się wężowym przegubem Czerwona Magda i ognistym swym żegadłem usiłowała podpalić rozpięty już wór ratunkowy. Szatański uśmiech igrał na wargach dziewki, piekielna radość rozświecała twarz w okolu żarem zionących włosów. Zjadliwe żądło już, już dosięgało płótna...
- Jezusie, Mario! - jęknął Szponar. - Giń, maro!
I zakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, rzucił w nią toporkiem.
Cios trafił w czoło. Rozległ się okropny skowyt i długie. przeciągle wycie.
Czerwone widmo cofnęło się skwapliwie w głąb domu i wsiąkło bez śladu.
Sierżant powiódł ręką po czole i spojrzał wkoło błędnymi oczyma.
Coś się w nim nagle załamało; nie miał już sil do dalszej akcji. Wyręczyli go towarzysze.
Pożar nagle jakby przygasł, skurczył się, ustępował; sikawki wzięły nareszcie górę. Wśród deszczu rozpylonej ich paszczami wody spokojnie już spuszczono worem na dół ostatnich mieszkańców.
Szarzało na niebie, gdy umęczeni śmiertelnie, czarni od dymu i kopciu pożarnicy zeszli po drabinach na ulicę. Chwiejnym krokiem zamykał ich pochód sierżant, Piotr Szponar...
Nagle doszły go jakieś okrzyki. Z tłumu zgromadzonego pod spalonym domem padło niespodzianie okropne przezwisko:
- Czerwona Magda! Czerwona Magda! Machinalnie rzucił się pomiędzy ludzi.
- Rozstąpić się! Rozstąpić się! To jej ojciec! I utworzył się długi męczący szpaler aż do zwęglonej bramy wchodowej kamienicy.

Strażak przeszedł jak pijany ten szpaler, siepany biczami spojrzeń, i skręcił bezwiednie na lewo, do jakiejś małej stancyjki cudem ocalałej z pożaru. Tu w kącie na lichym barłogu ujrzał w kałuży krwi zwłoki swej córki; z okrutnie rozwalonej czaszki sączyła się czarna, na pół już zakrzepła posoka.

- Magduś! Magduś moja! - zakrakał jakimś nieludzkim głosem.

I zatoczył się nieprzytomny pod ścianę.

Biały Wyrak
(Gawęda kominiarska)

Józefowi Jedliczowi poświęcam

Byłem wtedy jeszcze młodym czeladnikiem, jak wy, kochane chłopaki, i robota paliła mi się w rękach. Majster Kalina - świeć Panie nad jego zacną duszą - nieraz mawiał, że pierwszy po nim obejmę mistrzostwo, i przed innymi nazywał mię chlubą cechu. Jakoż nogi miałem silne i zapierałem się łokciami w kominie jak mało kto.

W trzecim roku służby dostałem do pomocy dwóch kominiarczyków i zostałem instruktorem młodszych kolegów. A było nas razem z majstrem siedmiu; prócz mnie trzymał Kalina dwóch innych czeladników i trzech chłopców do podręcznej posługi.

Dobrze nam było z sobą. Bywało, w święta i niedziele zeszła się brać u majstra na pogawędkę przy piwie lub zimą przy ciepłej herbacie pod kominem, naśpiewała, naplotła nowin do syta, że wieczór zlatywał niby ta kula spuszczona ze szczotką w gardziel spadów piecowych. Kalina - człek był piśmienny, rozumny, dużo świata zwiedził, nie z jednego, jak to mówią, komina wygartywał. Filozof był trochę, książki lubiał okrutnie, nawet gazetkę podobno kominiarską chciał wydawać. Lecz w rzeczach wiary nie mędrkował - owszem, szczególne miał nabożeństwo do św. Floriana, naszego patrona.

Po majstrze najwięcej przylgnąłem do młodszego czeladnika, Józka Biedronia, chłopaka szczerego jak złoto, którego polubiłem za serce dobre i proste jak u dziecka. Niedługo miałem się cieszyć jego przyjaźnią!

Drugi z kolei towarzysz, Osmółka, trochę melancholik, trzymał się zwykle na uboczu i unikał zabawy; lecz pracownik był z niego zawołany, w robocie sumienny i dziwnie zaciekły. Kalina cenił go sobie wielce i ciągnął do ludzi, lubo bez widocznego skutku.

Za to chętnie przesiadywał Osmółka na wieczorach u majstra i z ciemnego kąta z zajęciem przysłuchiwał się opowieściom majstra, którym dawał wiarę zupełną.

A nikt tak nie umiał opowiadać jak nasz „stary”. Jak z worka sypał gawędami, jedną ciekawszą od drugiej, kończył tę, zaczynał nową, wplatał trzecią i dalsze bez końca. A w każdej dopatrzeć się można było jakiejś myśli głęboko pod spodem przytajonej, z wierzchu dla niepoznaki gęstwą słów przykrytej. Lecz człek był wtedy jeszcze młody i głupi i brał z opowieści owych tylko to, co bawiło, dla oka błyskotką. Jeden może Osmółka patrzył bystrzej i wnikał w sedno „bajek” majstrowych. Bo „bajdami” nazywaliśmy między sobą po cichu opowiadania Kaliny. Zajmujące były, czasem straszne, aż mrowie przechodziło i włosy dębem stawały na głowie, lecz mimo wszystko baśnie tylko i bajdy. Alić życie pouczyło nas wkrótce o nich trochę inaczej...

Pewnego razu, gdzieś w środku lata, zabrakło nam podczas wieczornej pogawędy jednego towarzysza: Osmółka nie zjawił się w swym ciemnym kącie za kredensem.

- Pewnie gdzieś się zawieruszył między dziewczętami - żartował Biedroń, choć wiedział, że kolega do niewiast niespory i mało przedsiębiorczy.
- Et, pleciesz - odpowiedział mu Kalina. - Powiedz raczej, że go melancholia dławi i w domu jak niedźwiedź w ostępie siedzi i łapę ssie.
Wieczór przeszedł smutno jakoś i ospale, bo bez najgorliwszego ze słuchaczy.
Nazajutrz rano zaniepokoiliśmy się nie na żarty, gdy Osmółka nie zgłosił się do służby koło godziny dziesiątej. W przekonaniu, że czeladnik zachorował, poszedł majster odwiedzić go. Lecz w domu zastał tylko jego matkę, staruszkę stroskaną bardzo nieobecnością syna; Osmółka, jak wyszedł na miasto dnia poprzedniego nad ranem - tak dotąd do domu nie wrócił.
Kalina postanowił przedsięwziąć poszukiwania na własną rękę.
- Osmółka - ponura pałka - Bóg raczy wiedzieć, co nabroił. Może teraz gdzie się ukrywa?
Lecz szukał nadaremno do południa. Wreszcie przypomniawszy sobie, że czeladnik miał dnia poprzedniego oczyścić komin w starym browarze za miastem, zwrócił się tam po objaśnienia.
Jakoż odpowiedziano mu, że istotnie wczoraj rano był jakiś czeladnik w browarze i czyścił komin, lecz po zapłatę nie zgłosił się.
- O której godzinie skończył robotę? - zapytał Kalina jakiegoś siwego jak gołąb starca, którego spotkał na progu jednej z browarowych przybudówek.
- Nie wiem, panie majstrze. Odszedł tak niepostrzeżenie, żeśmy nawet nie wiedzieli, kiedy wracał, musiało mu się znać bardzo spieszyć, bo nawet nie zaglądnął do nas po wynagrodzenie. Jak to mówią, sczezł jak kamfora.
- Hm... - mruknął w zamyśleniu Kalina. - Dziwak jak zwykle. A czy aby dobrze wyczyścił? Jak tam teraz Z kominem? Czy dobrze ciągnie?
- Podobno nie bardzo. Synowa skarżyła się znowu dziś rano, że okropnie dymi. Jeśli do jutra nie zmieni się na lepsze, poprosimy o wyczyszczenie powtórne.
- Zrobi się - odciął krótko majster, zły, że tu niezadowoleni z jego czeladnika, i zmartwiony okrutnie brakiem dokładniejszych o nim wiadomości.
Tegoż wieczora zasiedliśmy smutni do wspólnej wieczerzy i rozeszliśmy się wcześnie do domów. Nazajutrz to samo: o Osmółce ani słychu, ani dychu - przepadł jak kamień w wodzie.
Po południu przysłali jakiegoś chłopca z browaru z prośbą, by komin wyczyścić, bo „glancuje” jak diabeł.
Poszedł Biedroń koło czwartej i więcej nie wrócił. Nie było mnie przy tym, jak go Kalina wysyłał, i o niczym nie wiedziałem. Toteż zląkłem się, ujrzawszy pod wieczór poważne miny kominiarczyków i majstra podobnego chmurze gradowej. Tknęło mię złe przeczucie.
- Gdzie Józek? - zapytałem, na próżno szukając go po izbie.
- Nie wrócił z browaru - odpowiedział ponuro majster.
Zerwałem się z miejsca. Lecz Kalina siłą wstrzymał mię przy sobie:
- Samego nie puszczę. Dość mi już tego. Jutro rano pójdziemy obaj. Jakieś licho - nie browar! Wyczyszczę ja im komin!
Tej nocy nie zmrużyłem oka na chwilę. Równo ze świtem wdziałem skórzany kabat, spiąłem się wpół mocno pasem na sprzączkę, wdziałem na głowę kominiarkę z przystułkami i przerzuciwszy przez ramię szczotki z kulami, zapukałem do izby majstra.
Kalina był już gotów.

- Weź ten obuszek - rzekł mi na powitanie, podając ręczną, świeżo znać obciągniętą na brusie siekierę. - Może ci się przydać prędzej niż miotła lub drapaczki.
Wziąłem narzędzie w milczeniu i poszliśmy szybkim krokiem w stronę browaru.
Poranek był piękny, sierpniowy i cisza ogromna w powietrzu. Miasto jeszcze spało. Milcząc przeszliśmy rynek, most na rzece i skręciliśmy w lewo przez bulwary na gościniec, wijący się w dal pomiędzy topolami.
Do browaru był kawałek drogi. Po kwadransie wytężonego chodu zeszliśmy z traktu w bok pod przedmiejskie przylaski, rzucając się na przełaj przez sianożęcia. W oddali ponad olszynką zarysowały się miedzianymi płatami dachy budynków browarowych.
Kalina ściągnął kapę z głowy, przeżegnał się i zaczai bezgłośnie poruszać wargami. Szedłem obok w milczeniu, nie przerywając modlitwy. Po chwili majster nakrył z powrotem głowę, ścisnął mocniej siekierę i zagadał cicho:
- Licho - nie browar. Piwa tam i tak już od lat jakich dziesięciu nie warzą. Stara rudera i tyle. Ostatni piwowar, niejaki Rozbań, podobno zbankrutował i powiesił się z rozpaczy. Rodzina, sprzedawszy za bezcen miastu budynki i cały inwentarz, gdzieś wyniosła się w inne strony. Następca dotąd żaden nie zgłosił się. Kotły i maszyny mają być liche i starego systemu, a na nowe nie każdego stać; nikt nie chce ryzykować.
- Więc kto właściwie kazał oczyścić komin? - zapytałem, rad z tego, że zawiązana rozmowa przerwała przykre milczenie.
- Jakiś podmiejski ogrodnik, który przed miesiącem za półdarmo sprowadził się do pustego browaru z żoną i starym ojcem. Ubikacyj mają sporo i miejsca dość, choćby dla kilku rodzin. Sprowadzili się pewnie do izb środkowych, zachowanych w najlepszym stanie, i żyją sobie za tanie pieniądze. Teraz im kominy glancują, bo stare już i tęgo sadzą zapchane. Nie czyszczone od dawna. - Nie lubię tych starych kominów - dodał po małej przerwie w zamyśleniu.
- Dlaczego? Czy może dlatego, że więcej z nimi roboty?
- Głupiś, mój kochany. Boję się ich - rozumiesz - boję się tych starych, od lat nie tykanych szczotką, nie skrobanych żelazem wlotów. Lepiej zwalić taki komin i nowy postawić, niż dawać go czyścić ludziom.
Popatrzyłem na twarz Kaliny w tej chwili. Była dziwnie zmieniona lękiem i jakąś wewnętrzną odrazą.
- Co to wam, panie majstrze?! A on, jakby nie słysząc, mówił dalej zapatrzony gdzieś w przestrzeń przed siebie:
- Niebezpieczne są wielkie zwały sadz nagromadzonych w wąskich, ciemnych szyjach, do których słońce nie ma przystępu. I nie tylko dlatego, że się łatwo zapalają. Nie tylko dlatego. My, kominiarze - uważasz - przez całe życie walczymy z sadzami, przeszkadzamy ich nadmiernemu skupianiu się, zapobiegając wybuchowi ognia. Lecz sadze są zdradliwe, mój] kochany, sadze drzemią w poćmie kominowych gardzieli, w dusznocie piecowych spadów i czyhają... na sposobność. Coś mściwego w nich tkwi, coś złego się czai. Nigdy nie wiesz, kiedy i co się z nich wylęże.
Umilkł i spojrzał na mnie. Chociaż nie rozumiałem tego, co mówił, słowa jego wypowiedziane z mocą przekonania podziałały na mnie. Uśmiechnął się swym dobrym, poczciwym uśmiechem i dodał uspokajająco:
- Może to, co miałem na myśli, nie stało się; może tutaj zaszło zupełnie co innego. Głowa do góry! Zaraz dowiemy się wszystkiego. Jesteśmy na miejscu.

Jakoż dotarliśmy do celu. Przez szeroko rozwartą bramę wjazdową wszedłem za majstrem na obszerny dziedziniec, z którego prowadziło mnóstwo drzwi do zabudowań browarnianych. Na progu jednego siedziała ogrodniczka z dzieckiem przy piersi, w głębi oparty o skrzydło drzwi stał jej mąż. Zoczywszy nas, mężczyzna zmieszał się i z widocznym zakłopotaniem wyszedł na spotkanie:

- Panowie zapewne do nas wedle tego komina?

- Juści - odpowiedział chłodno majster - że do was, tylko nie wedle komina, lecz wedle dwóch ludzi, których tu posłałem do jego oczyszczenia.

Zakłopotanie ogrodnika widocznie wzrosło; nie wiedział, gdzie oczy podziać.

- Czeladnicy moi dotąd nie wrócili z browaru! - krzyknął z pasją Kalina, wpatrując się weń groźnie. - Co się tu z nimi stało? Wy mi za nich odpowiadacie!

- Ależ, panie majstrze - wybełkotał ogrodnik - doprawdy nie wiemy, co się właściwie z nimi stało. Myśleliśmy, że pierwszy do tej pory już się odnalazł, a o drugim też nie potrafię panom dać żadnych wyjaśnień. Wczoraj po południu w mojej obecności wszedł do komina przez drzwi w ścianie kuchennej; przez jakiś czas słyszałem wyraźnie, jak zeskrobywał sadze, i byłbym przeczekał do końca operacji, gdyby nie wezwano mnie w tej chwili do dworu. Wyszedłem z domu na parę godzin, a po powrocie już się o kominie i pańskim czeladniku nic nie mówiło. Sądząc, że oczyściwszy komin, wrócił do miasta, zamknęliśmy drzwi wentylowe na noc. Dopiero teraz na widok panów wchodzących na nasze podwórze zrobiło mi się nieswojo; nagle przyszło mi na myśl, czy aby, broń Boże, nie chciało powtórzyć się to samo, co przed dwoma dniami. Na moje nieszczęście domyśliłem się trafnie. Lecz co to może być, panie Kalina? Co robić? Co poradzić?... Ja tu nic nie winien - dodał, bezradnie rozkładając ręce.

- Nie trzeba było przynajmniej zamykać drzwi od komina, ciemięgo! - huknął wściekle Kalina. - Za mną, Piotruś! - krzyknął, pociągając mnie za ramię. - Nie mamy ani chwili do stracenia. Prowadźcie nas do otworu kominowego!

Przerażony gospodarz przepuścił nas do wnętrza mieszkania. Wkrótce znaleźliśmy się w kuchni.

- Tutaj w rogu - wskazał ogrodnik na rysujący się prostokąt drzwi od komina.

Kalina posunął się w tę stronę, lecz ja, uprzedzając go, szarpnąłem niecierpliwie wystający guzik i otworzyłem.

Powiało na nas dymnym swędem i posypało się na podłogę trochę sadzy.

Zanim majster zdołał mi przeszkodzić, już klęczałem w wylocie i wyciągając ramię w górę, zabierałem się do wspinania.

- Puść mnie, wariacie! - odezwał się poza mną gniewny głos Kaliny. - To moja rzecz - ty przystaw tymczasem drabinę do dachu i wleź na górę pilnować wlotu.

Po raz pierwszy wtedy nie usłuchałem go. Jakaś wściekła zaciętość i chęć wyświetlenia prawdy opanowały mnie zupełnie.

- To niech majster sam zajmie tamtą pozycję! - krzyknąłem mu w odpowiedź. - Obiecuję tymczasem poczekać tu na dole na sygnał.

Kalina zaklął brzydko i rad nierad poddał się pod moją komendę. Niebawem usłyszałem jego oddalające się kroki. Wtedy zawiązałem sobie silniej pod brodę chustę ustową z kawałkiem jedwabiu, poprawiłem gurt w pasie i mocniej ująłem obuszek. Nie minęły i dwa pacierze, gdy tuż za załomem szyi kominowej, wstępującej już wprost do góry, odezwało się stuknięcie spuszczonej na sznurze kuli: Kalina był już na dachu i dawał mi umówiony sygnał.

Na czworakach przyczołgałem się natychmiast do zakrętu i po omacku odnalazłszy kulę pociągnąłem ją trzykrotnie na znak, że sygnał odebrany i rozpoczynam jazdę do góry.
Jakoż po przebyciu załomu wyprostowałem się, zasłaniając instynktowo głowę podniesioną siekierą.
Komin był szeroki: przełazowy i grubo sadzą oblepiony. Tu w dole, przy samej nasadzie, utworzyły się cale warstwy łatwo zapalnego „szkliwa” i świeciły zimnym metalicznym połyskiem w mdłej poświacie, która szła ze szczytu.
Zapuściłem spojrzenie w górę, tam gdzie prostopadłe ściany zbiegały się w bielejący światłem dnia wykrój wlotu, i... zadrżałem.
Nade mną, może parę stóp powyżej ostrza mojej siekiery, ujrzałem w półświetle dymnika jakąś białą, śnieżnobiałą istotę wpatrzoną we mnie parą ogromnych żółtych, sowich trzeszczy.
Stwór podobny na pól do małpy, na pół do olbrzymiej żaby, przytrzymywał w szponach przednich, spiętych błoną odnóży coś ciemnego, coś niby rękę ludzką odstającą bezwładnie od korpusu, który rysował się niewyraźną jakąś, skręconą linią tuż obok na ścianie sąsiedniej.
Zlany zimnym potem wsparłem się nogami o zbocza komina i lekko uniosłem w górę. Wtedy z szerokiej, rozciętej od ucha do ucha gęby dziwadła wyszedł szczególny, drapieżny dźwięk; straszydło zgrzytało zębami jak małpa. Mój ruch musiał je spłoszyć; i ono widocznie zmieniło pozycję, gdyż w tej chwili szerszy pas światła wdarł się w głąb ciemnicy i oświetlił mi wyraźniej okropny obraz.
Przyczepiony cudem jakimś, jakby przylepiony do ściany przylgami palców, dziwotwór trzymał mocno w swych objęciach Biedronia; pokryte białym, puszystym futerkiem odnóża tylne zamknęły się w krzyżowym uścisku dookoła nóg ofiary, podczas gdy wydłużony jak u mrówkojada ryjek przywarł chciwym smoczkiem do skroni nieszczęśliwego.
Wściekłość zalała mi krwią oczy i przemógłszy strach wspiąłem się znów o parę stóp wyżej. Biały stwór, znać zaniepokojony, począł strzyc łyżkowatymi uszyma i zgrzytać coraz głośniej; lecz się z miejsca nie ruszył.
Widziałem jego daremne w tym celu wysiłki, widziałem, jak usiłował to jakby zeskoczyć na mnie, to znów jakby umknąć w górę komina. Lecz rzuty te były jakieś niezgrabne, jakieś ogromnie ociężałe; zdawało się, że zdrętwiał jak wąż dusiciel po połknięciu ofiary lub stumaniał jak pijawka od nadmiaru wyssanej krwi; tylko ślepia wyłupiaste, okrągłe jak talerze wpijał we mnie coraz uporczywiej i groził...
Lecz szał gniewu wziął u mnie już górę nad strachem. Odwinąłem nagle ramię z siekierą i z całej siły spuściłem ją na ohydny biały czerep.
Cios był silny i celny. W jednej chwili zgasła gdzieś para ogromnych trzeszczy, coś otarło się o mnie w pędzie spadania i usłyszałem pod sobą głuchy stek; dziwna istota runęła na spód komina, pociągając za sobą swoją ofiarę.
Dreszcz obrzydzenia przejął mię do szpiku; nie miałem już odwagi zejść na dół i przekonać się o skutkach ciosu.
Pozostawała droga w górę przez dach. Zresztą byłem już w połowie wysokości komina, z którego wlotu dochodziło mię wołanie Kaliny.
Zacząłem więc szybko wdzierać się na szczyt, zapierając się łokciami i nogami ze wszystkich sił. Lecz któż opisze mój przestrach, gdy parę stóp wyżej spostrzegłem zawieszone na wystającym ze ściany haku zwłoki Osmółki?

Ciało biedaka było straszliwie, nieprawdopodobnie chude i wyschłe na szczapę - sama skóra prawie i kości - na pół uwędzone w dymie, wyciągnięte jak struna, suche i twarde jak kawał drewna.
Trzęsącymi się rękoma odpiąłem zwłoki z haka i okręciwszy parę razy wpół sznurem od kuli, dałem znak Kalinie szarpnięciem dwukrotnym.
W parę minut potem znalazłem się na dachu, gdzie mnie oczekiwał majster z wyciągniętym już ciałem Osmółki. Przyjął mię ponury, z namarszczoną brwią.
- Gdzie drugi? - zapytał krótko. W kilku słowach opowiedziałem wszystko. Gdyśmy ostrożnie znieśli na dół po drabinie ciało Osmólki, rzekł spokojnie:
- Biały Wyrak. To on - przeczuwałem, że to on.
W milczeniu przeszliśmy sień, dwie izby i wróciliśmy do kuchni. Nie było tu ani żywego ducha; rodzina ogrodnika wyniosła się cichaczem gdzieś na skrzydło budynku.
Złożywszy zwłoki pod ścianą, podeszliśmy do otworu komina. Wystawała z niego para bosych, zesztywniałycb nóg.
Wyciągnęliśmy nieszczęśliwego towarzysza i złożyli na podłodze obok Osmółki.
- Widzisz te dwie małe ranki na skroniach u obu? - zapytał Kalina stłumionym głosem. - To jego znak. Stąd nadpoczyna swe ofiary. - Biały Wyrak! Biały Wyrak! - powtórzył parę razy.
- Muszę go dokończyć - odpowiedziałem z zaciętością. - Może jeszcze nie zdechł.
- Wątpię. Ma za swoje; nie znosi światła. Zresztą popatrzmy.
I zajrzeliśmy w czeluść otworu.
W głębi majaczyło niewyraźnie coś białego. Kalina rozglądnął się po kuchni i zoczywszy długi drąg z żelaznym krukiem u końca, wsunął go w otwór kominowy. Po chwili zaczął wyciągać...
Widziałem, jak jakiś biały kłąb z wolna wyłaniał się z czeluści wlotu, jakieś śnieżne, puszyste runo zbliżało się ku krawędzi wentyla.
Lecz po drodze zewłok Wyraka jakby topniał, kurczył się i gasł. Gdy wreszcie Kalina wyciągnął cały drąg, zwisał z jego żeleźca tylko nieduży, mlecznobiały kłąb jakiejś dziwnej substancji; była płatkowata i roztrzepana, niby miękki, ustępliwy kożuszek, niby puch, niby miał - zupełnie jak sadza - tylko biała, oślepiająco śnieżnobiała...
Wtem materia zesunęła się z haka i spadła na podłogę. I wtedy zaszła w niej dziwna przemiana: w mgnieniu oka biała kula sczerniała na węgiel i u stóp naszych pozostała duża, metalicznie połyskująca kupa czarnej jak smoła sadzy.
- Oto co z niego pozostało - szepnął w zamyśleniu Kalina.
A po chwili dodał jakby do siebie:
- Z sadzyś powstał i w sadzę się obrócisz. I złożywszy na nosze nieszczęśliwych towarzyszy, odnieśliśmy ich ciała do miasta.
Wkrótce potem obaj z majstrem dostaliśmy szczególnej wysypki. Na całym ciele pojawiły się nam duże, białe krosty, niby perłowe krupy, i trwały przez parę dni. Potem znikły równie prędko i niespodzianie i sczezły bez śladu.

Pożarowisko

Rojecki sięgnął po leżącą na tacy sporą paczkę listów; otworzył jeden, przebiegł oczyma parę linii i odrzucił znudzony.
- Stara bajeczka - ziewnął, przechodząc do następnego.
- Nieciekawy - mruknął po chwili, odkładając i ten z widocznym zniechęceniem.
Trochę ożywił się przy czytaniu trzeciego.
„Przyjacielu! - pisał jakiś anonim. - Precz z przesądami! Pozostawmy je starym babom i schyłkowym zdechlakom. Od zamiaru raz powziętego nie odstępuj. Dość tych wahań!... Życzliwy".
- Hm, hm - mruknął w zamyśleniu, wpatrując się w czerwony podpis „życzliwego". - Hm, hm... Znać się ludzie bardzo tą sprawą interesują.
Opuścił krzesło i wydobył z szufladki biurka dużą, w żółty papier owiniętą paczkę listów dawniejszej daty. Wybrał kilka i rozłożył je przed sobą na pulpicie.
Charakterystyczne - myślał, porównując je ze świeżo otrzymanym. - Pisma niewątpliwie różne, a jednak treść wszędzie niemal identyczna. I te podpisy anonimowe, i to czerwonym atramentem lub tejże barwy kredką! Ciekawe! ciekawe! Co to ma znaczyć? Historia arcykomiczna i arcytajemnicza. Listy pisane zwykłym czarnym atramentem, a zamaskowane podpisy krzyczą lubryką czy minią. Jakiś klub czerwonych czy co? Wariackie cyrografy!
Trochę go to już zaczęło irytować. Od czasu gdy powziął zamiar wystawienia willi w jednej z odległych dzielnic Kobrynia, poczęty zewsząd napływać doń listy w wyraźnym związku z tą sprawą. Charakterystyczną była okoliczność, że nieproszeni doradcy należeli do dwóch wyraźnie sobie przeciwnych obozów; jedni, tak nazwani przez Rojeckiego „czerwoni", zachęcali go energicznie i gorąco do budowy, drudzy, znani mu osobiście lub ze słyszenia i podpisujący swe listy pełnym nazwiskiem, odradzali równia gorliwie, usiłując za wszelką cenę odwieść go od „szalonego" zamiaru.
Na ogół więcej zaufania wzbudzali przeciwnicy przedsięwzięcia, ponieważ występowali z otwartą przyłbicą, nie kryjąc się pod kryptonimy i tajemnicze inicjały. Z drugiej strony jednak zachęty „czerwonych" miały dlań urok sensacji, budząc żyłkę awanturniczej przekory głęboko ukrytą w charakterze pracowitego archiwariusza. Ponadto racje ich ostrzegawcze opierały się na argumentach nie wytrzymujących krytyki umysłu jasnego i trzeźwego, jakim był niewątpliwie Andrzej Rojecki.
Wszystko, cokolwiek mogli przytoczyć znajomi na obronę swego stanowiska, nosiło cechy zabobonu i przesądu zrodzonych z wyjątkowego zbiegu przypadków. Swoją drogą to, co pisali w tej sprawie, było widocznie wyrazem powszechnej opinii miasta od góry do dołu. Panu Andrzejowi wraziła się mocno w pamięć rozmowa, którą prowadził w miesiąc po przyjeździe do Kobrynia z jakimś rzemieślnikiem opodal „tego miejsca".

Było to pod wieczór, koło godz. 8. Rojecki, znużony całodzienną pracą, szedł krokiem wolnym jakąś wąską, w górę wstępującą uliczką. Szukał miejsca pod budowę willi, gdyż interesy zawodowe zmusiły go do osiedlenia się na czas nieograniczony w tym mieście brudnym, niesympatycznym i brzydkim. Czując się obco w hotelach i swym obecnym pomieszkaniu przy ul. Długiej, postanowił wybudować sobie własny dom gdzieś daleko od niechlujnego środka miasta i sprowadzić tam rodzinę. Nie mógł się tylko zdecydować, gdzie.

Już od tygodnia włóczył się po peryferii miasta, lecz nigdzie nie natrafił na miejsce stosowne. Wreszcie zapuścił się w stronę zachodnią ulicą Czarną, wybiegającą w dal na podmiejski wygon. Minął ostatnie parterowe domki, minął hutę szklaną i skręcał już na prawo na jakąś łąkę, gdy wtem zwróciła jego uwagę grupa jodeł rozrzucona kolisto na niewielkim wzniesieniu nad rzeczką.

Miejsce od razu przypadło mu bardzo do gustu. Położenie miało piękne, z dala od zgiełku i zaduchu miasta - za tło zielone łąki i sianożęcia, w perspektywie sinawą ścianę lasów.

Rojecki przeszedł kładkę rzuconą przez rzeczkę, która okalała półskrętem jodłowe wzgórze, i zaczął podchodzić pod górę. Dostęp był nader wygodny: parę kamiennych schodków prowadziło na szczyt wzniesienia. Kolisko jodeł i świerków było tak zwarte, że Rojecki nie mógł na razie nic przezeń wypatrzeć. Dopiero obszedłszy wkoło pagórek, natrafił od strony północnej szeroki rozstęp między drzewami, przez który wszedł do wnętrza. Tu rozpostarł się przed nim smutny obraz. Przestrzeń zamknięta jodłami była pogorzeliskiem.

Z kamiennych podwalin sterczały tu i ówdzie zwęglone belki; z dwóch stron pozostałych ścian, grożących za lada wiatru powiewem ruiną i zawaleniem, poodstawały tapety niby zdarta skóra od ciała; dachu ani śladu - tylko jakaś sztaba żelazna, prawdopodobnie zwornik szczytowy, przerzucała się czarną przekątnią nad rumowiem wnętrza.

Parę szczegółów wskazywało na to, że dom urządzony był z pewnym komfortem i mógł rościć sobie prawa do wytworności i dobrego smaku. Z otoczenia pozostała nietkniętą altana w oplotach dzikiego winogradu, dwie greckie statuetki na klombach i cysterna z czerwonego pirytu. Rozpięta między dwiema sosnami sznurowa huśtawka wahała się lekko w podmuchach wieczornego wiatru.

Dziwnym trafem pożar nie ogarnął, zdaje się, ani jednego ze świerków, które okalały dom w pewnej odległości.

Cudowne miejsce - pomyślał Rojecki zbliżając się do resztek kamiennego tarasu.

W tej chwili doszedł go spoza jednej z pozostałych ścian dźwięk uderzonego żelaza.

- Ktoś tu jest - szepnął zmierzając w stronę odgłosu. Zanim przekroczył osmolone ramy wejścia, wychylił się spoza stosu belek jakiś człeczyna, pozdrawiając go uchyleniem czapki:

- Dobry wieczór panu!

- Dobry wieczór! Nie wiadomo wam przypadkiem, czyj to dom uległ takiemu nieszczęściu?

- A juści że wiem. Popalił się tu przed pięcioma laty niejaki pan Dołżycki, inżynier, i wyjechał potem do Ameryki. Od pięciu lat stoi ta pogorzel nietknięta tak jak w dzień po pożarze. Wypatrzyłem tu sobie wśród gruzów parę żelaznych kun do ujmowania węgłów domowych i dziś zabieram ze sobą; nikomu i tak to się na nic nie przyda, a ja, proszę pana, z zawodu cieśla i budowniczy.

- Ach, tak, rozumiem, panie cieślo. Tylko to trochę dziwne, że dotąd nikt się tu nie pobudował. Szkoda miejsca - położenie takie piękne, taki malowniczy zakątek. Czy pan Dołżycki, odjeżdżając, wydał jakie co do tego gruntu dyspozycje?

- O ile wiem - objaśniał rzemieślnik - odstąpił go za darmo gminie miasta.
- Za darmo? Takie śliczne miejsce, i to po takiej stracie?
Cieśla uśmiechnął się tajemniczo.
- I tak by nie był znalazł kupca. Jakoż, jak już panu mówiłem, od pięciu lat nikt się na to nie zlakomił. Nic w tym dziwnego; po co narażać się na pewną stratę? Wiadomo wszystkim, Dołżycki nie był pierwszym, co się popiekł na tym interesie. Ot, co tu dużo gadać - pożarowisko i basta.
- Pożarowisko? Nie rozumiem. Chyba tyle co pogorzelisko?
- Nie, panie. Pożarowisko; wiem, co mówię. Pogorzelisko - to co innego. Pożarowiskiem nazwali tutejsi ludzie to miejsce od tego, że się tu jeszcze ani jeden dom przed pożarem nie uchował. Jak pamięć ludzka daleko wstecz sięga, każdy budynek choćby jak lichy, postawiony na tym pagórze, stawał w ogniu prędzej lub później. Powiadają ludzie, że żaden nie przetrwał i czterech miesięcy. Tfy! - dodał, spluwając na ziemię - nieczyste miejsce i tyle! Archiwariusz uśmiechał się niedowierzająco:
- Istotnie ciekawy zbieg przypadków. To niby wygląda tak, jakby ogień po prostu zawziął się na ten pagórek. Cieśla obruszył się:
- Nie „niby", proszę pana, i nie „wygląda" - lecz naprawdę zawziął się. I to nie na całe wzgórze, bo tych jodeł, jak pan widzi, nie tyka - tylko na sam środek, tj. właściwie na tę jego część, gdzie stawiano domy.
- No, no - ciągnął dalej z zajęciem Rojecki - a pan, panie cieślo, ileż pożarów na tym miejscu pamięta? Rzemieślnik zamyślił się, znać szukając w pamięci.
- 10 - odpowiedział po chwili. - Za mojej pamięci 10 razy paliło się tutaj. A mam dzisiaj lat 30.
- Pi, pi! - dziwił się szczerze p. Andrzej. - To niby co trzeci rok.
- A tak jakoś wypada. Podobno dawniej paliło się częściej, kiedy to ludziska jeszcze się nie połapali na tym, co się święci. Najstarsi mieszczanie z Kobrynia pamiętają dobrze te czasy; niejednego by się pan od nich dowiedział: dziwy opowiadają o tym przeklętym pagórku. Toteż w ostatnich latach nikt z okolicy tam się ze stawianiem budynków nie kwapił. Za moich czasów właścicielami domów na tym miejscu byli sami obcy państwo, którzy albo nic o tym lichu nie wiedzieli, lub też jak np. Dołżycki nic wiedzieć nie chcieli.
- A przyczyny pożarów czy zawsze były znane i wyraźne?
- Niby tak, a niby nie. Najczęściej zapalały się w kominie sadze, lecz bywały i inne „powody": raz rzucił ktoś nieopatrznie zapałkę, która gdzie indziej dopaliłaby się spokojnie do końca, nie wywołując ognia, to znów jakimś „przypadkiem" niedogarek papierosa dostał się na wiązkę słomy pod łóżkiem, kiedy indziej przewróciła się płonąca lampa na poduszkę. Ostatni pożar wybuchł niby przez nieostrożność samej pani inżynierowej Dołżyckiej, która zbyt blisko palącej się świecy czyściła benzyną rękawiczki. Zawsze jakieś głupstwo, jakaś drobnostka, która na innym miejscu przeszłaby bez skutków; a tu - panie - zaraz ogień tak okrutny, że ludzie ledwo z życiem uchodzą; ratować nawet nie można. Powiadają strażacy, że za każdym razem coś jakby przeszkadza im w robocie i piecze jak diabeł; nasi pompierzy niechętnie też idą na to miejsce, bo prawie żaden z nich nie wychodzi stąd cało, bez poparzeń, a nawet ran poważniejszych.
- Był pan choć przy jednym z tych pożarów? - przerwał mu Rojecki.
- Owszem, przy kilku; mieszkam stąd niedaleko. Nawet mam tu po ostatnim niezgorszą pamiątkę.

Odwinął rękaw koszuli, pokazując dużą, głęboką bliznę na ramieniu.
- Pomagałem ratować i zostałem za to ukarany: jakaś szelmowska belka omal nie zdruzgotała mi ręki. Niedobrze, panie, ratować, gdy tu się pali. To się potem lubi mścić na człowieku. Staszek Luśnia, stelmach zza rzeki, i Wałek Wron, krawczyk, którzy także zabawili się w strażaków przy dwóch pożarach na tym miejscu, mieli w parę dni potem ogień u siebie; ledwo udało go się ugasić. Toteż wreszcie prócz straży pożarnej nikt z miasta nie idzie tutaj na ratunek, by czego nie oberwać. Lepiej złego nie zaczepiać. Zresztą myślę, że teraz chyba już o tym wiedzą na sto mil wokoło i nie znajdzie się nikt, kto by chciał tutaj się osiedlić.
- A jednak - rzekł w zamyśleniu Rojecki - a jednak, kto wie? Może taki się przecież jeszcze znajdzie. Ludzie czasem bywają uparci.
Rzemieślnik popatrzył zdumiony:
- Chyba wariat jaki lub półgłówek. Wyrzucony to pieniądz i pewne niebezpieczeństwo życia,
- Hm - uśmiechnął się znacząco archiwariusz - niekoniecznie, panie majstrze, niekoniecznie. Trzeba tylko być ostrożnym i nic więcej.
I nie przeciągając już dłużej rozmowy, pożegnał go i wrócił do miasta. W parę dni potem podpisał w urzędzie miejskim kontrakt, który za niesłychanie niską cenę oddawał mu na własność „pożarowisko". Podczas załatwiania formalności zauważył archiwariusz zdumione miny urzędników i znaczące ich uśmiechy. Jakiś poczciwy, siwiuteńki jak gołąb funkcjonariusz, odciągnąwszy go na stronę, po cichu odradzał kupno:
- Niefortunne miejsce - tłumaczył mu, jąkając się, starowina. - Parcela pod złą gwiazdą. Nic szanowny pan o tym nie słyszał?
- Może i słyszałem - odparł niewzruszony Rojecki - ale w takie brednie nie wierzę. W każdym razie dziękuję łaskawemu panu za dobre intencje.
I uścisnąwszy mu rękę, opuścił biuro.
Nazajutrz przyszły pierwsze dwa listy: od znajomego sędziego, odradzający stawianie domu, i drugi, „czerwony", pełen entuzjazmu dla tego przedsięwzięcia. Potem posypały się dalsze jak z rogu obfitości. W całym mieście zdaje się o niczym innym nie mówiono jak tylko o tym, że przybyły przed miesiącem archiwariusz Andrzej Rojecki zamierza stawiać dom na „pożarowisku".
Jakoż i postawił. Znudzony natrętną korespondencją doradców, postanowił przez ruchy szybkie i stanowcze od razu „urwać łeb tej hydrze" i uwolnić się od wścibstwa kochanych bliźnich. Pewną rolę odegrała też chęć pokazania „małemu światkowi", jak się to obala przesądy i ściera w proch zabobony.
W parę dni po podpisaniu aktu kupna uwiadomił o wszystkim dokładnie żonę, pozostałą na razie w Warszawie wraz z dziesięcioletnim synkiem Józiem. Pani Rojecka odpisała mężowi odwrotną pocztą, że oczywiście plan jego aprobuje i że zaraz po wykończeniu domu zjedzie do Kobrynia. I ona również nie przywiązywała najmniejszej uwagi do przesądnych pogłosek na temat miejsca, piętnując je w liście parokrotnie mianem „dubów smalonych" i „małomiasteczkowych zabobonów".
Zadowolony z odpowiedzi, sprowadził Rojecki w tydzień potem do Kobrynia znakomitego architekta z Warszawy, pod którego osobistym kierownictwem rozpoczęła się budowa. Szła żwawo, bo archiwariusz pieniędzy nie żałował, i w ciągu dwóch miesięcy stanęła na szczycie jodłowego wzgórza śliczna, w stylu secesyjnym, willa.
Rojecki ochrzcił ją wyzywającym mianem „Pożarowa", Budowę wykończono pod schyłek wiosny, a z początkiem lipca sprowadzili się państwo Rojeccy.

Pani Maria była zachwycona prowincjonalnym gniazdkiem i od razu znalazła się tutaj u siebie. Józio, błękitnooki wisus, wybrał się zaraz na wyprawę podróżniczą w głąb dziewiczych lasów brazylijskich, jak mu się podobało nazwać gaik jodłowy okalający willę, i niebawem stwierdził z ogromną radością, że żyją w nich rude wiewiórki, a może nawet i sarny.
Ciche od lat wzgórze napełniło się śmiechem i gwarem wesołych głosów. Nawet Nero, duży łańcuchowy pies z białą łatą na uchu, widocznie bardzo był zadowolony z nowej budy pod laskiem, bo poszczekiwał radośnie i wywijał zamaszyście ogonem.
Rojeccy postanowili nie prowadzić kuchni w domu; Marianna, dotychczasowa kucharka, objęła funkcję służącej. Obiady i kolacje jadali w jednej z pierwszorzędnych restauracji w mieście lub też kazali przynosić do domu. Zarządzenie to, trochę niewygodne, uznał p. Andrzej za konieczne ze względu na ostrożność; w ten sposób unikało się palenia w kuchni, a co za tym idzie, jednej z najprzystępniejszych ewentualności pożaru.
Mimo bowiem całej swej trzeźwości poglądów na tę „banialukę" dał sobie Rojecki uroczyste słowo, że będzie ostrożnym. Odrzuciwszy z pogardą wszelkie tłumaczenie zakrawające na „niesamowitość miejsca", „znalazł" przyczynę naturalną, przeciw której nie buntował się jego zdrowy rozum; oto po prostu anormalna częstość pożarów wynikała, zdaniem jego, ze specjalnych warunków atmosferycznych miejsca; prawdopodobnie przestrzeń zamknięta koliskiem świerków i jodeł była wyjątkowo silnie nasycona tlenem. Ludzie zrazu nie zorientowali się i byli nieostrożni, a potem.. potem... Tu nastąpiła w rozumowaniu p. Andrzeja chwilowa niemiła przerwa, którą jednak wnet wypełnił mniej więcej w ten sposób: A potem te głupie opowieści o „fatalnym miejscu", ten śmieszny, zabobonny strach wytworzyły rodzaj autosugestii pchającej do kroków nieostrożnych: coś w rodzaju automatyzmu psychicznego, jakieś bezwiedne ruchy rąk; jakaś zgubna niezgrabność, no i... jest ogień.
Dlatego postanowił Rojecki być ostrożnym, nawet bardzo ostrożnym. Zawziął się i chciał stanowczo przełamać łańcuch przesądu, który opasał miejsce jego obecnej siedziby, rozerwać kolisko ognia raz na zawsze i zalać je strumieniem zimnej, zdrowej wody.
Lampy naftowe, świece, maszynki spirytusowe itp. środki oświetlające i ogrzewające zostały stanowczo z „Pożarowa" wykluczone. Natomiast zaprowadzono instalacje elektryczne z centrali tramwajowej; ten sam prąd, rozgałęziając się w wielokrotne odnogi, oświetlał i ogrzewał willę. Śniadania i podwieczorki grzano na kuchence elektrycznej z całym systemem silnych opornic. Tylko do zapalania papierosów i cygar używał Rojecki benzynowej zapalniczki, i to z zachowaniem wszelkich środków ostrożności: stawał zwykle w środku pokoju w przyzwoitej odległości od sprzętów.
W pierwszych tygodniach przychodziło Rojeckim z pewną trudnością naginanie się do tych wszystkich urządzeń i nowego trybu gospodarskiego, lecz z czasem przyzwyczaili się. I popłynęło życie w „Pożarowie" spokojną, pogodną falą dnia powszedniego.
Pan Andrzej pracował w archiwum miejskim, od ósmej rano do południa, potem wracał do domu, gdzie spędzał resztę dnia „na łonie rodziny". Bliskość lasu o 2 kilometry za rzeczką umożliwiała częste wycieczki przedwieczorną porą, z których Rojeccy wracali rzeźwi i w różowych humorach. W dnie pochmurne przechadzali się po kolistych, białym żwirem wysypanych ścieżkach i alejach swego jodłowego gaiku. Gdzieś na zboczu odkrył Józio parę granitowych bloków, z których sączyło się źródełko; pomysłowy chłopiec ułożył kamienie w rodzaju cembrowiny i tak powstała studzienka - cel częstych wypraw i źródło ochłody w skwarne dni lata...

Tymczasem w mieście najpopularniejszym tematem rozmów byli Rojeccy i ich „Pożarowe". Nie było wenty ani towarzyskiego soirée, na których by o nich nie mówiono. Oni sami mało udzielali się choćby z tego powodu, że kobryńska socjeta omijała z daleka „Pożarowe". Ludzie bali się spędzić choćby dwie godziny w niebezpiecznej willi. Ku niezmiernej swej uciesze zauważał Rojecki codziennie zaciekawione miny kolegów, którzy go witali rano w pracowni; z oczu i twarzy tych poczciwców wyzierało oczywiste zdumienie:
- Jakżeż tam u kochanego pana? Jeszcze się nie paliło? Co parę dni znajomi, spotkawszy go na ulicy, ze współczuciem patrzyli mu w oczy i ściskając gorąco za ręce, dopytywali się troskliwie:
- Jakżeż się panu mieszka, panie Andrzeju? Nie przytrafiło się panu nic szczególnego?
Archiwariusz „boki zrywał" od śmiechu, opowiadając żonie o tych spotkaniach. Lecz było i paru odważniejszych, którzy od czasu do czasu odwiedzali „Pożarowe"; przeważnie starzy kawalerowie „nie mający nic do stracenia". Ale i ci siedzieli w czasie wizyty „jak na szpilkach", rzucając wkoło dzikie spojrzenia zaszczutej w kąt zwierzyny. Goście ci wprawiali zawsze Rojeckich w złoty humor. W końcu jednemu z nich poradził p. Andrzej, by nie wybierał się do „Pożarowa" bez eskorty straży ochotniczej. Wtedy gość obraził się i więcej nie przyszedł...
Tak minął spokojnie upalny lipiec i sierpień, minął plenny w owoce wrzesień i chylił się ku końcowi zasnuty pajęczą przędzą październik. W „Pożarowie" nie „stało się" nic. W opinii publicznej nastąpił wyraźny zwrot. Ludzie zaczęli spoglądać na mieszkańców samotnej willi z widocznym podziwem i uznaniem. Jak Kobryń Kobryniem - jeszcze żaden dom na pożarowisku nie przetrwał czterech miesięcy; a tu już czwarty dobiegał do końca, a tam - cicho...
Minął październik, zaczął się melancholijny listopad. Rojecki zacierał ręce z zadowolenia, przyjmując z uśmiechem pobłażania gratulacje znajomych z powodu „szczęśliwego przebycia krytycznego okresu". Goście coraz częściej i dłużej zaczęli przesiadywać w jego domu; znikały powoli niepokój i nerwowość ruchów. Dobrze i wesoło było w „Pożarowie", bo gospodarstwo okazali się ludźmi nader gościnnymi. Nastrój dotąd wesoły i pogodny zmienił się niemal w przesadnie hałaśliwy, krotochwilny i szampańsko szumiący. Rojecki drwił nielitościwie z przesądów i uśmiechał się tryumfująco, pani Maria przekomarzała się z panią sędziną na temat dni i miejsc „feralnych". Józek szalał po lasku i okolicy; nawet Marianna, obecnie „pokojówka", zwykle solidna i poważna niewiasta, stroiła żarty w kuchni i śmiała się z byle czego.
Powoli, nieznacznie wyłoniły się w domu nowe upodobania i zwyczaje.
- C'est drôle! - zauważyła pewnego dnia po powrocie z wizyty w „Pożarowie" piękna pani Sulimirska - Rojecka nosi od jakiegoś czasu stale ognistoczerwone peniuary; już piąty raz z rzędu przyjmuje nas w tym kolorze.
Spostrzeżenie było trafne. Istotnie Rojeccy ulegli specjalnej sympatii do barwy czerwonej i czerwonopomarańczowej; pani Maria od miesiąca przeszło nosiła suknie wyłącznie w tych dwóch kolorach, którym nadawała tylko rozmaite odcienie i nuance. Mąż jej stwierdził z zadowoleniem, że jest jej z tym bardzo do twarzy, i chcąc się utrzymać niejako w tym samym stylu, zaczął nosić ogniste, wyzywające krawaty.
- A kolor jego jest czerwony - zanucił mu nazajutrz arię z Marsylianki jeden z kolegów.
- Nic nie szkodzi - odpowiedział spokojnie. - Lubię tę barwę i, jak utrzymuje moja żona, jest mi w nim do twarzy. To wystarczy.

I w parę dni potem zmienił krawat na inny, w tonie ceglastoorange.
Lecz i Józiowi znać przypadły do gustu barwy rodziców, bo zaczął dopraszać się nowego ubrania w tym kolorze! Jakoż z okazji urodzin wkrótce potem sprawiono mu czerwony garnitur.
Jakby dla dociągnięcia linii stylu do końca, kazał p. Andrzej w ostatnich dniach listopada obić wszystkie pokoje czerwoną tapetą w ciemnożółte irysy.
- Jaki tu teraz ciepły, miły ton - mówiła pani Maria do męża po przeprowadzeniu metamorfozy wnętrza.
- Nieprawdaż, kochanie? - odpowiedział, całując jej śliczne aksamitne oczy. - Ciepło zda się spływać ze ścian - błogie, rozgrzewające duszę ciepło.
Lecz w mieście uznano te zmiany za dziwactwo, a lekarz powiatowy dr Lutowski określił je nawet jako tzw. erytromanię *. Definicja nie wiadomo jakimi drogami dotarła do Rojeckiego, dając mu pochop do nowych drwin:
- Ci poczciwcy - zwierzał się przed żoną - pomawiają nas o rodzaj bzika na punkcie barwy czerwonej, a nie wiedzą biedni, że od lat sami padli ofiarą stokroć gorszej pożaromanh.
- To prawda - przyznała p. Maria, wpatrując się w żelazne zwoje elektrycznego radiatora pod ścianą. - W ogóle mam wrażenie, że wszystkie te środki ostrożności, jakich tu przestrzegamy, są właściwie całkiem zbyteczne, a nawet wprost śmieszne. Oto np. teraz, patrząc na te martwe rury radiatora rozsyłające ciemne fale ciepła, żałuję naszych dawnych poczciwych pieców. Tak się to słodko gawędziło przy trzasku ognia, w świetle czerwonych refleksów igrających po ścianie.
- Masz słuszność, Maniu. I mnie to samo przyszło w tej chwili na myśl. Lecz sprawa jeszcze nie przesądzona, Jutro każę stawiać piece; będziemy mieli ogień, zapach żywicznych smolaków i rakiety iskier.
- Wiwat! - krzyknął rozpromieniony Józio. - Będą piece! Będzie ogień! Złoty, czerwony, żółty, kochany ogień! O jak to pięknie i dobrze, tatusiu!
W pierwszych dniach grudnia opalano już willę po staremu za pomocą kaflowych pieców, a w saloniku buzował wesoły ogień w dużym, staropolskim kominku.
Po dokonaniu tego zasadniczego wyłomu w dotychczasowej taktyce nastąpiły dalsze. Rojecki ośmielony bezkarnością rozzuchwalił się. W ciągu grudnia przestano stołować się w jadłodajni, przywracając ancien regimé kuchni domowej; Marianna ku ogromnej swej radości objęła z powrotem funkcje gastronomiczne.
- Bo i słusznie, proszę wielmożnych państwa - zaopiniowała, wnosząc po raz pierwszy do jadalni obiad „własnego chowu". - Słyszane rzeczy brać obiady i kolacje z traktierni. W domu kuchnia jak złoto, naczynia błyszczą na ścianach jak diamenty - a my wciąż znosimy z restauracji te obrzydlistwa, jakby nie było komu u nas gotować. Obraza boska.
Buntownicza reakcja czyniła szybkie postępy. Obok światła elektrycznego zaczęto używać wieczorami starych „poczciwych" lamp naftowych; p. Maria nawet stanowczo dawała im pierwszeństwo przy czytaniu nut i szyciu, gdyż „elektryka" działała jej szkodliwie na wzrok. Pojawiły się też nie widziane już od dawna świece. Słowem, oświetlenie i ogrzewanie staroświeckie odniosło w „Pożarowie" stanowcze zwycięstwo nad wymysłami postępu w tej dziedzinie.
W długie zimowe wieczory skupiała się cala rodzina w saloniku przy kominku, który stał się ośrodkiem domowego życia. Czerwone, jarzące się żarem polan i szczap palenisko wywiera-

ło na nich nieprzeparty wpływ, pociągało ku sobie tajemniczą ponętą żywiołu. Godzinami siedzieli w milczeniu wpatrzeni w krwawą czeluść, zasłuchani w pryskanie iskier i szept trawionego drzewa. Czar ognia działał zwłaszcza silnie na p. Andrzeja i Józia; prześcigali się nawzajem w podsycaniu ogniska, dorzucając często bez potrzeby świeżego paliwa.
- Tatusiu - przyznał się pewnego wieczora malec - chciałbym mieć w pokoju takie duże, duże ognisko, jakie rozkładają pasterze po polach jesienią. Mamo - zwrócił się po chwili do p. Marii grającej z wlepionymi w żar oczyma jakąś burzliwą rapsodię. - Prawda, że ogień - to piękna, bardzo piękna rzecz?
- Prawda, synku - odpowiedziała wsłuchana w ognistą melodię. I jakby interpretując zachwyt dziecka dla groźnego żywiołu, zaczęła grać arię z Trubadura *.
- Con fuoco! - zachęcał Rojecki, wtórując pięknym barytonem. - Con fuoco! Piu di fuoco.
- Stride la vampa...
Fanatyczny kult ognia przybrał u Józia dziecinne, właściwe wiekowi formy. Parę razy zauważyli rodzice, jak w biały dzień, oczywiście bez celu, zapalał świecę i bawił się godzinami jej płomieniem. Innym razem, wchodząc do sypialni, spostrzegł p. Andrzej na stole płonący stos najrozmaitszych papierów i gazet, a obok Józia śledzącego proces spalania z zachwytem w oczach.
W parę dni potem, podczas sprzątania pokoju ze zgrozą wydobyła Marianna spod łóżka jakiś przedmiot na pół zwęglony, zawinięty w kilimek. Śledztwo przeprowadzone przez p. Marię wykazało, że owym tajemniczym niedogarkiem była stara szachownica p. Andrzeja, którą Józio ukradkiem skazał na całopalenie.
Chłopak dygotał ze strachu przed gniewem ojcowskim i skrył się gdzieś w mysią dziurę - lecz ku powszechnemu zdumieniu Rojecki przyjął wiadomość o zbrodniczym czynie z jakąś dziwną wyrozumiałością, nie robiąc mu najlżejszej wymówki.
W ogóle na punkcie sympatii dla ognia nastąpiło między ojcem a synem jakieś szczególne zrównanie: archiwariusz stanął pod tym względem na jednym poziomie z dzieckiem; „rozumiał" namiętność Józia, a nawet - rzecz dziwaczna - zazdrościł mu tak łatwej formy zaspokojenia jej. Wkrótce miał go prześcignąć.
Gdzieś w połowie stycznia wpadł na pomysł urządzenia „zabawy w ogień". Podczas gdy żona odrabiała z Józiem lekcję fortepianu w saloniku, postanowił Rojecki zrobić im „niespodziankę". Cicho, bez zwracania na siebie uwagi przekradł się z flaszką spirytusu do sypialni i tu wylał całą jej zawartość na jedną z poduszek; potem podpalił...
Buchnął silny ogień, obejmując w mgnieniu oka pościel, a p. Andrzej rad z efektu przywołał z sąsiedniego pokoju grających. P. Maria wydała okrzyk podziwu i trzymając kurczowo rączkę syna, zaczęła wpatrywać się uporczywie w ogniste języki sięgające już zjadliwie po firanki.
Pierwszy ocknął się z drętwoty pan domu, który dotąd ze skrzyżowanymi rękoma śledził rozwój żywiołu. Z jakimś okropnym śmiechem rzucił się do poskromienia ognia; porwał z sąsiedniego łóżka ciężki turecki koc i materac i z furią cisnął je na kłębowisko płomieni. Atak powiódł się:
zduszone momentalnie jasnolazurowe węże sczezły gdzieś, wśliznęły się pod pościel. Lecz Rojecki nie dał się zwieść pozorom. Z zapamiętałością pożarnika przypuścił powtórne natarcie, tłumiąc kosmyki bladobłękitnego ognia, które pełzały zdradliwie pod spodem Zanim upokorzony żywiot zdołał wzmóc się na siłach, nastąpiła trzecia i ostatnia szarża: tym razem

wodą z wiader, które w samą porę podała Marianna. Ogień ugaszono. P. Andrzej z zaciśniętymi nerwowo pięściami stał jakiś czas bez słowa, obserwując spaloną pościel i nadwęglone do połowy łóżko. Nagle roześmiał się jakoś dziwnie i nieswojo:
- Cha, cha! Mieliśmy „pożar" w „Pożarowie"! Nieprawdaż, Maniu? I zdusiliśmy go własnoręcznie, bez niczyjej pomocy - tymi gołymi rękami. Zdławiliśmy tę czerwoną hydrę - dodał ciszej po chwili. - Cha, cha, cha. Cóż, Józiu? Podobało ci się, hę?
I jakby nigdy nic zasiedli wszyscy troje do kolacji. Późno wieczorem idąc na spoczynek w uszkodzonej silnie sypialni, szepnęła p. Maria mężowi do ucha:
- A jednak, Jędrusiu, ogień - to piękny żywioł...
Odtąd „niespodzianki" zdarzały się w „Pożarowie" coraz częściej. Z zapamiętałością łobuza urządzał Rojecki rodzinie „ogniste kawały", nie licząc się z ogromnymi stratami, jakie za sobą pociągały. Bawiło go niezmiernie to rozpętywanie żywiołu, któremu w krytycznej chwili umiał nałożyć wędzidło, napawało szczególną rozkoszą każdorazowe zwycięstwo odniesione nad zdradliwym przeciwnikiem.
Ogień zniszczył pół sypialni, spalił na węgiel parę kosztownych sprzętów, strawił znaczną część bielizny i ubrań. Rojeccy patrzyli na to obojętnie, żądni tylko pożarniczych emocji, spragnieni „czerwonych wrażeń".
Lecz przed światem ukrywał archiwariusz starannie swoje „zabawy": Mariannie pod grozą natychmiastowego wydalenia ze służby nie wolno było przed nikim w mieście ani słowem wspomnieć o tym, co się od czasu do czasu zdarzało we willi. Rzecz dziwna - p. Andrzej, tak swobodny pod tym względem wobec żony i dziecka, jakby wstydził się przed ludźmi swoich „upodobań".
Szkody wyrządzone w domu przez sztuczne pożary naprawiano po cichu i z niezwykłą troskliwością. W razie niespodziewanej wizyty usuwało się momentalnie nadwyrężone sprzęty, zacierano skwapliwie zdradzieckie ślady lub też sprytna Marianna wprowadzała od razu gościa do pokoju wolnego od kompromitujących przejść.
Lecz to ciągłe ukrywanie się, ta konieczna ostrożność wobec bliźnich drażniły ambicję Rojeckiego. W końcu miał tego dość i postanowił gościom wypłatać figla, który byłby zarazem aktem zemsty.
W którąś niedzielę, gdy sproszone licznie towarzystwo zabawiało się w salonie „Pożarowa", nagle zajęła się od świecznika portiera wisząca nad drzwiami bawialni. Ktoś krzyknął: - Pożar! - i wszczęła się okropna panika. Parę pań zemdlało, parę wyskoczyło przez okno w wizytowych tualetach, bez okryć na 20-stopniowy mróz na dworze. W kilku sekundach Rojecki ugasił „pożar" i z sardonicznym uśmiechem zaczął zapraszać spłoszonych gości z powrotem do wnętrza. Lecz ludzie nie mieli ochoty do dalszej zabawy i odprowadzani ironicznym spojrzeniem pana domu pośpiesznie rozchodzili się do siebie.
- A widzicie, kochani państwo - żegnał ich nieubłagany Rojecki. - Cóż? Czy ogień tak straszny na pożarowisku?
- Tak, tak, ma pan rację, kochany panie Andrzeju:
podziwiałem energię, z jaką pan opanował przeklęty żywioł - przyznawał ten i ów. - Lecz lepiej, kochany panie, nie igrać z ogniem: ostrożność nie zawadzi.
I chyłkiem wynosili się z willi...
Tak minął luty i zaczęły się powiewy marcowe. Rojecki wciąż bawił się w pożar. Lecz powoli motywy zabawy uległy zmianie. O ile zrazu chodziło przede wszystkim o rozkosz dławie-

nia i pokonywania rozpętanego żywiołu, o tyle teraz satysfakcja z odniesionego zwycięstwa ustąpiła miejsca nieprzezwyciężonej potrzebie ognia dla ognia. Dlatego odkładał moment gaszenia na coraz to dalszą metę, pozwalając płomieniom rozwijać się coraz to swobodniej. Musiał wpierw napaść oczy do woli widokiem rozhukanego ognia, zanim zdecydował się na ratunek. Stąd bywały chwile nieraz nader krytyczne i gra zaczynała być naprawdę hazardową. Mimo to, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące rodzinie, p. Andrzej nigdy nie był zadowolony - zawsze zdawało mu się, że zaczął gasić za wcześnie, że można było jeszcze napiąć strunę o ton wyżej. Nie wiadomo dlaczego, przeczuwał, że wszystkie te „próby" są przygrywką do czegoś większego, tylko nikłą zapowiedzią „zabawy w wielkim stylu".

I nie omylił się. Wkrótce miała nadejść upragniona chwila. Stało się to 19 marca, w sam dzień św. Józefa.

Po hucznej zabawie u pp. Wareckich powrócili Rojeccy późno w noc do domu. P. Maria, znużona niezliczonymi turami walca, zapadła niebawem w głęboki sen. Rojecki nie mógł usnąć. Zapalił papierosa i leżąc na wznak, oddał się jakimś nieokreślonym marzeniom.

Powoli obrazy zaczęły zwierać się i gęstnieć, aż zarysował się jednolity, wyraźny kontur płonącego domu.

Rojecki znał ten dom. Był to Pałac Dożów w Wenecji, widziany przed laty w czasie wędrówek za granicą. Teraz stał cały w purpurze pożaru na tle czarnej, dusznej, śródletniej nocy.

Dlaczego właśnie ten pałac? Nie wiedział. Czuł tylko skwar ognia i woń spalenizny wyraźną, całkiem bliską, tuż o parę kroków...

Dźwignął się z łóżka i jak automat zapalił świecę. Ogarniając światło ręką, zaczął szukać czegoś w kufrze. Znalazł bal związany sznurem, przygotowany tam od dawna. Rozwiązał. Posypały się zwoje pakuł...

Podłożył pod szafę okrągłą bułę kłaków i podpalił. Nie oglądając się poza siebie, przeszedł do salonu, podrzucił pod fotele parę zgrzebnych pakietów i przytknąwszy na chwilę świecę, jak przez sen przekradł się do jadalni. Po chwili podpalał już stół w kuchni i krztusząc się od dymu, rozkładał ogniste zarzewie w pokoju bawialnym. Gdy przechodził do łazienki, już zagrodził mu drogę potężny płomień buchający z alkowy. Zaśmiał się doń nerwowym, krótkim śmiechem i zniknął w głębi korytarza z pękiem płonących pakuł w ręce...

Nad ranem odezwały się w Kobryniu dzwony na trwogę.

- Gore! Pali się! - wołały jakieś przerażone głosy. W oknach ukazywały się wylęknione twarze, na ulice wylęgali ludzie. Dzwony grały wciąż przeciągłym, pogrzebowym jękiem.

- Jezus, Maria! - krzyknął jakiś głos kobiecy. - Ogień na pożarowisku! Rojecki się pali!

- I ten się nie uchował!

- I na niego przyszła wreszcie chwila!

Ludzie żegnali się zabobonnie, patrząc w osłupieniu na olbrzymią, czerwoną kolumnę ponad jodłowym wzgórzem za miastem...

Lecz nikt nie śpieszył się na ratunek: strach przykuł nogi do ziemi, spętał ruchy, zmroził wolę...

Z dala nadpłynęła pobudka strażaków: grała trąbka pożarnicza. Po chwili przemknęło w pędzie parę sikawek i wóz z personalem ratunkowym. Za kwadrans zajechali na miejsce... Za późno! Willa była jednym morzem płomieni. Ogniste jęzory wyzierały z okien, wypadały wśród kłębów dymu z drzwi, strzelały krwawymi żądłami ponad kominy. A wkoło z siekierą w ręce biegał w bieliźnie jak opętany Andrzej Rojecki, ścinał jodły i świerki i z jakąś demoniczną radością, z pianą na ustach rzucał je ogniowi na żer...

Kilku śmielszych strażaków wtargnęło w głąb domu, by po paru minutach wynieść stamtąd trzy spalone na węgiel ciała: dwóch kobiet i dziecka. Rojeckiego broniącego się wściekle spętano wreszcie postronkami i odstawiono do zakładu dla umysłowo chorych.

Z TOMU

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

[1922]

Kochanka Szamoty
(Kartki ze znalezionego pamiętnika)

Y zbudował P. Bóg z żebra,
które wyjął z Adama,
białogłowe, y przywiódł yą do Adama.
Y rzekł Adam: To teraz kość kości moich
y ciało z ciała mego:
tę będę zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest.
Przetoż opuści człowiek
oyca swego i matkę, a przyłączy się do żony swey,
y będą dwoye w yednem ciele...
Z Księgi Rodzaju, Roz. 2. w. 22-24

Od sześciu dni chodzę pijany szczęściem i nie śmiem w nie uwierzyć. Od sześciu dni wstąpiłem w nowy okres życia, odcinający się od tego, co poprzedziło, tak silną linią, że zdaje mi się, iż przeżywam jakiś olbrzymi kataklizm.
Otrzymałem list od **niej**...
Od czasu jej wyjazdu za granicę przed rokiem, gdzieś w stronę nieznaną - ten pierwszy, cudowny znak od niej... Nie mogę, naprawdę nie mogę dać wiary! Omdleję ze szczęścia!
List od niej do mnie! Do mnie, nie znanego jej zupełnie, skromnego wielbiciela z oddali, z którym jej nigdy przedtem nie łączyły towarzyskie stosunki, choćby przelotna znajomość! A jednak tak jest istotnie. Noszę go wciąż przy sobie, nie rozstaję się z nim na chwilę. Adres wyraźny, nic podlegający wątpliwości: Jerzy Szamota. To przecież ja. Dawałem kopertę do odczytania kilku znajomym, nie dowierzając własnym oczom; każdy patrzył na mnie nieci) zdumiony, uśmiechał się i zapewniał, że adres czytelny i podaje moje nazwisko...
Więc wraca do kraju, wraca już za dni parę, a pierwszym, który ją powita na progu jej domu, będę ja - ja, który ledwo śmiałem podnieść na nią oczy, pijane uwielbieniem, podczas przypadkowych spotkań w miejscach publicznych, w jakiejś alei parkowej, w teatrze, na koncercie...
Gdybym przynajmniej mógł się poszczycić dawniej jednym spojrzeniem, jakimś przelotnym uśmiechem jej dumnych warg - lecz nie! Zdawała się mnie zupełnie nie dostrzegać. Aż do tej chwili byłem pewny, że nic nie wie w ogóle o moim istnieniu. Chyba nie zauważyła, jak wlokłem się za nią od lat, niby cień daleki, nieśmiały? Byłem tak dyskretny, tak mało natrętny! Tęsknota moja okrążała ją przecież tak odległym, tak delikatnym promieniem. Więc chyba wyczuła mnie - wyczuła miłość moją i uwielbienie pokorne, bez granic - instynktem wrażliwej kobiety. Niewidzialne nerwy sympatii, rozpięte między nami od lat, spotężniały znać na odległość i teraz ją niewolą w moją stronę.

O, bądź mi pozdrowiona, najpiękniejsza Ty moja! Oto dzień mi się kłoni pod wieczorną godzinę w rozblaskach jasny, pogodny, i pieśń moją nucę z podniesionym czołem, w łaskę Twą bogaty - Pani moja przedziwna!...
Dzisiaj już czwartek. Pojutrze o tej samej zachodu godzinie mam ją ujrzeć. Nie wcześniej. Taka jej wyraźna wola. Biorę do ręki jej list, tę bezcenną koloru lila ćwiartkę papieru, z której ulatnia się subtelna woń heliotropu, i odczytuję po raz nie wiem który:
„Drogi! Zajdź w sobotę, 26 koło 6 wieczorem do domu przy ul. Zielonej l. 8. Furtę od ogrodu znajdziesz otwartą. Oczekuję cię. Niech się spełni tęsknota lat wielu.
Twoja Jadwiga Kalergis"
Dom przy ul. Zielonej 8! Jej willa! Willa „Pod Lipami"! Wspaniały, w stylu średniowiecznym pałacyk pośród pysznego parku, odcięty od ulicy gęstą drucianą siatką i lasem drzew, cel mych codziennych niemal przechadzek! Ileż to razy zakradałem się wieczorną porą w okolicę tego zacisza, z bijącym sercem wypatrując cień jej postaci na szybach okien!...
Zniecierpliwiony wyczekiwaniem upragnionej soboty, byłem tam już parę razy i próbowałem wejść; lecz zawsze zastawałem furtkę parkową zamkniętą: klamka ustępowała wprawdzie pod naciskiem ręki, lecz zamek nie odskakiwał. Widocznie dotąd nie wróciła. Należy być cierpliwym i zaczekać tych dni półtora. Jestem zdenerwowany do ostatnich granic, nie jem, nie śpię, tylko liczę godziny, minuty... Tyle ich jeszcze zostaje! Czterdzieści osiem godzin!... Jutro dzień cały spędzę na rzece pod jej parkiem; wynajmę łódkę i bez przerwy krążyć będę koło willi. W sobotę spędzę cały ranek i część popołudnia na dworcu; muszę ją powitać choćby z daleka. Że dotąd nie wróciła, wiem na pewno od sąsiadów, którzy jej od roku już nie widzieli. Zapewne odkłada przyjazd aż na 26 września, tj. na dzień naznaczonej mi wizyty. Doprawdy, boję się, czy nie przyjdę nie w porę; po takiej podróży będzie bardzo znużona...
- -
W sobotę rano, tj. wczoraj, nie spotkałem jej na dworcu; tłum był ogromny i nie zdołałem jej dostrzec wśród tysiąca podróżnych. Zaczekałem do czwartej po południu na drugi pociąg z podobnym wynikiem. Czyżby nie przyjechała? A może przybyła pociągiem porannym i jest już u siebie? W każdym razie należało tam pójść i przekonać się.
Te dwie godziny, dzielące mię od niej, stały się nieznośnym pasmem udręczeń, których końca nie mogłem się doczekać. Wstąpiwszy do kawiarni, wypiłem ogromną ilość czarnej kawy, wypaliłem mnóstwo papierosów i nie mogąc usiedzieć na miejscu, wybiegłem z powrotem na ulicę. Przechodząc koło wystawy ogrodniczej, przypomniałem sobie zamówione na dzisiaj kwiaty.
- Co za roztargnienie! Byłbym zupełnie zapomniał!
Wszedłem do sklepu i odebrałem bukiet pąsowych róż i azalij. Świeżo ścięte kwiaty wychylały wonne pąki z kołnierza paproci i chwiały się lekko w podmuchach wieczornych. Na zegarach miejskich dochodziły trzy kwadranse na szóstą.
Owinąłem bukiet w bibułkę i szybko odszedłem w stronę rzeki. Za parę minut byłem już po tamtej stronie mostu i nerwowym krokiem zbliżałem się do willi. Serce biło mi gwałtownie, nogi uginały się pode mną. Nareszcie dotarłem do furty i nacisnąłem klamkę: ustąpiła. Olśniony szczęściem, oparłem się na chwilę o siatkę parkową, nie mogąc opanować wzruszenia. Więc wróciła!
Minęło parę długich minut. Błędny wzrok mój przesuwał się po rzędach lip, które, rozmieszczone po obu stronach chodnika, szły wyciągniętym szpalerem pod portal wchodowy. Gdzieś

z boku, spoza krzewów morwy i dereniu przeglądał szkielet jesiennej altany w oplączach wina; czerwone liście spływały po kratkach w bezładnych przeplotach ze zwiędłym już bluszczem... Na klombach kwiaty jesieni: pierzaste astry i chryzantemy przedziwne. Na ścieżki zapuszczone trawą i zielskiem spadały cicho zżółkłe liście kasztanów, dżdżyły smutno ceglaste liście klonów. Pod wyschłą cysterną z marmuru krwawiły georginie, mieniły się barwami tęczy duże szklane banie... Tam, w otoczu ligustru, na ławce kamiennej, przykrytej kobiercem igliwia, siedziały dwa czyże, nucąc piosenkę odlotu. W dalekiej perspektywie alej snuło się pod zorzę zachodu srebrne przędziwo pajęczyn...
Pchnąłem oburącz przymknięte tylko wierzeje wchodowe i po kręconych schodach wszedłem na pierwsze piętro. Zastanowił brak życia. Pałac wyglądał jak wymarły; nikt nie wyszedł naprzeciw, nigdzie śladu służby lub domowników. Olbrzymie roztruchany lamp elektrycznych oświetlały jasnym, oślepiająco jasnym światłem puste sale i krużganki...
W przedpokoju, otwartym gościnnie na spotkanie, przykro uderzył widok nie zajętych wieszadeł; gładkie metalowe ich gałki lśniły zimnym refleksem wygładzonej miedzi. Zdjąłem palto. Przez otwarte wielkie gotyckie okno wpłynął w tej chwili dźwięk miejskich zegarów: biła szósta...
Zapukałem do drzwi pokoju naprzeciw. Z wnętrza; nie odpowiedziano. Ogarnęło mię zakłopotanie. Co robić? Wejść bez pozwolenia? Może śpi, znużona podróżą?
Wtem drzwi otworzyły się i w progu ukazała się ona. Spod królewskiego diademu jej włosów barwy kasztanu patrzyły na mnie oczy głębokie, dumne i słodkie zarazem. Klasyczną głowę, godną dłuta Polikleta , zdobił naczółek wysadzany szmaragdami. Miękki śnieżnobiały peplos otulał jej postać pełną i dojrzałą, spływając w harmonijnych falach do stóp w antycznych ciżmach. Juno stolata!
Pochyliłem czoło przed jej majestatem. A ona, cofnąwszy się w głąb, przepuściła mię gestem ręki do wnętrza komnaty. Była to wspaniała, z wyrafinowaną stylizacją wytwornie urządzona sypialnia.
Milcząc, usiadła w głębokiej niszy na łożu rzeźbionym w giallo antico .
Ukląkłem na kobiercu u jej nóg i położyłem głowę na jej kolanach. Objęła ją ruchem ciepłym, macierzyńskim i zanurzywszy mi palce we włosy, zaczęła przegarniać je pieszczotliwie. Patrzyliśmy sobie w oczy bez przerwy, nie mogąc nasycić się wzajemnym widokiem. Milczeliśmy. Dotąd nie padło między nami ani jedno słowo. Jak gdybyśmy się bali nieopatrznym dźwiękiem spłoszyć anioła czaru, co spętał i związał nam dusze...
Wtem pochyliła się nade mną i pocałowała w usta. Krew uderzyła mi do głowy tysiącem młotów, świat zakotłował pijanym wirem - straciłem panowanie nad sobą. Porwałem ją gwałtownie na ręce i nie czując oporu, rzuciłem w łoże w miłosnym zapamiętaniu. Ruchem szybkim, nieuchwytnym odpięła z ramienia bursztynową fibulę , odsłaniając przede mną bezcenną pychę swego ciała. I tak posiadłem ją w bólu i tęsknocie bez miary, w upojeniu zmysłów i zachwycie serca, w szale duszy i we krwi pożarze...
Mijały godziny lotem błyskawic, brzemienne szczęściem i krótkie jak jego przebłyski - pełniły się chwile ścigłe, niczym wiatry stepu, drogocenne chwile, niczym rzadkie perły. Znużeni rozkoszą, zapadaliśmy w jakieś sny cudowne, niby rajskie gaje, baśnie czarodziejskie - by cucić się z nich do jeszcze piękniejszej, urodniejszej jawy...
Gdy koło szóstej nad ranem otworzyłem wreszcie ociężałe powieki i spojrzałem wkoło siebie przytomnie, Jadwigi już przy mnie nie było.

Ubrałem się szybko i przeczekawszy na próżno całą godzinę, powróciłem do siebie. Czuję zawrót w głowie, żar w żyłach. Muszę mieć gorączkę, bo wargi mam spękane i dziwną gorycz w ustach. Idąc, potykam się o sprzęty i zataczam jak nieprzytomny. Widzę świat jak przez mgłę - rozkoszny woal upojenia...

- -

Nazajutrz po powrocie z redakcji znalazłem na biurku list od Jadwigi, w którym naznaczała mi najbliższą schadzkę u siebie za tydzień, t j. znów w sobotę wieczorem. Termin wydał mi się za daleki: wybrałem się do willi „Pod Lipami'' już we wtorek po południu. Lecz furtka była zamknięta. Rozgniewany, obszedłem pałacyk parę razy w nadziei, że może zobaczę ją gdzieś w parku na jednej z alej. Lecz ścieżki były puste - tylko wiatr jesienny podrywał garście zwiędłych liści i pędził bezlitośnie w długich, smutnych szeregach. Chociaż ściemniło się już zupełnie, w oknach nie ujrzałem świateł - dom głuchy był i ślepy, jakby w nim nikt nie mieszkał. Widocznie spędzała wieczory w jednym z pokoi wychodzących na północ, tj. od strony najmniej dostępnej dla oka przechodniów. Zniechęcony odszedłem...

Ponawiane przez dnie następne próby wydały ten sam wynik. Musiałem z rezygnacją poddać się jej życzeniu i zaczekać do soboty. Dziwiło mię tylko niezmiernie, że przez cały tydzień ani razu nie spotkałem jej gdzieś w mieście, w teatrze lub tramwaju. Znać dawny tryb jej życia uległ zasadniczej zmianie. Jadwiga Kalergis, niegdyś przedmiot codziennego podziwu wielkomiejskich dandysów i donjuanów, królowa balów, koncertów i towarzyskich rozrywek, żyła teraz jak mniszka.

W gruncie rzeczy byłem z tego zadowolony i dumny. Nie posiadam próżnej ambicji tych, którzy lubią drażnić drugich widokiem własnego szczęścia; nie pragnę pysznić się nią przed ludźmi. Przeciwnie - ta tajemniczość, ta ukradkowość naszego stosunku ma urok niewysłowiony. Odi profanum vulgus ...

- -

Nareszcie nadszedł dzień upragniony. Przez cały ranek chodziłem jak błędny. Koledzy z redakcji śmiali się ze mnie, utrzymując, że na pewno jestem zakochany.

- Istny wariat z tego Szamoty - wyraził się półgłosem referent teatralny - od jakiegoś czasu sfiksował do reszty. Gadać z nim nie można.

- Podwika! Cherchez la femme! - objaśniał stary jak świat reporter. - Nic innego. Jak Boga mego kocham.

Punktualnie o szóstej wieczorem wszedłem przez uchylone drzwi do jej sypialni. Jadwigi jeszcze nie było. Na stole strojnym w wspaniały serwis dymiła filiżanka czekolady, obok na talerzu piętrzyła się piramida z ciastek, iskrzył się zielony likier.

Usiadłem twarzą do sąsiedniego pokoju i sięgnąłem po cygaro z chryzolitowego pudełka. Wtem wzrok mój padł na ćwiartkę papieru między trzonami trabucco . Poznałem jej pismo; było przeznaczone dla mnie.

„Drogi! Wybacz opóźnienie. Wrócę z miasta za pół godziny. Do miłego widzenia!''

Ucałowałem liścik i ukrywszy go na piersi, wychyliłem wonny odwar. Po pierwszym kieliszku likieru uczułem niby senność. Zapaliłem świeże cygaro, wlepiając machinalnie oczy w błyszczącą naprzeciw na ścianie grecką paważ z wizerunkiem Meduzy pośrodku. Lśniąca pierś tarczy miała w sobie coś dziwnie przyciągającego, przykuwała wzrok, więziła wolę. Wkrótce cały skupiłem się w jednym świetlanym punkcie, w miotającym pioruny blasków oku wężowłosej Gorgony . Nie mogłem oderwać się od hipnotyzującego środka. Powoli za-

padałem w jakiś szczególny stan. Otoczenie jakby usunęło się na plan dalszy, w nieskończenie odległą perspektywę, a na jego miejsce wstąpił pyszny bogactwem barw, egzotyczny świat baśni, podzwrotnikowa fatamorgana...
Nagle uczułem na szyi parę ciepłych, miękkich ramion, a na ustach słodki, przeciągły pocałunek. Otrząsnąłem się z zapamiętania i spojrzałem przytomnie. Przy mnie stała Jadwiga i uśmiechała się kusząco. Objąłem ją wpół i przycisnąłem do piersi.
- Wybacz - tłumaczyłem się - nie zauważyłem, kiedy weszłaś. Ta tarcza tak dziwnie pęta uwagę.
Odpowiedziała milczącym uśmiechem pobłażania.
Była dziś jeszcze piękniejsza. Posągowa jej uroda, ujęta w ramę greckich szat, tchnęła niepojętym czarem. Spod cudnych brwi patrzyły czarne dumne jej oczy, z tlejącym w głębi żarem pragnienia. O, co za rozkosz rozkołysać te marmurowe piersi falą namiętności, wydrążyć z chłodnego spokoju tę twarz hardej Junony!
Przechyliwszy ją sobie przez ramię, wpiłem w nią głodne spojrzenie, sycąc długą, długą chwilę spragnione oczy bezmiarem jej piękna.
- O jakżeś piękna, przyjaciółko moja, o jakżeś piękna! Gdzie warkocze twoje, jak fiołki wonne warkocze twoje? - pytałem namiętnie, usiłując odgarnąć z jej czoła miękką, przeczyście białą zasłonę, okrywającą dziś szczelnie jej głowę.
- Chcę je popieścić, jak za pierwszym razem - pamiętasz? Rozrzucić ambrozyjskim płaszczem na twych ramionach i całować, całować bez końca. Wszakżeś mi nie broniła pierwszego wieczora? Usuń tę chustę.
Wstrzymała mą rękę łagodnie, lecz stanowczo. Na ustach jej wykwit! tajemniczy uśmiech, i przecząco poruszyła głową.
- Nie można dziś? Dlaczego?
Znów milczenie i ten sam wzbraniający ruch głowy.
- Dlaczego milczysz? Czy wiesz, że dotąd nie zamieniłaś ze mną ani słowa? Przemów do mnie choć słów parę! Chcę głos twój usłyszeć - musi być słodki i metaliczny jak dźwięk szlachetnego kruszcu.
Jadwiga milczała. Jakiś bezgraniczny smutek rozlał się nagle po całej jej twarzy i zmroził chwilę upojenia. Czyżby oniemiała?
Więc przestałem nalegać i w milczeniu już piłem rozkosz boskiego jej dała. Była dziś namiętniejsza niż podczas ostatniej schadzki. Co pewien czas chwytał ją spazm lubieży, oczy zachodziły mgłą omdlenia i bladła śmiertelnie; delikatną, jedwabistą skórę przebiegały krótkie dreszcze, zęby o połysku pereł ścinały się bolesnym kurczem. Wtedy przerażony wypuszczałem ją z objęć i chciałem cucić. Lecz była to tylko chwila: paroksyzm mijał szybko, i nowa fala żądzy młodej, żywiołowej, nie skrępowanej] niczym grążyła nas w odmęcie szału...
Rozstaliśmy się późno w noc koło gadziny pierwszej. Na pożegnanie przypięła mi do piersi bukiecik fiołków. Podniosłem do ust jej rękę:
- Więc znowu aż za tydzień?
Skinęła w milczeniu głową.
- Niech i tak będzie. Żegnaj mi, carissima!
Wyszedłem.
W przedpokoju podczas wkładania palta nagle przypomniałem sobie papierośnicę, pozostawioną na konsoli. Nie zdejmując tedy okrycia, wróciłem do pokoju po zapomniany przedmiot.

- Przepraszam cię - zacząłem, zwracając się w tę stronę, gdzie pozostawiłem przed chwilą Jadwigę. Lecz rozpoczęty frazes zamarł mi na ustach. Jadwigi w sypialni już nie było. Czyżby już odeszła do przyległego pokoju? Nie słyszałem przecież odgłosu otwieranych wewnątrz drzwi...
- Hm... szczególne - mruknąłem, chowając papierośnicę - szczególne...
I powoli, w zamyśleniu zeszedłem po schodach na ulicę.
- -
Stosunek mój z Jadwigą Kalergis trwa już od paru miesięcy, wciąż okryty zupełną tajemnicą przed światem. Nikt nie przypuszcza, że jestem kochankiem najpiękniejszej kobiety stolicy. Dotąd nikt nas nie spotkał razem w miejscu publicznym. Przypuszczam nawet, że ludzie nic nie wiedzą o jej powrocie do kraju. Takie przynajmniej odbieram wrażenie z przygodnych rozmów w kołach znajomych. Jest to trochę dziwne i wygląda tak, jakby Jadwiga wróciła ukradkiem, nie życząc sobie wcale, by o tym wiedziano. Widocznie ma w tym jakiś cel ukryty, którego mi jednak nie chce wyjawić. Ja też nie nalegam i umiem zachować dyskrecję.
W ogóle kochanka moja jest kobietą dziwną i lubi otaczać się tajemniczością. Muszę się dopiero przyzwyczaić do jej kaprysów i naginać do ekscentrycznych zwyczajów; niemal co krok natrafiam w jej zachowaniu na coś niewytłumaczonego. Chociaż żyjemy z sobą prawie od pół roku, dotąd nie słyszałem jej głosu. W pierwszych tygodniach pytałem nawet dość natarczywie o powód. W odpowiedzi przychodziły nazajutrz po schadzce listy z prośbą, aby o to nie pytać, aby jej niepotrzebnie nie nękać itp. Ostatecznie dałem za wygraną i przestałem nalegać. Może uległa jakiemu wypadkowi i rzeczywiście straciła zdolność mówienia? Teraz ją to żenuje i zamiast przyznać się do kalectwa może woli pozostawić mnie w wątpliwości co do przyczyny?
Widujemy się wciąż tylko raz na tydzień, i to zawsze w sobotę - w inne dnie mnie nie przyjmuje. I tu muszę nadmienić jeden charakterystyczny szczegół w związku z uwerturą do każdej takiej wizyty.
Nie zawsze zastaję ją po wejściu do pokoju. Czasem muszę czekać przez dłuższy czas, zanim wyjdzie na powitanie. A czyni to za każdym razem tak niepostrzeżenie, tak cicho, że nigdy nie wiem, kiedy i skąd nadeszła. Zwyczajnie staje nagle poza mną i znienacka całuje mnie w szyję. Jest to rozkoszne, słodkie - ale i straszne zarazem. Mam przy tym wrażenie, że nigdy nie jestem wtedy w stanie zupełnie normalnym. Co to takiego, nie umiem określić - może rodzaj lekkiej zadumy czy zachwycenia?
W każdym razie, ilekroć Jadwiga każe czekać na siebie dłużej, odczuwam nieprzepartą chęć wpatrywania się w grecką tarczę vis-a-vis wejścia. Nie wiem, skąd przychodzi mi czasem myśl, że umieszczono ją tam naumyślnie, by zwracała na siebie uwagę wchodzącego i chwytała mu oczy w swe błyszczące kręgi. Kto wie, czy nie ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w który czasem popadam?...
Potem, po owej uwerturze, wszystko toczy się normalnym biegiem - jesteśmy spragnieni siebie, pieścimy się wzajemnie, płatamy nawet sobie dziecięce figle i żarty - lecz początek jest zwykle taki, jak go opisałem - trochę dziwny...
Jeszcze jeden szczegół, z którego niezupełnie jestem zadowolony; właściwie drobnostka, a jednak niepożądana. Jadwiga lubi aż do przesady zakrywać głowę rodzajem greckiego woalu z oślepiająco białej, gęstej tkaniny. Nie cierpię tej zasłony! Gdyby przynajmniej owijała nią tylko włosy i tył głowy - lecz ona kryje nieraz poza nią swe alabastrowe czoło, chowa zazdrośnie przede mną część twarzy, zataja usta, oczy...

Gdy chcę usunąć ten mleczny kwef, widocznie gniewa się i ucieka w głąb pokoju. Co za upór! Lecz podobno piękne kobiety są jak chimery. Trzeba je umieć uszanować. Tymczasem ja nie zawsze mogę się na to zdobyć. Zirytowany ostatnim razem tą trochę wschodnie zwyczaje przypominającą maskaradą, zatrzymałem umykającą mi silnie za ramię. Ruch mój był szorstki i niezgrabny: rozdarłem jej kosztowny, śnieżnobiały peplos, którego duży kawał pozostał mi w ręku. Schowałem go na pamiątkę i noszę ciągle przy sobie...

- -

Onegdaj w sobotę zrobiłem dziwaczne spostrzeżenie. Jak zwykle pod wieczór, wszedłszy do willi, nie zastałem jeszcze Jadwigi w pokoju. Unikając spojrzenia Meduzy na tarczy, poszedłem w kierunku niszy, oddzielonej od reszty sypialni długą białą kotarą, zwisającą do .posadzki z mosiężnych wałków. Wtem spostrzegłem, że brzeg jej nosi ślady rozdarcia; mniej więcej w połowie wysokości zasłony szczerzyła się półkolista wyrwa. Machinalnie wziąłem do ręki materię i zacząłem przesuwać ją w palcach. Miękkość i jedwabistość tkaniny nasunęły mi pewne skojarzenia. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem schowany na pamiątkę fragment peplosu. Nagle porównałem kształt jego z rysunkiem wyrwy na kotarze. Jakaś myśl dziwna przyszła mi do głowy. Wydały mi się identyczne. Przyłożyłem kawałek trzymany w ręce do rozdartego brzegu kotary. Szczególne! Odcinek greckiej szaty wypełnił lukę jak najdokładniej!! Jak gdyby to był kawałek oddarty nie z jej sukni, lecz z kotary, lub jak gdyby peplos i zasłona były jednym i tym samym...
W pół godziny potem, witając się z Jadwigą, bacznie przypatrywałem się jej sukni. Lecz ślady rozdarcia zniknęły; szata spadała ku stopom W przeczystych fałdach, nie skażonych najlżejszą skazą.
Ona znać zauważyła, że ją obserwuję, bo uśmiechnęła się na pół figlarnie, na pół zagadkowo. Wtedy, unosząc w górę oddarty kawałek peplosu, poprowadziłem ją do niszy, by tu pokazać jej to, co zaobserwowałem. Lecz rzecz dziwna! Kotary już nie było! Śmieszna myśl nasunęła się niespodzianie:
Czyżby „pożyczyła” jej sobie do peplosu?... Tymczasem w miejsce zasłony otwierała przed nami gościnne ramiona zaciszna wnęka z miękkim, zapraszającym łożem w pośrodku. Spojrzałem na Jadwigę. Odpowiedziała uśmiechem czarującej zachęty...

- -

Zrobiłem niedawno ciekawe „odkrycie”. Ona ma na ciele znaki przyrodzone zupełnie podobne do tych, które i ja posiadam. Znamiona nasze są właściwie całkiem identyczne. Zabawny zbieg przypadku! Tym zabawniejszy, że znaki występują nawet na tych samych miejscach. Jeden ciemnoczerwony, w kształcie winnego grona wielkości orzecha, na prawej łopatce, i drugi, w postaci tzw. „myszki”, wysoko w lewej pachwinie. Przypadkowe podobieństwo tych szczegółów fizycznych zastanawia tym bardziej, że kształty znaków nie mają wcale cech typowych i często spotykanych - przeciwnie, posiadają charakter wyjątkowy i silnie zindywidualizowany. Śmieszna historia - nieprawdaż?...
Lecz zauważyłem i coś innego jeszcze. Skóra jej, zwłaszcza na piersiach i plecach, ma zabarwienie smagławe, jakby od opalenia - zupełnie tak samo jak u mnie. Nabyłem tę właściwość naskórka wskutek wieloletnich kąpieli na słońcu. Czy i u niej należy sobie to tłumaczyć w podobny sposób, bardzo wątpię. O ile wiem, unika słońca i skwapliwie zapuszcza przed nim roletę. Ja przeciwnie, lubię je niezmiernie i u mnie w pokoju pozwalam mu wpadać przez okno pełnymi strugami...

Dziwactwa Jadwigi stanowczo przebierają miarę. Od paru tygodni przyjmuje mnie tylko w półoświetlonym, czasami niemal mrocznym pokoju i każe mi czekać na siebie całymi godzinami. Gdy wreszcie wysunie się skądś z ciemnego kąta sypialni, jest cała spowita w te obmierzłe kwefy, że chwilami czyni wrażenie widziadła. Ubiegłego tygodnia patrzyła na mnie spoza tych obsłon jak przez wąską szparę.
Za to namiętność jej w tych czasach widocznie wzrosła. Ta kobieta szaleje! Cała zamknęła się w błędnym kole płci i tarza się w rozpasaniu, czołga w konwulsjach chuci. Są chwile, że nie mogę nadążyć jej w tym iście szatańskim rozmachu i zostaję poza nią odurzony, wyczerpany, bez tchu. Do czarta! Nie znałem jeszcze Jadwigi Kalergis!
Z drugiej strony jednak od pewnego czasu obserwuję w jej postaci jakieś oryginalne zjawisko, które w przybliżeniu określiłbym jako, nieuchwytność". Czy to dzięki tym białym zasłonom, w które się teraz tak starannie otula, czy to wskutek skąpego oświetlenia - postać jej wymyka mi się chwilami spod kontroli wzroku. Powstają stąd niekiedy ciekawe złudzenia i optyczne niespodzianki. Czasem widzę ją podwójnie, kiedy indziej znów jakby w jakimś śmiesznym skrócie, to znów niby w dalekiej perspektywie. Zupełnie jak w „tańcu siedmiu zasłon" lub na obrazach kubistów. Nieraz wygląda na posąg nie wyrzeźbiony do końca, w jakimś zagadkowym stadium powstawania, niby projekt na pół wykończony.
Lecz owa ,,nieuchwytność" przechodzi też i w sferę dotyku. Zwłaszcza o ile chodzi o górną połowę ciała. Parę już razy stwierdziłem z niemiłym zdumieniem, że ramiona jej i piersi, niedawno jeszcze tak jędrne i gibkie, teraz jakby zwiotczały. Suknia pod naciskiem ręki ustępowała gdzieś w głąb i nie czułem sprężystego niegdyś oporu jej ciała.
Raz, podrażniony tym do najwyższego stopnia, nagle pod wpływem nieprzepartej chęci postanowiłem ukłuć ją. Powoli wyciągnąłem z krawatki opałową szpilkę i zanurzyłem w jej obnażoną nogę. Trysła krew i odezwał się krzyk - lecz z mojej piersi: w tej chwili uczułem w nodze gwałtowny ból. Jadwiga patrzyła z dziwnym uśmiechem na krew sączącą się z jej rany w dużych, rubinowych kroplach. Z ust jej nie wypłynęło ani jedno słowo skargi...
Wróciwszy tej nocy późno do siebie, musiałem zmienić bieliznę, gdyż była zbroczona krwią. Na nodze do dziś dnia jeszcze mam ślady ukłucia szpilką...
- -
Nie pójdę tam więcej! Po tym, co zaszło we willi „Pod Lipami" w ostatnią sobotę sierpnia, miesiąc temu, życie straciło dla mnie swój urok. Posiwiałem przez jedną noc. Znajomi nie poznają mnie na ulicy. Podobno leżałem przez tydzień bez pamięci i bredziłem w malignie. Dziś dopiero wyszedłem po raz pierwszy z domu. Chwieję się jak starzec i wspieram na lasce. Okropny koniec!...
A oto, co przeżyłem w willi w pamiętny dzień 28 sierpnia, w rok niespełna od chwili zawiązania fatalnego stosunku.
Tego wieczora spóźniłem się. Jakaś recenzja czy artykuł literacki, który należało co prędzej puścić w świat, zabrał mi dwie godziny czasu: przyszedłem dopiero o ósmej.
W sypialni było zupełnie ciemno. Potknąwszy się parę razy o meble, trochę tym zirytowany, odezwałem się głośno:
- Dobry wieczór, Jadwigo! Dlaczego nie zapaliłaś światła? W tej ciemnicy można głowę rozbić!
Nie otrzymałem odpowiedzi. Najlżejszy ruch nie zdradzał jej obecności w pokoju. Zacząłem nerwowo szukać zapałek. Widocznie mój zamiar nie podobał się jej i postanowiła mu prze-

szkodzić, gdyż nagle uczułem na policzku chłodne muśnięcie jakby ręki i usłyszałem cichy, ledwo dosłyszalny szept:
- Nie pal światła. Chodź do mnie, Jerzy! Jestem w niszy.
Zadrżałem, przejęty dziwnym uczuciem. Po raz pierwszy od czasu naszej znajomości posłyszałem jej głos - właściwie jej szept. Po omacku zbliżyłem się do łóżka. Szept zamarł i nie powtórzył się już więcej. Nie widziałem jej twarzy, gdyż ciemność była absolutna; bielało tylko coś niewyraźnego. Zapewne była już w bieliźnie. Wyciągnąłem przed siebie rękę, chcąc ją objąć, i natrafiłem na obnażone biodra. Dreszcz przebiegł me ciało i krew zagrała gorącym warem. Po chwili piłem już słodycz jej łona. Była szalona. Zawrotna woń jej ciała odurzała zmysły, rozżarzała tęsknotę w płomień posiadania. Namiętny rytm jej boskich bioder podżegał pożar krwi i niecił szały... Lecz nadaremnie szukałem jej ust, na próżno chciałem ją zamknąć w ramiona. Drgającymi rękoma zacząłem wodzić wokoło po poduszce, ślizgać je wzdłuż jej ciała. Natrafiłem tylko na jakieś chusty, zasłony... Cała jakby zamknęła się w ognisku swej płci, usuwając przede mną wszystko inne poza nim... Wreszcie zniecierpliwiłem się. Uczucie jakby obrażonej dumy, poniżonej godności ludzkiej zawrzało we mnie namiętnym sprzeciwem. Zapragnąłem ust jej koniecznie, nieodwołalnie. Dlaczego mi ich broniła? Czyż nie miałem i do nich prawa?
Nagle przyszło mi na myśl, że obok na ścianie jest kontakt elektryczny. Ukląkłszy na łóżku, namacałem gałkę i przekręciłem. Bluznęło światło, rozświeciło pokój.
Spojrzałem i pchnięty trwogą bez granic, wyskoczyłem z łóżka...
Przede mną w zgiełku koronek i atłasów leżał rozrzucony bezwstydnie, obnażony po linię brzucha kadłub kobiecy - kadłub bez piersi, bez ramion, bez głowy...
Z okrzykiem grozy wypadłem z sypialni, skokiem szaleńca przebyłem schody i znalazłem się na ulicy. Wśród ciszy nocy pędziłem przez most...
Nad ranem znaleziono mię gdzieś w ogrodzie na ławce bez pamięci...
- -
W dwa miesiące potem, przechodząc przypadkiem koło willi „Pod Lipami", spostrzegłem w parku krzątających się robotników. Otulano róże na zimę w słomiane chochoły. Jakiś mężczyzna wytwornie odziany nadchodził z głębi alei i coś mówił.
Tknięty nieprzemożną chęcią, zbliżyłem się doń, uchylając kapelusza:
- Przepraszam. Czy to jest dom pani Jadwigi Kalergis?
- Niegdyś był jej własnością - brzmiała odpowiedź. - Od tygodnia rodzina objęła go w spadku. Uczułem dziwne ściskanie w gardle.
- W spadku? - zapytałem, siląc się na ton obojętny.
- No tak, Jadwiga Kalergis **nie żyje już od dwu lat**. Zginęła wkrótce po wyjeździe za granicę podczas jednej z wycieczek w Alpy. Pan pobladł? Co to panu?...
- Nic... ależ nic... Przepraszam pana. Dziękuję za informację.
I zataczając się na nogach, odszedłem wybrzeżem ku miastu...

W domu Sary

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się do niepoznania. W dyskusji nie brał prawie udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia, zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzucone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy - wtedy uśmiechnął się blado, jakby dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.
W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem raziła dziwna małomówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladość, oczy przesłoniła mgła zadumy, której bezwład i beztreściwość tworzyły bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.
Tknięty złym przeczuciem, zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego. Zastanawiała tylko przyczyna.
- Ej, Kaziu! - zażartowałem, grożąc mu palcem - za dużo się bawisz! Kobietki, co? Za wiele, mój kochany,
za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalej iść nie może. Wyczerpiesz się wkrótce. A potem, co? Potrąciłem o właściwą strunę.
- Kobiety - zauważył w zamyśleniu - kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?
- O ile cię znam, mój kochany - odparłem uśmiechnięty - żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.
- Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie przypuszczasz poza miłością i chwilową żądzą innej ewentualności?
- O czym myślisz?
- O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?
- Nie bardzo.
- Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobienie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawidzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany jej płcią najzupełniej; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, ob-

cowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszcze złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...
- To tylko wzmożony popęd płciowy samca, który znalazł swój typ.
- Mylisz się; to rodzaj trwałej sugestii hipnotycznej na jawie. Ja po prostu nie mogę myśleć o czym innym, tylko o niej i - co najohydniejsze - o jej płci i szczegółach z nią związanych. Czuję, że to mi jest narzucone wbrew mej woli i nawet popędowi; posiadałem kobiety piękniejsze i bardziej pociągające od niej, a przecież odchodziłem z lekkim sercem, zrywając bez wahania. Tutaj nie mam siły.
- Widocznie tamte nie odpowiadały wszystkim warunkom, jakie spełnić powinien twój ideał kobiecy.
- I to mylne. Zdaje mi się, nie - raczej wiem na pewno - że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi. Czy uwierzysz, ssę zaszedł tu z jej strony rodzaj uwiedzenia?
- Cha, cha! Tego już za wiele! Kazio Stosławski czystym Józefem! To mi rafinada seksualna, co się zowie!
- Nie, Władku! Nie chcesz mnie zrozumieć. Nie chciałem się do niej zbliżać zanadto pod wpływem nieokreślonej jakiejś obawy. Miałem dziwne przeczucie.
- Lecz w końcu uległeś?
- Niestety. Nie mogłem odmówić. Zresztą kobieta piękna i wtedy wydała mi się w całym tego słowa znaczeniu une femme charmante .
- Przystąpiłeś zatem do niej z zapałem nie większym niż do innych?
- Oczywiście. Spełniałem tylko namiętne jej życzenie, z pewną dozą sprzeciwu i obawy.
- No i... po pierwszym akcie oczarowała cię? Doznałeś zapewne nie znanych ci dotąd sensacji?
- I to nie. Wszystkie znam na pamięć. Nie jestem .nowicjuszem i wyrafinowanie jest dla mnie rzeczą powszednią. Zachowywała się nawet spokojniej niż inne.
- Czymże więc opętała cię ta kobieta?
- Nie wiem, nie domyślam się nawet. Lecz zaraz po fatalnym zbliżeniu zrozumiałem, że opanowała mnie bezwzględnie, że stałem się igraszką w rękach demonicznej samicy. Wiedziała, że po pierwszym stosunku zostanę już jej ofiarą, której jej nikt nie wydrze. Wytworzył się między nami szczególny związek, nieuchwytne a mocne pęta, oplatające mię coraz ciaśniej, coraz zwarciej.
- Nadużywa cię fizycznie? Jesteś bardzo wyczerpany...
- I na to się uskarżać zbytnio nie mogę. Osłabia mię, czuję to doskonale, wysysa powoli, systematycznie, nieubłaganie - lecz nie przez częste stosunki...
- Nie rozumiem...
- I ja tez nie mogę pojąć, w jaki sposób. Lecz że ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w jakim mnie widzisz, nie ulega wątpliwości. Ta kobieta kradnie mi z zapamiętałością upiora wszystkie siły życiowe - czy pojmujesz, Władku? - Wchłania w siebie ze zjadliwym uporem moje życie, moje młode życie...
- Przestań bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?
- Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.
- Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?

- Bynajmniej - sam nie mam do tego ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wyłącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy! idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie potem...
Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.
- •le z tobą, Kaziu - przerwałem po chwili zaległe milczenie - trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?
Potrząsnął przecząco głową:
- Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem w sobie symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie innego, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.
- Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?
- Nazywa się Sara Braga...
- Sara Braga... dziwne nazwisko! Czy to Żydówka? Imię przypomina Stary Testament.
- Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew dawnych kortezów Kastylii, zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.
- Czy wiek jej ci znany?
- Utrzymuje, że ma lat 30, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem podchwyconych aluzji i półsłówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starszą, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła, jak jego mieszkanka.
Przesunął znużonym gestem ręką po czole:
- Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Żegnaj.
- Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mię twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwilkę: uśpię cię na 5 minut i usunę sugestią cierpienie. Czy zgadzasz się?
- No dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo.
Przystąpiłem bezzwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprawiłem go w stan głębokiego uśpienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za mie-

siąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka passes contraires i Stosławski obudził się.
- No, jakże się czujesz? - zapytałem.
- Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!
- Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zaglądniesz?
- Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać.
Uścisnął mi mocno rękę i odszedł.
Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu ze spalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniącą sierść mego wiernego Astora, zapadłem w zamyślenie.
- Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... tak!... Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, prof. neurologii, Fr. Żmudy, temu lat kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę i środki terapeutyczne chorób.
- Trzeba to odszukać i przeglądnąć. Może się dowiem bliższych szczegółów.
Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych r. 1875 odczytałem: „Sara Braga, zamieszkała w willi „Tofana” na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 - organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku - skłonności psychopatyczne na tle seksualnym - objawy psychicznego sadyzmu”.
Następowały skróty dotyczące terapii i wskazanych zabiegów.
- A zatem dziś miałaby lat mniej więcej 80! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres mieszkania zgadza się przedziwnie. Willa „Tofana” na Polance, tj. w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska - to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągać jakiekolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi.
Jakoż obowiązki zawodowe zmusiły mię nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wytężona praca tak mię pochłonęły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego. Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin pohipnotycznego spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście koło godz. czwartej po południu wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.
Kazałem mu usiąść, uśpiłem ponownie i pochwaliwszy ssą sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.
Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.
Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy: widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.
Zagaiłem naprędce rozmowę umyślnie o. rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtrętami bez sensu, bez zewnętrznych spoiw.

Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, bryłowatość chwil i rzeczy przestała istnieć: wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zdarzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędnego. Zaginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.
Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemnych uproszczeń. Podniesiona w górę alabastrowej białości, prawie przejrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania, niby symbol treści niezmiennej od prawieków bytu...
Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Rentgena: światło przeszło szybko, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne były objawy atrofii, poznikały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niknął w oczach!
Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana”. Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym nie wstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył całą swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwiać. Czułem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.
Postanowiłem więc odwieźć go dorożką na miejsce. Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu.
Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody, wiodące do willi. U drzwi wchodowych oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mię nagle nieprzemożna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie - zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność - lecz zachowanie się lokaja, który wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić.
Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra, gdy wtem aksamitna kotara, oddzielająca werandę od wnętrza domu, rozsunęła się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.
Nazwać ją piękną, znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej demoniczno, szatańsko ponętną. Te rysy nieregularne, mięsiste szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna - a jednak twarz o oślepiająco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych, ziejących żarem oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami.

Nad przeczystym, cudnie sklepionym czołem rozchylały się łagodnymi falami metalicznie lśniące, krucze włosy, spięte u szczytu królewskiej głowy srebrnym naczółkiem.
Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, uwydatniając wyborną linię torsu i gibkich, dziewiczo zwartych bioder.
Wżarłem się wzrokiem w jej czarujące, piekielne oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała, parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem, ująwszy rękę Stosławskiego:
- Odprowadzam zbiega, polecając go troskliwej opiece łaskawej pani.
I wymieniłem swoje nazwisko.
Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę, poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który jak zahipnotyzowany nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzeć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się pół pogardliwie, pół łaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie słudze, obojętnemu świadkowi tej sceny:
- Odprowadzisz pana do sypialni; jest znużony, musi odpocząć.
Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal wlokąc za sobą, znikł w bocznych drzwiach.
Wszedłem za Sarą do salonu.
Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych posowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru terra cotta. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pająk zwisający ze środka stropu.
W przedniej części, niemal pustej, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach, Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych srebrnych urnach.
Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasiane suknem o soczystej barwie cynobru. Stoi na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężką, przetykana wisiorami berylu kapa. Parę taburetów, wschodnia otomana i smukłe, palisandrowe pianino wypełniały resztę przestrzeni.
Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.
Stąpałem cicho, wnurzając się w puszyste futra kobierców rozesłanych na posadzce. Pani wprowadziła mię na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę.
Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po puzdro z papierosami. Spostrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonącą zapałkę.
- Dziękuję. Zaciągnęła się dymem.
- Pan nie pali?
- Owszem... Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłąb, zauważyłem z uznaniem:
- Bajeczne!
- Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?

- To zależy od ich pokroju. Z panią np. trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść we fałszywy ton. Muszę się oswoić.
Sara popatrzyła mi w oczy, usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegłem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:
- Cóż to panu? Wyglądasz na odkrywcę w chwili genialnego wynalazku.
- Istotnie, odkryłem rzecz szczególną. Podniosła się drwiąco:
- Proszę, cóż takiego?... Czy wolno wiedzieć?
- Pani jest dziwnie podobna do Kazia.
Twarz Sary zadrgała:
- Przywidzenie.
- Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjognomistą. Zresztą można to wytłumaczyć: żyjecie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współżycie tak bliskie upodabnia.
- Hm... czy to pańska teoria?
- Nie, łaskawa pani - teorię tę, zresztą nie nową, dokładniej roztrząsał przed paru laty dr Fr. Żmuda.
Przypisując rzekomą teorię Żmudzie, kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.
- Fr. Żmuda? - zapytała ciekawie. - Pan może jego uczniem?
- Bynajmniej - wyparłem się energicznie. - Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.
- Ach, tak...
- Czy to pani znajomy?
- Tak. Przed rokiem, cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy, byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.
Więc to ta sama - pomyślałem - tylko że kurację odbyła znacznie dawniej, bo jeszcze przed 35 laty, tj. w r. 1875. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat 80! Paradoksalne! Niebywałe! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości.
Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.
- Czemuż pan tak nagle spoważniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?
- Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóż bym się miał obawiać? Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknością. Podobne kobiety spotyka się rzadko.
Uśmiechnęła się zadowolona.
- Szkaradny pochlebca!
Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Chociaż umiem nad sobą panować, mimowolnie zadrżałem pod tym dotknięciem, odchylając przy tym nieco głowę do góry. Wtedy wzrok mój padł na szereg portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.
Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary - pod nim umieszczono podobizny pięciu nie znanych mi mężczyzn. Od razu rzucały się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach wyglądała Sara w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny, i to - zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu

dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.
Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:
- Skończże pan już raz tę rewię! Nic tam ciekawego - bohomazy.
- Przeciwnie - doskonale. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz iście sfinksową: niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne - same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni - każda twarz inna.
- Znajomi - odpowiedziała oschle. - Proszę wrócić; tu - bliżej do mnie - dodała cieplej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.
Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów stycznych.
Widząc me zamyślenie, starała się usilnie rozprószyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją poruszając wypadki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. Zdradzała niebywałą znajomość wszelkich subtelności płciowych, w których perwersja szła o lepsze z lubieżą. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz i bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.
Zrozumiawszy wyraźny zamiar, miałem się na baczności. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie, odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej piekielnych oczu.
Kolo dziesiątej wieczorem pożegnałem się, przyrzekając rychłą wizytę.
Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.
Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem jawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkanie wybiegła Sara wśród oznak żywej radości. Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmurzyła się i wzruszając lekceważąco ramionami, odparła:
- Nieciekawy.
Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystała niechętnie dopiero na usilne nalegania:
- Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni, bo stamtąd już się nie rusza.
I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.
Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony bezmyślnie w szybę, prawą ręką przebierając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.
Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się, nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez przerwy jak w automacie: same bezwstydne, cynicznie pieszczotliwe słowa...
Było w tym coś tak ohydnego i potwornego zarazem, że zadrżawszy, cofnąłem się do pierwszej sali.
Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony.

Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary, wróciłem zaraz do siebie.
Przyszło silne postanowienie. W możność ocalenia Stosławskiego zwątpiłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta - spokojna, rozważna, planowa - bo w walce z nie byle jakim przeciwnikiem. Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:
- Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi.
Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg, i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.
Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dnie i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy zakreślonej towarzyską formą, potęgując tym jeszcze jej wyuzdaną lubieżność. Moja powściągliwość irytowała, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...
Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już koło dziewiątej, by spędzić chwil parę przy wspólnej kolacji.
Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnęcał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.
Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie zawrotny taniec derwiszów. Patrzyłem na ruchy jej rąk gwałtowne, fanatyczne, jak dobywały tony gorące szałem, dyszące krwią, pijane. Była piękną w tej chwili. Bladą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miotały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała przyspieszonym oddechem zwoje białego peniuaru niby falę pian.
Nagle wśród największego zapamiętania, gdy wsłuchany w grę, upajałem się skwarem egzotycznej muzyki, przyszła jak grom myśl o Stosławskim.
Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w kąt przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgalwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpaczy skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!
Jak podrzucony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze, krzyknąłem:
- Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast! Sara zaskoczona znienacka wyprostowała się dumnie, mierząc mnie spokojnie oczyma:
- Nie zobaczy go pan.
- Muszę! Rozumie pani - muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...
Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.
- Co to? - zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.

Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawa łunę pożaru.
Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków. Do jadalni wpadła wybladła służba:
- Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu! Sara pytająco zwróciła się ku mnie.
- Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą - zadecydowałem szybko.
- A pan?
- Zaraz przyjdę - proszę zaczekać w karetce - pojedziemy razem - muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni, najlepszy...
Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.
Wyważyłem gwałtownie drzwi od sypialni i wpadłem do środka, wołając:
- Kaziu! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy!
Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, nie widziałem nic. Może zasnął?
Namacałem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z okrzykiem grozy wydanym z mej piersi.
Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty na wylot; widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...
Nie dowierzając wzrokowi, dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moich ześliznęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i ściekła leniwo na podłogę.
Nagle postać zawahała się, śluzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przeźroczej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniósłszy się w górę, bujały czas pewien i sczezały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic - krzesło było puste: Stosławski rozwiał się bez śladu...
Ze zjeżonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu, kazałem ruszać co tchu. Jechaliśmy w milczeniu oświeceni łuną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.
Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.
Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała. Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie; było to jej gorącym życzeniem. Przystałem bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nigdy nie istniał. Rozpoczęła się druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...
Od taktyki dotychczasowej nie odstąpiłem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Dowodów bezpośrednich na zabójczy wpływ, jaki mogło wywierać płciowe obcowanie z Sarą, wprawdzie nie miałem, lecz instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem tedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy, unikając starannie spółki cielesnej.
Sarę widocznie upór mój rozdrażniał, wzmagając chęć przełamania go. Używała tysiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przezwyciężyć moją odporność.

I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy - lecz obraz Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej przepysznej sypialni mroziła mnie za najlżejszym wspomnieniem, ścinając w lód zapędy krwi.
Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia, były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód, zwalałem wszystko na karb platonicznego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.
- Zbyt wysoko cię cenię, Saro - odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy - by odważyć się na użycie fizyczne twego ciała. Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.
Wtedy wyszydzała mnie, nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnymi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.
Tak minął rok. O ile zrazu Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała z tropu - zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i - rzecz zastanawiająca - z rodzajem przerażenia. Ten strach odkrył mi pobudki jej postępowania. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła - była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie - fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierzgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ i przystał na akt seksualny, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wników na kogo innego - dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca. Dotąd życie jej było zwycięskim pochodem, bezwzględnym triumfem poskromicielki. Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.
A siły moje rosły z dniem każdym przez odpór i wzmagałem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogróżki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara zaczęła błagać i łasić się u nóg moich.
Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.
Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem w jej kruczych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, pierś przestała prężyć się gibką falą. Sara więdła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.
Wiedziała o zaszłej zmianie - każde lustro pouczało o tym wiernie - a lustr było tyle we willi!
I wtedy, ku niewymownej radości, rozpacz ujrzałem - piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.
Owoc zemsty dojrzewał, dościgał z cicha, niespostrzeżenie. Siły moje zwielokrotniły się, potężnym spięciem jakby skupiły się we mnie. Czułem tajemniczą pomoc wkoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z peryferii ukryte energie drzemiące w tym domu: nie byłem sam we willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmielej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce. Lecz czu-

łem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła - ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny, i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę. Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.

Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było we willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miewała marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.

Raz porwawszy się z łóżka, w bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami przypadła do mnie w obłąkańczym przerażeniu i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.

- Co tobie? Przyśniło ci się co? - zapytałem sam zdjęty dreszczem trwogi.

- Boję się - wyszeptała drżąc jak listek - boję się. Tylko nie odchodź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.

Gdyby nie mój stanowczy upór, byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.

Wreszcie strach, rozpacz i szał bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej nocy, opętana dławiącą zmorą, z oczyma wychodzącymi z orbit, porwała się w koszuli z łóżka i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wyszedł zziajany, świszczący szept:

- Bierz mnie, ty kacie jeden! Bierz lub... zginiesz! W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze weneckiego puginału.

Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparaliżowane opadło bezwładnie, sztylet wyślizgnął się ze zesztywniałych palców.

- Cha! cha! cha! - zaśmiałem się, siadając w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem znikającą postać Stosławskiego.

- Cha, cha, cha! I na to, jak widzisz, byłem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle razy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi przeczytam ci coś ze starych, świętych ksiąg. No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw - tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zbyteczną. Czy chcesz posłuchać?

Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.

Wydobyłem z szafki Stary Testament, Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapałem, zatapiając się w jej przedziwne tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem Księgę Trzecią Królewską i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:

„...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku:

a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.

Rzekli mu tedy słudzy jego: Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go i śpi na łonie jego a zagrzewa króla, pana naszego.

A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich i naleźli Abizag Sunamitkę i przywiedli ją do króla.

A była panienka bardzo piękna i sypiała z królem i służyła mu..."

Przerwałem, podnosząc oczy na Sarę. Wyminęła spojrzenie.

- Cóż? Rozumiesz?

Wzruszyła nerwowo ramionami:

- Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?

- Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista - to twój praojciec L mistrz.
- Mówisz jak szaleniec - odparła, zacinając z pasją wargi.
- Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z Księgi Tobiasza, rozdziałów 3. i 6. Te wyjaśnią sytuację zupełnie.
- Z Księgi Tobiasza? - wyjąkała jak przez sen.
- Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrządzeniem przypadku jesteś współimiennicą tej szatańskiej kobiety...
„...Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim, y ona usłyszała urąganie od iedney służebnice oyca swego, bo była wydana za siedm mężów a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli..."
Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału 6.:
„I odpowiadając, Anioł rzekł:
- Jest tu imieniem Raguel mąż... a ten ma córkę... Sarę... Twoja ma być wszystka majętność jej i masz ją pojąć za żonę...
Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: „Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomarli; alem i to słyszał, że je czart zamordował... Otóż się boję, by snadź i mnie się to nie stało..."
Rzekł mu tedy Anioł Rafael: „Posłuchaj mnie a pokażęć, którzy to są, nad którymi czart przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma moc...
Ale gdy ją ty pojmiesz, wszedłszy do łożnicy, wstrzymujże się od niej przez 3 dni, a niczym się innym jedno modlitwami z nią nie będziesz zabawiał".
Zamknąłem Biblię i spojrzałem na Sarę.
Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie. Rozpacz i wstyd, wściekłość, strach i ogromny, niepojęty ból wypełzły z otchłani tej demonicznej duszy, by zagrać po raz ostatni na twarzy zmąconym akordem dysonansów!
Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieżnie zakrzywionymi palcami:
- Ty łotrze podły! Podszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeptałeś i teraz jeszcze chcesz się pastwić nade mną?
Chwyciłem mocno zwiniętą do ciosu pięść i rozbroiłem:
- Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia - jutro opuszczę ten dom na zawsze. Lecz. nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze nie dostaje do brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera, zostawię cię samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie. . . Opierającą się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do skrzącej topielą świateł sali. Potem, zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w kiry nocy...
Wtem rozpruł ciszę głuchy, okropny, rozdzierający krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem z powrotem do salonu.
Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła, teraz nurzał się w grubej poćmie nocy: pogasły nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole. Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha, duszna cisza.
Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonącą lampę. Światło padło na estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnie uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszklone w bezruchu śmierci oczy; zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przerażenia.